tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 34 (1389)
17-23.08.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Jubileusz
prof. Andrzeja Romanowskiego

Prof. Andrzej Karpiński
Co dalej z Ziemiami Odzyskanymi?

Czy polskie wybory
są uczciwe?

Kraków i Zakopane
piją najlepszą kranówkę

Szokujący artykuł „The Economist"

Co piąty polski student jest na poziomie 10-latka



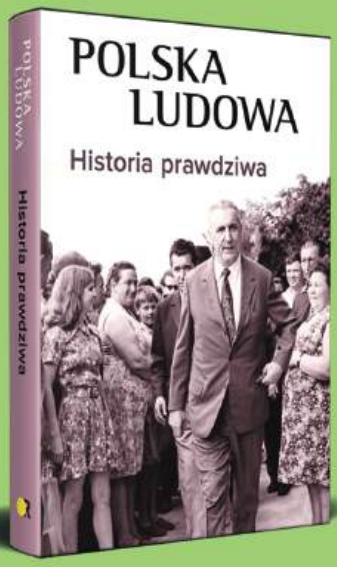
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311607 34

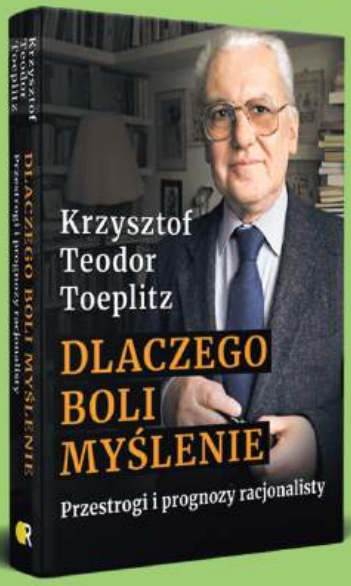
eprasa.pl f919f027b5

Wakacje z książką PRZEGLĄDU

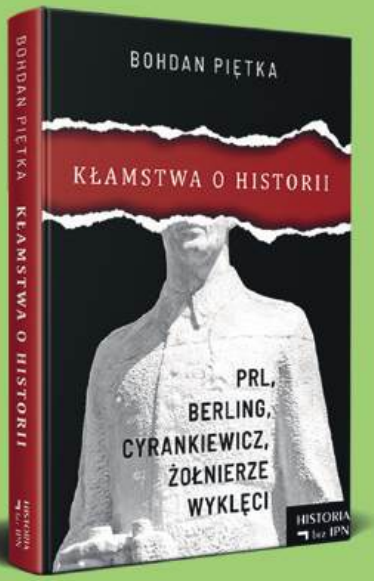
20% taniej











Przegląd

Promocja obowiązuje do 30 sierpnia 2026 r.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Wiarygodności nie kupi

Z tupetem i przytupem zaczęła się, dużo wcześniej zaplanowana, operacja odwracania kota ogonem. Nic tu nie jest przypadkowe. Począwszy od kota, na którego Mateusz Morawiecki napatrzył się u swojego mentora. Prezes Kaczyński jest przecież mistrzem w uprawianiu polityki, której jedyną stałą wartością jest jego osobisty interes.

Kaczyński wykreował wielu polityków i obsadził nimi ważne stanowiska. W tym fotel prezydenta. Trudno jednak ocenić te decyzje jako szczęśliwe. I pożyteczne dla Polski. Po tym, czego Morawiecki u niego się nauczył, widać, że Kaczyński znalazł godnego następcę. Kot w rękach byłego premiera będzie równie sprawnie odwracany ogonem.

Także pomysł z grillem nie był przypadkowy. Bo co Polacy bardziej kochają robić latem? Na szumnie reklamowanej imprezie Rozwoju Plus tłumu nie było, ale przekaz – że pisowscy dysydenci są jak zwykli Polacy i też grillują – poszedł nie tylko w lud pisowski. Choć akurat z ludem to drugie, mniejsze PiS ma niewiele wspólnego. Jeśli cokolwiek łączy tę pierwszą na świecie próbę zbudowania partii na bazie dygnitarzy rządowych, to refleksja Morawieckiego podsłuchanego i nagranego w restauracji. Powiedział wtedy, że Polacy powinni zap… za miskę ryżu. Może teraz poszerzy tę ofertę o talerz kartofli z mielonym.

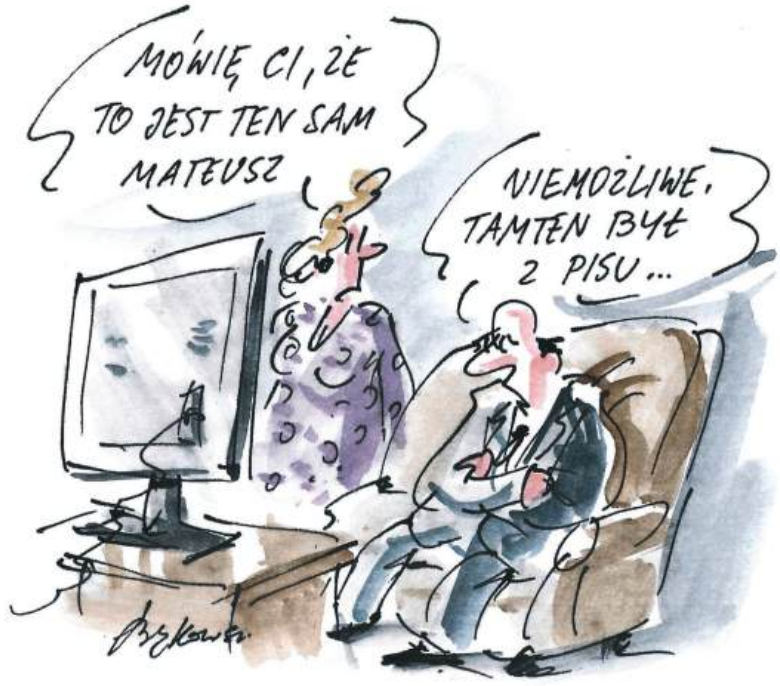
Do historii przeszło też inne nagranie pisowskiego premiera: „Elektorat pamięta dwa tygodnie". Sporo w tym racji. Na to przecież liczy ta ekipa. Czy Polacy zapomną o jej złodziejstwie i oszustwach? Nie sądzę. O rządach Morawieckiego, kulisach przekrętów i wojnach kadrowych będziemy regularnie informowani przez gwardię wierną Kaczyńskiemu. Przekaz będzie miał jedną tezę: to Morawiecki i jego wybrańcy w rządzie doprowadzili PiS do utraty władzy. Pisowcy zrobią z niego twarz klęski.

I tyle będzie z efektu świeżości i z nowej kreacji. Nie tyle nawet nowej, ile wciąż odgrzewanej roli wielkiego reformatora. Tyle lat minęło, a Mateusz M. ciągle zapowiada reformy. Szaty spłowiały i szwy puściły, ale mina od lat ta sama. I ta sama bankowa nowomowa.

Z tymi szatami to oczywiście żart. Morawiecki nie ma poczucia humoru, ale garniturów – wiele. Nowe ubrania. Nowe słowa. Tylko mimika znana z przeszłości.

Jaki jest największy deficyt Morawieckiego? Zerowa wiarygodność. A że jest bardzo pracowity, ciężko sobie na to zapracował. Trudno pojąć, jak jeden człowiek może mieć tak splamione konto. I tylu najbliższych współpracowników z zarzutami kryminalnymi. Trzeba naiwności dziecka, by jeszcze raz mu uwierzyć.

BĄKOWSKI



eprasa.pl f919f027b5

W NUMERZE

KRAJ

8 **Gra w korektę demograficzną**
Czy polskie wybory są uczciwe?

11 **Szokujący artykuł „The Economist"**
Ukrywana prawda o polskich studentach

15 **Ulotna pamięć kard. Dziwisza**
Krył nadużycia seksualne i finansowe

18 **Trzy ćwiartki Andrzeja Romanowskiego**
Jubilat o wyjątkowej postawie życiowej

22 **Oracz asfaltu**
Spór z rolnikiem nie musiał eskalować

24 **Empatia, lekarzu**
By pacjent nie umierał przez zaniedbanie

28 **Woda na wagę złota**
Jak to jest z polską kranówką

32 **Ziemie Odzyskane – sukcesy i niepowodzenia**
– rozmowa z prof. Andrzejem Karpińskim

46 **Kitu nie wciskałem**
– rozmowa z Januszem Czerwińskim

ZAGRANICA

36 **Zależny czy niezależny?**
Korespondencja z Francji

40 **Nie ma już muru pod skałą**
Czy Gibraltar będzie hiszpański?

42 **Lokalny ruch oporu**
Burmistrzowie, którzy dają przykład

OPINIE

49 **Julian Stałgo**
Dlaczego przeciętni Polacy odwracają się od Ukrainy i Ukraińców

OBSERWACJE

50 **Świat w graffiti**
Granice wolności w przestrzeni miejskiej

60 **Ulęgałki wracają do łask**
Od lichej konfitury do rarytasu

KULTURA

53 **Qulturalia**

54 **Hamlet spogląda Dulskiej przez ramię**
Podsumowanie sezonu teatralnego

66 **Psie sucharki. Nos w nos**
Psy i my okiem Marii Apoleiki

SPORT

58 **Infantino musi odejść!**
Futbolowa wojna na górze

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wiarygodności nie kupi

7 **Jerzy Bralczyk**
Plus

27 **Andrzej Romanowski**
Tryptyk chłopski III. Mój coming out

31 **Stanisław Filipowicz**
Jaki jest koń, każdy widzi

39 **Roman Kurkiewicz**
Mokre sny o deportacjach

45 **Tomasz Jastrun**
Trzeba słuchać narodu, czyli mnie

61 **Wojciech Kuczok**
Sprawy niehonorowe



42 ZAGRANICA

LOKALNY RUCH OPORU

Burmistrzowie, którzy dają przykład



50 OBSERWACJE

ŚWIAT W GRAFFITI

Granice wolności w przestrzeni miejskiej



54 KULTURA

HAMLET SPOGLĄDA DULSKIEJ PRZEZ RAMIĘ

Podsumowanie sezonu teatralnego



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

eprasa.pl f919f027b5

Bareja by tego nie wymyślił


Bareja by tego nie wymyślił

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Red. Jerzy Domański pisze w felietonie: „Z tym prezydent Nawrocki nie ma problemu. Stoi za nim najbardziej rozbudowana i najdroższa w historii kancelaria" oraz: „Licznik jego wet to dowód szaleńczego wyścigu". Nikt tych dwóch problemów nie analizuje łącznie. Ludzie mądrzy i mający wiele do powiedzenia milczą albo obchodzą temat szerokim łukiem: nie dotykać tego, bo będzie śmierdzieć. Ja chyba mądry nie jestem, a z pewnością mam niskie wykształcenie, więc powiem wprost: widzę zależność pomiędzy liczbą wet a wysokością budżetu w przypadku prezydenta z innego obozu niż rządzący.

To tak, jakby przedstawiciele Donalda Tuska, Włodzimierza Czarzastego i Władysława Kosiniaka-Kamysza, podwyższając w Sejmie wysokość budżetu Kancelarii Prezydenta, płacili za alibi. ONI robią byle jak, kancelaria nie musi się wysilać prawnie, prezydent z automatu wetuje. Wszystko ładnie się kręci. Zgrzyty, spory i narzekania są przedstawiane narodowi, a naród płaci za ten cyrk. Płaci, bo musi, płaci w majestacie prawa ONYCH, na które naród nie ma żadnego wpływu! Gdyby w Sejmie zamiast przedstawicieli PO-PiS i pomniejszych partii zasiadali przedstawiciele wyborców, to my, naród polski, poprzez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio ustanawialibyśmy wysokość zarobków naszych przedstawicieli w Sejmie, członków rządu i Kancelarii Prezydenta. Bareja i jego fantazje? A może nie! Gdyby w 1989 r. ktoś mi powiedział, że wkrótce PZPR wyniesie swoje sztandary i przestanie rządzić, też bym w to nie uwierzył.

Józef Brzozowski

Hiroszima, wymazane ludobójstwo


Hiroszima, wymazane ludobójstwo

Trzy lata temu byłam w muzeum w Hiroszimie. Taka wizyta powinna być obowiązkowa dla polityków i wojskowych. Organizacje feministyczne też powinny posyłać tam wycieczki. Może w końcu uaktywniłyby się ruchy pacyfistyczne. Kiedy usłyszałam, że burmistrz Hiroszimy w rocznicowym przemówieniu nie powiedział, jaki to kraj spowodował zagładę miasta, po prostu mnie – mówiąc kolokwialnie – zatkało.

Joanna Wdzięczna

I nie wódź nas w nieskończoność


I NIE WÓDŹ NAS W NIESKOŃCZONOŚĆ

Od kilku lat biskupi mówią o powołaniu komisji ds. pedofilii, ale robią wszystko, by nie powstała

Brak nadzoru i akceptacja zła naraziły Kościół na konsekwencje. Są to koszty kleru. Niech zrobią sobie samym składkę i obsłużą to spieniężeniem majątku. Co za śmiałość! Ktoś ma za nich płacić, za ich obyczajówkę? Naród nie protestuje i dlatego tak sobie pozwalają.

Grażyna Kozłowska

•

Kościół w Polsce posiada tyle gruntów i nieruchomości, że z samej dzierżawy może opłacić wiele takich komisji.

Łukasz Marcin Buczek

•

Jedyną instytucją państwową, która powinna się tym zajmować, jest prokuratura. A Kościół może sobie powoływać jakie chce instytucje na własny koszt. Poza tym prokuratura nie powinna prosić o udostępnianie archiwów kościelnych, lecz je przejmować.

Adam Jan Pilch

ZDJĘCIE TYGODNIA



Pia Skrzyszowska po wyrównanej walce z Holenderką Nadine Visser zdobyła srebrny medal w biegu na 100 m przez płotki podczas Mistrzostw Europy w Lekkoatletyce. Birmingham, 11 sierpnia 2026 r.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl f919f027b5

Po cyberataku na firmę medyczną i aplikację MyDr hakerzy skradli dane ok. 19 mln Polaków. Sprawa dotyczy danych medycznych pacjentów oraz kilkunastu tysięcy przychodni i gabinetów, które korzystają z tej aplikacji.

•

Według raportu NIK jako prezes IPN Karol Nawrocki nie zapłacił 55,2 tys. zł za korzystanie z pokoju gościnnego w centrum IPN. Pokój ma 71 m kw. Prokuratura nie widzi w tym czynu zabronionego.

•

562 szpitale publiczne były zadłużone w końcu pierwszego kwartału na kwotę **30 mld zł.**

•

Prawie 3 mln zł zarobił w 2024 r. lekarz w Białostockim Centrum Onkologii. 16 jego kolegów zadowoliło się zarobkami od 1 mln do 1,5 mln zł.

•

Senat odrzucił kandydaturę Mateusza Szpytmy na stanowisko prezesa IPN.

•

Rozwija się paranoja z sądowymi zakazami prowadzenia pojazdów. Więcej niż jeden ma już 36 tys. kierowców. **Rekordzista uzbierał 17 zakazów**, a 54 osoby ponad 10.

•

W Ringier Axel Springer Polska, wydawcy m.in. „Faktu" i Onetu, zwolniono w ramach zwolnień grupowych 140 osób.

•

Od 1 września obowiązuje zakaz korzystania z telefonów komórkowych w przedszkolach i szkołach.

•

W styczniu było w Polsce 183,6 tys. stad bydła mlecznego i 153,6 tys. hodowli bydła mięsnego.

PRZEBŁYSKI



Podniebienie słabo patriotyczne

Kto by pomyślał, że na okrągło podlizujący się prezydentowi Nawrockiemu springerowski „Fakt" zada mu tak bolesny cios.

Prawicowy prezydent pół-Polski klepie przy każdej okazji: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy", a co mu kupuje kancelaria? By zadowolić patriotyczne podniebienie Nawrockiego, za pół miliona (z górką) zamówiono tak bardzo nasze, rodzime produkty jak: karambola, soliród, mizuna, pitaja, skorzonera. I inne, słabo nad Wisłą znane. Kiedyś Lech Wałęsa, wznosząc toast szampanem, mówił: „Zdrowie wasze w gardła nasze". Może Nawrocki od szampana woli snusy i egzotyczne frykasy. Ludu pisowski, pamiętaj o tym, jak was odwiedzi wasz prezydent, frykasy muszą być.



Czy Karkosik zwalnia, bo buduje?

Była wielka pompa, bo i pomnik wielki. Prawdziwy gigant. I równie gigantyczny kicz. 55-metrowa statua jak z mrocznego snu, po mocnej używce. Fundatorem figury Matki Bożej Bolesnej w Konotopiu jest Roman Karkosik (z rodziną). Radowali się zaproszeni na fetę. A płakali pracownicy Walcowni Metali Dziedzice. Połowa załogi, prawie 200 osób, idzie na bruk. Walcownia należy do Grupy Boryszew, kontrolowanej przez Karkosika. Fundator jedną ręką zwalniał załogę, a drugą płacił miliony za pomnik. Zaiste głęboka to wiara. Niestety, nie w człowieka.

PYTANIE TYGODNIA

Na co państwo wydaje za dużo?

PROF. ZDZISŁAWA JANOWSKA,
ekspertka ds. nauk o zarządzaniu, członkini Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN, była parlamentarzystka

Płacimy gigantyczną cenę za brak krajowej strategii zarządzania i upadek zasad moralnych władzy. Największym ciężarem jest przerost administracji, w której zatrudnionych jest ok. 25% pracujących. Rządzący tworzą zbędne etaty oraz synekury w radach nadzorczych dla niekompetentnych znajomych, zwieńczone wysokimi odprawami po przegranych wyborach. Doprowadzamy do upadku polskie firmy, by zaraz potem dopłacać do bezrobocia. Pieniądze giną też w gminach i tworzonych przez nie spółkach prawa handlowego, pozbawianych społecznej kontroli. Marnotrawimy miliardy na 800+, rozdając je również zamożnym, a także na fikcyjną aktywizację bezrobotnych. Ponadto ucieczka pieniędzy następuje m.in. przez wadliwą wycenę procedur medycznych, wymuszającą wyciek środków z NFZ, nadużywane L4 czy oszustwa podatkowe. Natomiast szczytem bezwstydu pozostaje wykorzystywanie przywilejów parlamentarzystów do naliczania oszukańczych kilometrówek.

MAREK BOROWSKI,
senator KO, były wicepremier i były minister finansów

Większość obszarów życia publicznego – od nauki i edukacji, przez zdrowie, po kluczowe inwestycje – jest niedofinansowana. Przy takim budżecie trudno wskazać pozycje, na które państwo wydaje obiektywnie za dużo. Warto jednak przyjrzeć się kwestiom budzącym wątpliwości. Z pewnością zbyt wysokie środki trafiają do IPN. Za dużo przeznaczamy też na lekcje religii w szkołach – katechezę powinien finansować Kościół. Czym innym jest delikatna sprawa Funduszu Kościelnego, wspierającego m.in. zabytki i emerytury duchownych. Z kolei przy ogromnych nakładach na obronność kluczowe jest nie ich ograniczanie, ale wydawanie pieniędzy z głową.

DR SERGIUSZ PROKURAT,
ekonomista, wykładowca

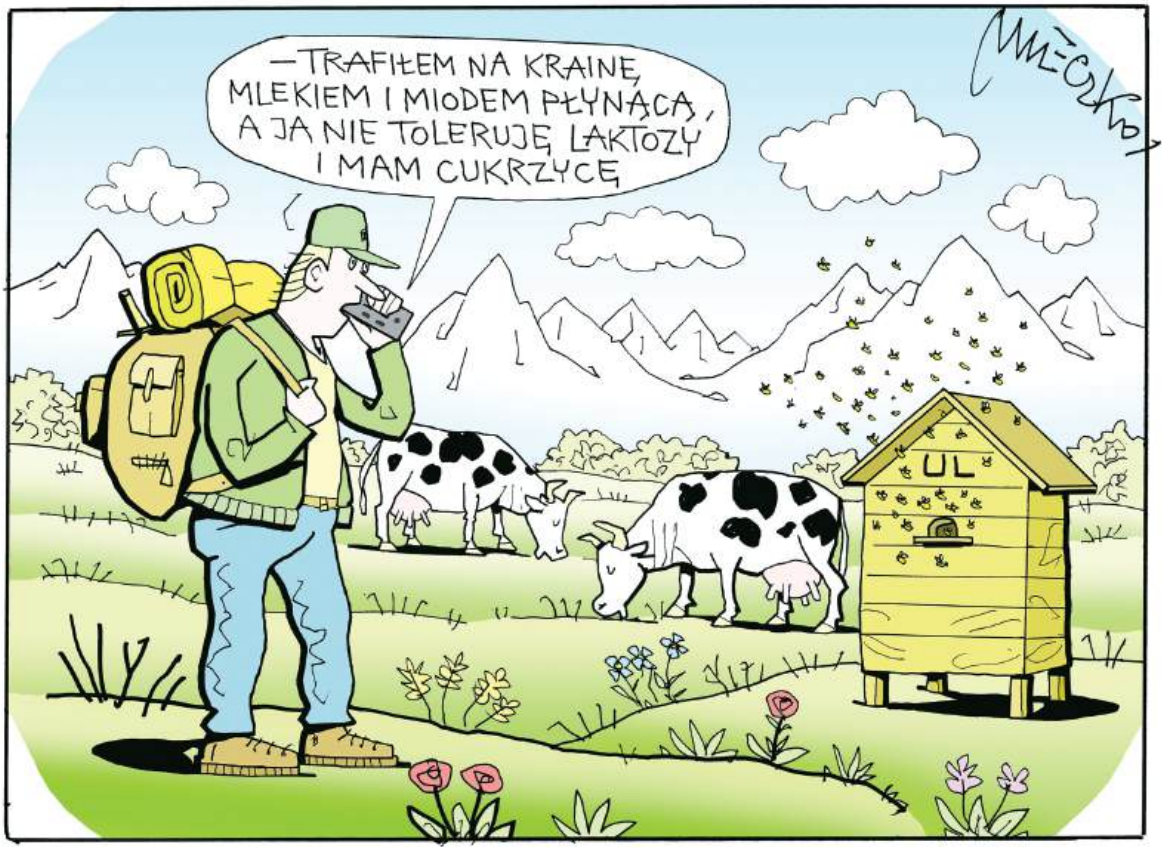
Państwo jest strukturalnie mniej efektywne niż rynek, bo bez mechanizmu rachunku zysków i strat trudniej racjonalnie alokować środki. Wszystko obsługuje administracja, mocno przerośnięta i często niepotrzebna. Ponadto transfery socjalne są przepłacone: na emerytury, renty i pomoc społeczną (w tym 800+, 13. i 14. emeryturę czy „babciowe") Polska wydaje ponad jedną trzecią wydatków publicznych w przeliczeniu na osobę. Trafiają one równo do bogatych i biednych, słabo redukując ubóstwo, za to obciążając budżet. Innym problemem jest obsługa długu – 72,8 mld zł w 2025 r., a w 2026 r. planowane ok. 90 mld zł. To bezpośredni koszt ciągłego życia na kredyt. Efekt: wydatki rosną szybciej niż dochody, a różnicę pokrywa dług, przesuwając rachunek na przyszłe pokolenia.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. SHUTTERSTOCK, YOUTUBE.COM

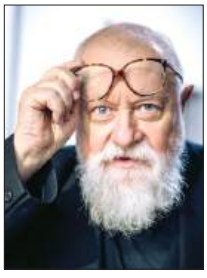
eprasa.pl f919f027b5

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Plus

Plus to ‘więcej’, dawniej głównie tyle co ‘dodać’, „dwa więcej dwa daje cztery”. Ale używa się tego plusa też bez czynności dodawania, „cztery plus” to więcej niż „dobrze”, a mniej niż „bardzo dobrze”. I plus to zaleta, wartość czegoś lub kogoś, to, co zalicza mu się „na plus”, czyli na korzyść. Czymś plusem jest to, co może równoważyć jego minusy. Można też zmieniać coś na plus, czyli na lepsze, poprawiać. Plus to więcej, ale i lepiej – jak jest więcej złego, to o plusach nie mówimy (chociaż nasz językowo odkrywczy, a przy tym niekoniecznie świadomie dialektyczny prezydent wymyślił plusy dodatnie i ujemne, co niektórych dziwiło, ale było czasami zdumiewająco trafne).

Ogólnie plus jest w porządku, do niczego specjalnego odnosić się nie musi, a można nim zaplusować, czyli np. poprawić sobie wizerunek. Telefonia komórkowa, stacja telewizyjna, używając plusa w nazwie, wywołują dobre wrażenie. Co plus (czy plus co), nie wiemy, ale plus. Dawna efemeryczna partia Polska Plus pewnie chciała czegoś więcej niż Polski, ale na pewno chciała dobrze.

Rozwój Plus też pewnie chce dobrze. Rozwój to też ogólnie w porządku, kiedyś tak w porządku, albo i jeszcze bardziej, był postęp. Teraz postęp nie w modzie, przejadł się jakoś, postępowym nikt się nie nazwie – ale rozwój jak najbardziej. A rozwój plus to więcej niż rozwój i na pewno lepiej. Można by jeszcze jeden plus dodać, wtedy byłoby jeszcze lepiej. Bo sam rozwój nie wystarcza.

I właściwie taki rozwój plus wiele załatwia. Nie mówi nawet, czy Polska teraz się rozwija, czy nie, nie zakłada przy tym żadnych równomierności czy zrównoważoności, bo to szczegóły, do których zawsze jakiś diabeł się wkradnie – ale stawia na rozwój i już. Pewnie też przy okazji na inne modne sprawy, jak innowacyjność czy coś równie bezpiecznego.

Tak to plus minus wygląda. „Plus minus” to tyle co ‘mniej więcej’, kiedy dokładność nie jest konieczna. A tu chyba nie jest. Tak z grubsza rzecz biorąc. ■

eprasa.pl f919f027b5

Czy polskie wybory są u

Jedne okręgi się wyludniają, drugie



GRA W KOREKTĘ DEMOGR

Robert Walenciak

Czy polskie wybory są uczciwe? Otóż nie do końca. W 2023 r. w Warszawie (okręg nr 19) wybrano 20 posłów. Dużo? Gdybyśmy chcieli potraktować wyborców głosujących w tym okręgu tak samo jak wyborców w innych regionach kraju, powinni oni wybierać 31 posłów – 11 więcej!

Ale szanse, że tak się stanie, są niewielkie. Choć rozstrzygnięcia w tej sprawie zbliżają się nieuchronnie. Uwaga! Za chwilę wejdziemy w jesień. A z końcem września minie trzeci kwartał roku poprzedzającego wybory parlamentarne. To ważna cezura. Otóż zgodnie z art. 203 par. 1 Kodeksu wyborczego Państwowa Komisja Wyborcza złoży wówczas do Sejmu wniosek w sprawie liczby posłów wybieranych w okręgach wyborczych. Mowa o tzw. korekcie demograficznej.

A skąd pewność, że PKW złoży wniosek? Stąd, że zobowiązuje ją do tego prawo. PKW ma obowiązek oszacować na podstawie liczby wyborców mieszkających w danym okręgu w trzecim kwartale roku poprzedzającego wybory, ilu posłów w kolejnych okręgach powinno być wybranych. I przedstawić te szacunki Sejmowi do zatwierdzenia.

Nie jest to trudne, w wyborach w 2023 r. na jeden mandat przypadało 64,2 tys. wyborców. To pewnie się nie zmieni. Ale są elementy, które się zmieniają: liczba wyborców mieszkających w danym okręgu. Jedne okręgi się wyludniają, drugie pęcznieją. Liczbę posłów w nich wybieranych trzeba więc dopasować do liczby ludności. Tu ująć, tam dodać. Wymaga tego Kodeks wyborczy, a także art. 97 Konstytucji RP. Określa on, że wybory w Polsce są pięcioprzymiotnikowe: powszechne, tajne, bezpośrednie, proporcjonalne i równe.

Żeby zatem były równe, żeby głos każdego Polaka równo ważył, liczba mandatów w okręgach wyborczych powinna odzwierciedlać liczbę osób tam mieszkających. A tak nie jest.

•

Przykładów tego nie brakuje. Porównajmy okręgi nr 6 (Lublin) i nr 20 (Warszawa II). Oba mają niemal identyczną liczbę mieszkańców: Lublin – 1,135 mln, Warszawa II – 1,115 mln. Tymczasem w okręgu nr 6 wybieranych jest 15 posłów, a w okręgu nr 20 – 12. W obu zaś powinno być wybieranych po 14 posłów.

Najdrastyczniejszy przykład to porównanie okręgu nr 34 (Elbląg) ze wspomnianym okręgiem nr 19 (Warszawa I). W 2023 r. w okręgu

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl f919f027b5

czciwe?

pęcznieją



AFICZNĄ

elbląskim uprawnionych do głosowania było 455 tys. wyborców. W okręgu nr 19 – aż 1,993 mln. I teraz najważniejsze: w okręgu elbląskim wybrano 8 posłów, czyli 57 tys. wyborców przypadało na jeden mandat. A w Warszawie? Tu do wzięcia było 20 mandatów. Czyli na jednego posła przypadało prawie 100 tys. wyborców. Innymi słowy, głos mieszkańca okręgu elbląskiego był dwa razy mocniejszy niż głos wrzucony do urny w okręgu warszawskim. Ta nierówność się pogłębia, gdy weźmiemy pod uwagę nie liczbę uprawnionych do głosowania, lecz głosujących.

Żeby w obu okręgach głos wyborcy ważył tyle samo, powinna zostać dokonana korekta. Jak głęboka? Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta.

Łatwo o odpowiedź, co z okręgiem elbląskim – powinien wybierać 7 posłów. A Warszawa? Z Warszawą jest kłopot. W samym mieście uprawnionych do głosowania było 1,357 mln wyborców. Warszawa więc powinna mieć dodatkowy mandat i wybierać 21 posłów. Ale dorzucono do niej głosy Polaków idących do urn za granicą. Jeżeli 30 lat temu nie był to problem, bo wiele to nie zmieniało, dziś ta sprawa ciąży na polskim systemie wyborczym jak skalny nawis. W 2023 r. zapisanych na listy wyborcze za granicą było 636 tys. Polaków (głos oddało 569 tys.).

To potężna grupa – powinna mieć prawo wyboru 10 posłów! Czyli – powtórzmy – w 2023 r., jeżeli chcielibyśmy, aby wybory były równe, okręg Warszawa (miasto plus zagranica) powinien mieć prawo wyboru nie 20 posłów, ale 31!

•

Mamy zatem ewidentną niesprawiedliwość, którą powinno się naprawić. Rzecz tylko w tym, że politycy naprawiać tego nie chcą. PKW, zgodnie z prawem, pisała listy do marszałków Sejmu w sprawie korekty demograficznej i w roku 2014 (przed wyborami 2015), i w 2018 (przed wyborami 2019), i w październiku 2022 (przed wyborami 2023). Wszystkie pisma zostały zignorowane.

W piśmie z października 2022 r. PKW w specjalnej tabeli pokazywała, że w 11 okręgach wyborczych należy zmniejszyć liczbę mandatów o jeden, w 10 – zwiększyć o jeden, a w jednym okręgu, Warszawa II, dodać aż dwa mandaty. Czyli zmiany powinny być dokonane w większości okręgów!

I co z tym pismem się stało? Marszałek Sejmu Elżbieta Witek skierowała je do sejmowej Komisji Nadzwyczajnej ds. zmian w kodyfikacjach, tej, która m.in. zajmowała się Kodeksem wyborczym. I tam słuch po nim zaginął.

Dlaczego? Rzecz jest banalna. Gdy zabierają, to boli. Posłowie z okręgów, w których liczba mandatów miała zostać zmniejszona, poczuli, że coś im się zabiera. Zaczęli więc lobbować przeciwko planowanym zmianom. Mieliśmy wielki ponadpartyjny sojusz, żeby nic w tej sprawie nie robić. A posłowie z okręgów, które miały dostać więcej mandatów? Skoro bardziej boli, gdy zabierają, to ich starania były mniejsze.

Drugi powód był innego rodzaju. Jeżeli spojrzymy na okręgi, którym trzeba było dodać, i na te, którym powinno się zabrać, rzuca się w oczy jedno: przyrastają okręgi w największych miastach, maleją wokół miast średnich oraz te bardziej wiejskie. Czyli większa jest szansa, że na korekcie demograficznej zyskają partie mocne w dużych miastach – KO, Lewica, także Konfederacja. Straci przede wszystkim PiS.

Dlatego w poprzednim Sejmie marszałek Elżbieta Witek i klub PiS zrobili wszystko, by sprawa korekty demograficznej została gdzieś zagubiona i by o tym nie mówiono. Była w tym logika. Mieli w pamięci wyniki wyborów z 2019 r., gdy PiS wygrało i otrzymało 43,5% głosów, co przełożyło się na 235 mandatów. Tymczasem, jak policzono, gdyby w tamtych wyborach wprowadzono korektę demograficzną, PiS dostałoby 3-4 mandaty mniej. A że w trakcie kadencji posłów się traci, można było w ciemno zakładać, że dość szybko straciłoby w Sejmie większość.

A w wyborach w 2023 r.? Paradoksalnie PiS na braku korekty nie zyskało. Zadziałał tu efekt ostatniego mandatu. W okręgach wiejskich, tych nadreprezentowanych, akurat tzw. ostatnie mandaty

Potrzeba korekty demograficznej

W 2015 r. PKW postulowała zmiany liczby mandatów poselskich w 8 okręgach wyborczych, w 2019 r. w 9, a w 2023 r. już w 21!

PKW postulowała, by odebrać po jednym mandacie w 11 okręgach (nr 1 – Legnica, 2 – Wałbrzych, 5 – Toruń, 6 – Lublin, 7 – Chełm, 9 – Łódź, 31 – Katowice II, 32 – Katowice III, 33 – Kielce, 34 – Elbląg, 40 – Koszalin). Natomiast w 9 (nr 3 – Wrocław, 13 – Kraków II, 19 – Warszawa I, 23 – Rzeszów, 25 – Gdańsk, 26 – Słupsk, 37 – Konin, 38 – Piła, 39 – Poznań) zwiększyć liczbę mandatów o jeden, a w okręgu nr 20 (Warszawa II, tzw. obwarzanek) zwiększyć o dwa. Sprawie nie nadano biegu.

eprasa.pl f919f027b5

przypadały KO. Ale to był tak naprawdę przypadek, coś na kształt loterii.

Spójrzmy zresztą, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby w okręgu nr 19 (Warszawa I) głosujący wybierali nie 20 posłów, ale 31. Rzeczywisty podział mandatów w okręgu wyglądał tak: KO – 9, PiS – 4, Lewica i Trzecia Droga – po 3, Konfederacja – 1. Gdyby okręg miał 21 posłów – dodatkowy mandat wzięłaby Koalicja Obywatelska. A gdyby miał 31 posłów, czyli z pulą dla wyborców głosujących za granicą, podział wyglądałby następująco: KO – 15, PiS – 6, Lewica i Trzecia Droga – po 4, Konfederacja – 2.

Jeśli chodzi o KO, jest różnica między 15 mandatami a 9.

•

Łatwo można więc postawić tezę, że korekta demograficzna służy KO, a jej brak służy PiS. Trudniej dokładnie wskazać, o jaką liczę mandatów w jedną lub drugą stronę chodzi. Ostrożnie mówiąc, o kilka. Z punktu widzenia partii mocnych w wielkich aglomeracjach gra jest więc warta świeczki. Zwłaszcza że zapowiada się, że wybory w 2027 r. będą walką łeb w łeb.

Ale nie ma co w tej sprawie dzielić skóry na niedźwiedziu. Polski system wyborczy nie jest specjalnie sprawiedliwy, nie troszczy się o to, by dokładnie odzwierciedlać preferencje wyborcze. Sposób liczenia głosów metodą D'Hondta, do tego pięcioprocentowy próg wyborczy i nieduże okręgi wyborcze – wszystko to sprzyja partiom dużym i wiejskim. Takim jak PiS. Ale przecież na naszych oczach tworzy się nowy układ partyjny – na prawicy nie mamy jednej wielkiej partii z malutką Konfederacją, mamy raczej cztery ugrupowania, dwa duże, dwa mniejsze. Zatem i podział mandatów w takiej sytuacji będzie inny.

W takim razie powinniśmy się skupić raczej nie na partyjnych zyskach i stratach, lecz na ewidentnej zasadzie równości wyborów. Na tym, że nie można krzywdzić mieszkańców wielkich miast i Polaków głosujących za granicą, odbierając im konstytucyjne prawo równego traktowania.

Liczbę posłów wybieranych w okręgach trzeba dopasować do liczby ludności.

•

Załóżmy, że marszałek Włodzimierz Czarzasty nie wybierze drogi Elżbiety Witek i przypilnuje, by Sejm korektę demograficzną wprowadził. A będzie musiał przypilnować, gdyż w tej sprawie i procedury, i terminy będą napięte. Przede wszystkim, gdy w październiku otrzyma pismo z PKW dotyczące potrzeby korekty demograficznej, skieruje je do Komisji Nadzwyczajnej ds. zmian w kodyfikacjach. Przewodniczy jej Barbara Dolniak z KO.

Pytanie nasuwa się samo: czy KO będzie chciała wprowadzić korektę demograficzną, czy też uzna, że nie warto? A jeżeli największa partia zdecyduje, że dla korekty jest zielone światło, czy Barbara Dolniak udźwignie zadanie sprawnego przeprowadzenia zmian w Kodeksie wyborczym?

Miejmy świadomość, że korekta demograficzna, czyli zmiana liczby mandatów w okręgach, to zmiana ustawowa. W takiej sytuacji rodzą się chęci, żeby coś załatwić, zrobić coś więcej. Komisja stanie przed wyborem: czy wprowadzić najprostsze zmiany, czy pokusić się o coś większego, bardziej spektakularnego? Czyli o uregulowanie sytuacji głosujących za granicą. Ale gdy zacznie się tym zajmować – a to materia bardzo skomplikowana i wielowariantowa – kiedy skończyłaby procedowanie?

Dodajmy jeszcze jedno – prawo w Polsce stanowi, że nie wolno do Kodeksu wyborczego wprowadzać zmian na trzy miesiące przed wyborami. Jest też orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, które mówi o sześciu miesiącach. Czyli cały proces legislacyjny dotyczący ewentualnych zmian powinien się zamknąć w marcu 2027 r. A to oznacza, że Sejm będzie mógł wprowadzić do Kodeksu wyborczego jedynie najprostsze zmiany. Te bardziej skomplikowane – jak sprawa głosujących za granicą czy metody liczenia głosów – trzeba będzie odłożyć na przyszłość.

W tym wszystkim jest jeszcze jedno ale. Karol Nawrocki. Jeżeli bowiem prezydent zawetuje ustawę, nie wejdzie ona w życie. Prof. Jacek Haman, który zajmuje się systemami wyborczymi, jest w tej sprawie umiarkowanym optymistą. Uważa, że jeśli do Kodeksu wyborczego zostaną wprowadzone najprostsze zmiany, dotyczące jedynie korekty liczby mandatów w poszczególnych okręgach, nie będzie politycznej podstawy, by te zmiany kontestować. Sejm zatem dość łatwo powinien taką ustawę przyjąć. A Karol Nawrocki w takiej sytuacji nie powie „weto". I wówczas coś, czego nie można było przeprowadzić w latach 2015, 2019 i 2023, wejdzie w życie. A wejdzie?

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Sprawa głosujących za granicą

W wyborach w 2011 r. głosowało za granicą 120 tys. Polaków, w 2015 r. już ok. 174 tys. osób, w 2019 r. – 316 tys., a uprawnionych (czyli wpisanych na listę wyborczą) było 350 tys. W 2023 r., jak wspominaliśmy, wpisanych na listy wyborcze było 636 tys. Polaków, z czego głosowało 569 tys. Ta grupa wyborców powinna mieć 10 mandatów poselskich. Automatyczne dopisywanie ich do okręgu Warszawa nie jest już dobrym rozwiązaniem. Co zrobić? Utworzyć osobny okręg dla głosujących za granicą? Ale jak oszacować, ilu ich będzie? Przecież to się zmienia. Jak przydzielić do tego okręgu mandaty? Komu je zabrać? W ciągu paru miesięcy nie rozwiąże się tej skomplikowanej sprawy.

Jeśli chodzi o głosujących za granicą, mają oni wyraźne preferencje. W 2023 r. wyniki w tej grupie były następujące: KO – 257 310 (45,19%), PiS – 92 572 (16,26%), Nowa Lewica – 82 489 (14,49%), Trzecia Droga – 69 326 (12,18%), Konfederacja – 51 074 (8,97%).

eprasa.pl f919f027b5

Szokujący artykuł „The Economist”

Co piąty polski student jest na poziomie 10-latka

Kornel Wawrzyniak

Najważniejszy magazyn ekonomiczny na świecie, brytyjski „The Economist”, ujawnił, że 20% polskich studentów jest mniej więcej na poziomie 10-latków – mają problem z rozumieniem tego, co czytają. Nie potrafią się wysłowić, a matematyka to dla nich czarna magia. To niewygodna prawda ukrywana przez władze oświatowe od lat.

Problem widoczny od dawna

Dziennikarze „The Economist” przyjrzeli się badaniu Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) z 2024 r. i sprawdzili, jak wypadli w nim studenci do 35. roku życia z różnych państw. Dane dla nas są kompromitujące – 20% polskich studentów ma problem z rozumieniem czytanego tekstu i nie radzi sobie z podstawowymi obliczeniami. Według „The Economist” takie właściwości intelektualne odpowiadają poziomowi 10-letnich dzieci.

Dydaktycy widzą to na co dzień – z każdym kolejnym rokiem spada poziom podstawowej wiedzy studentów. Nie umieją wymienić wszystkich 16 województw. Nie odróżniają części mowy od części zdania. Norwegii nie potrafią umieścić w Skandynawii. O Gierku pierwszy raz słyszą. Mając do czynienia z taką materią, wykładowcy nadrabiają szkolne zaległości, zamiast rozwijać wiedzę. Około połowy studiujących rezygnuje przy pierwszych trudnościach, najczęściej jeszcze w trakcie pierwszego roku. Co jest powodem? Wykładowcy wskazują zaniedbania sięgające



szkoły podstawowej, obniżenie wymagań oraz przekonanie, że wiedzę zawsze można znaleźć w internecie.

– Nie mam wątpliwości, że poziom wiedzy ogólnej studentów jest dziś niższy niż dawniej. Obserwuję to od wielu lat, ale w ostatnim czasie zmiany stały się szczególnie widoczne. Dotyczy to zarówno umiejętności matematycznych, jak i orientacji w podstawowych zagadnieniach geograficznych czy społecznych. To zjawisko, które powinno być poważnym sygnałem ostrzegawczym dla całego systemu edukacji – mówi demograf prof. Piotr Szukalski, dydaktyk z przeszło 30-letnim stażem, profesor Uniwersytetu Łódzkiego.

Według badania PISA realizowanego przez OECD w 2024 r. 20% polskich studentów znalazło się poniżej poziomu 2 minimalnych podstawowych kompetencji. To próg, który pozwala młodemu człowiekowi samodzielnie funkcjonować w społeczeństwie, kontynuować naukę i odnaleźć się na rynku pracy. Uczeń osiągający ten poziom potrafi wyszukać najważniejsze informacje w tekście, zrozumieć jego główną myśl, wykonać proste obliczenia, wyciągnąć wnioski z tabel i wykresów oraz wykorzystać podstawową wiedzę naukową do wyjaśniania zjawisk. Osoby, które nie osiągają poziomu 2, są uznawane za zagrożone analfabetyzmem funkcjonalnym.

Jeśli podobne deficyty pojawiają się już na etapie szkolnym i nie zostają skutecznie wyrównane, uczelnie coraz częściej stają przed problemem przyjmowania osób, którym brakuje kompetencji niezbędnych do samodzielnego studiowania.

Eksperci wskazują kilka możliwych przyczyn pogarszających się kompetencji studentów. Jedną z nich są skutki pandemii COVID-19 i związanej z nią nauki zdalnej. Jak zauważa Jessica Hooten Wilson z amerykańskiego Uniwersytetu Pepperdine, w pierwszych latach po pandemii część uczniów sprawiała wrażenie, jakby niemal nie uczestniczyła w edukacji na poziomie szkoły średniej. Znaczenie mogą mieć również media społecznościowe, które wypierają dłuższe formy czytania, oraz rozwój sztucznej inteligencji ułatwiającej wykonywanie zadań bez większego zaangażowania intelektualnego.

– Najbardziej niepokojące nie jest to, że na uczelnie trafiają słabsi studenci. Słabsi studenci byli zawsze. Problem polega na tym, że dziś zanikła grupa przeciętna, która kiedyś stanowiła większość. Nadal mamy studentów znakomitych i bardzo dobrych, ale jest ich stosunkowo niewielu. Jednocześnie bardzo wyraźnie

eprasa.pl f919f027b5

zwiększyła się grupa studentów słabych i bardzo słabych. Powstaje więc pewnego rodzaju luka. Na zajęciach często spotykają się osoby wybitne z osobami, które mają trudności z opanowaniem podstaw. Ten widoczny rozjazd kompetencyjny jest coraz większy i to właśnie uważam za jedno z najpoważniejszych wyzwań współczesnego uniwersytetu – wyjaśnia prof. Robert Alberski, kierownik Zakładu Systemów Politycznych i Administracyjnych w Instytucie Politologii na Uniwersytecie Wrocławskim, dziekan Wydziału Nauk Społecznych UWr w kadencji 2020-2024.

Najsłabsi ciągną w dół najzdolniejszych

Prof. Alberski podkreśla dramatyczne wręcz konsekwencje dla całego systemu szkolnictwa wyższego – najsłabsi ciągną w dół najzdolniejszych. Prof. Marek Garbicz przywoływał na łamach „Przeglądu" (8/2026) zasadę karawany: choć 99 wielbłądów może poruszać się szybko, cała karawana i tak idzie w tempie tego jednego, który kuleje. W wypadku zdolnych studentów jest nawet gorzej. Jeśli widzą, że cały semestr wykładowcy ćwiczą z kolegami podstawy, które były w szkole średniej, często się zniechęcają, a nawet rezygnują ze studiów, bo po co mają słuchać czegoś, co już wiedzą.

Jeśli obecne deficyty intelektualne studentów są wynikiem oddziaływania elektroniki i mediów społecznościowych, to pojawia się pytanie, dlaczego Polska wypada słabiej od wielu innych państw, mimo że młodzi ludzie na całym świecie korzystają z tych samych technologii. Wszystkich dotknęła też pandemia.

Dr Łukasz Kierznowski z Uniwersytetu w Białymstoku uważa, że winne mogą być niski próg wejścia na studia oraz duża liczba dostępnych miejsc. Jego zdaniem część osób rozpoczyna naukę akademicką mimo niewystarczającego przygotowania. Dane częściowo potwierdzają tę tezę. W Polsce wskaźnik skolaryzacji na poziomie wyższym przewyższa średnią krajów OECD. W grupie wiekowej 20-24 lata studiuje 49% osób, podczas gdy średnia OECD wynosi 43%.

– Obniżanie się poziomu przygotowania studentów zacząłem zauważać już kilkanaście lat temu. Pamiętam rozmowę z koleżanką, która opowiadała mi o studencie analizującym tekst źródłowy. Miał wskazać kilka zdań odpowiadających na konkretne pytania problemowe, a czytał sylabami, dosłownie dukając każde słowo. Wtedy uświadomiłem sobie, że na studia trafiają osoby mające deficyty umiejętności, które wcześniej uznalibyśmy za absolutnie podstawowe. Jako demograf szczególnie dostrzegam spadek kompetencji matematycznych. Demografia jest dyscypliną, w której liczenie stanowi istotny element pracy. Tymczasem mam coraz większą grupę studentów, którzy nie tylko nie radzą sobie z prostymi obliczeniami, ale wręcz odmawiają ich wykonywania. Słyszę: „Nie wiem, co mam zrobić", „Nie umiem tego", „Mam z tym problem". Takich sytuacji jest teraz wyraźnie więcej niż jeszcze kilka lat temu – dodaje prof. Szukalski.

Przyczyna – szkoła podstawowa

– Źródeł problemu szukałbym już na etapie szkolnym. Młodzi ludzie czytają coraz mniej, a przede wszystkim coraz mniej piszą. Brakuje im ćwiczenia w samodzielnym formułowaniu myśli, streszczaniu tekstów czy budowaniu dłuższej argumentacji. A przecież studiowanie w dużej mierze polega właśnie na samodzielnym zdobywaniu wiedzy. Można wysłać studentom slajdy, przygotować materiały, udostępnić prezentacje, ale to nie zastąpi własnej pracy intelektualnej – tłumaczy prof. Robert Alberski.

> Młodzi ludzie czytają coraz mniej, a przede wszystkim coraz mniej piszą.

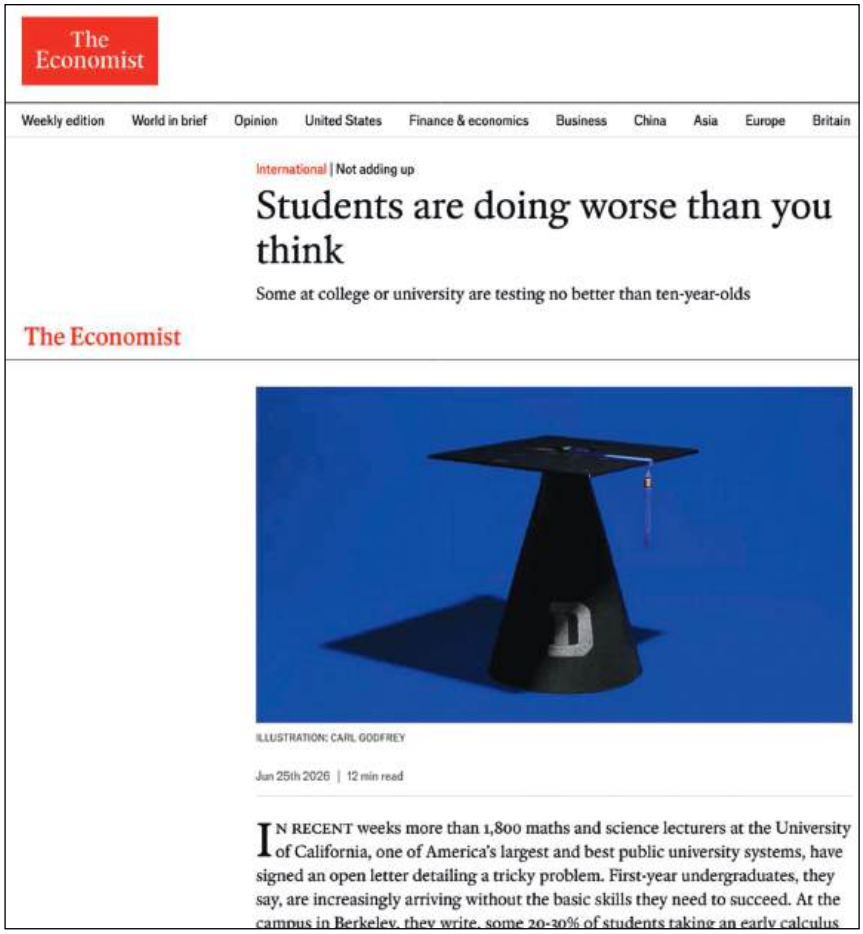
Problem na etapie wczesnoszkolnym lokalizuje również Bartłomiej Rosiak, dydaktyk i specjalista od zarządzania oświatą: – Praźródłem wszelkich kłopotów edukacyjnych jest edukacja wczesnoszkolna. To bardzo niedoceniany moment edukacji. Większość deficytów związanych z myśleniem analitycznym, rozumieniem tekstu czytanego lub przetwarzaniem informacji ma początek w klasach 1-3. Zaległości zaczynają się właśnie tam, a później deficyty związane z umiejętnościami tylko się pogłębiają. Problem bierze się m.in. z mechanicznego podejścia do nauczania. Uczymy dzieci w zasadzie zeszytami ćwiczeń. To jedna z największych bolączek edukacji. Dziecko nie uczy się tworzenia pełnej wypowiedzi, panowania nad zdaniem czy relacji między wyrazami. Uczy się wpisywania pojedynczych słów.

Przypomnijmy, że nasz rozmówca wskazywał kilka tygodni temu na naszych łamach (20/2026), że poziom egzaminu maturalnego jest dostosowywany do poszczególnych roczników, tak aby jego zdawalność zawsze wynosiła ok. 80%.

Wyniki międzynarodowego badania PISA 2022 rozgrzały polskie media – nie brakowało zachwytów nad piątym miejscem w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o wiedzę matematyczną. Dane można jednak czytać na dwa sposoby. Polska wypadła lepiej niż średnia OECD, lecz powodów do optymizmu jest mało. Z podstawowymi obliczeniami nie poradziło sobie aż 23% uczniów, 22,2% w czytaniu ze zrozumieniem i 18,6% w naukach przyrodniczych. Co gorsza, od 2012 r. odsetek najsłabszych uczniów niemal się podwoił.

– Zadania zamknięte były jeszcze niedawno krzykiem mody w pomiarze dydaktycznym. Mówiono, że jako jedyne są obiektywne, że można nimi sprawdzać wiedzę i umiejętności, nie ma wpływu egzaminatora i szybko się je sprawdza. Miało to wiele zalet. Ale konsekwencją tego jest obecna sytuacja: uczniowie nie potrafią czytać ze zrozumieniem, co wpływa na zanikanie umiejętności tworzenia dłuższych wypowiedzi. Rozbudowany monolog zaczyna być dzisiaj naprawdę czymś nieosiągalnym. Zobaczmy, jak może brzmieć zadanie: stwórz własną notatkę na podstawie przeczytanego tekstu, stwórz streszczenie tego tekstu. A czym innym jest polecenie: uzupełnij luki. To całkowicie inne umiejętności i niestety ćwiczenie

eprasa.pl f919f027b5



The Economist

Weekly edition | World in brief | Opinion | United States | Finance & economics | Business | China | Asia | Europe | Britain

International | Not adding up

Students are doing worse than you think

Some at college or university are testing no better than ten-year-olds

The Economist

ILLUSTRATION: CARL GODFREY

Jun 25th 2026 | 12 min read

IN RECENT weeks more than 1,800 maths and science lecturers at the University of California, one of America's largest and best public university systems, have signed an open letter detailing a tricky problem. First-year undergraduates, they say, are increasingly arriving without the basic skills they need to succeed. At the campus in Berkeley, they write, some 20-30% of students taking an early calculus

tych kluczowych zdolności zostało zaniedbane. Zapominamy, że szkoła ma nas przygotowywać do życia zawodowego i społecznego, a więc również do wystąpień publicznych – zaznacza Bartłomiej Rosiak.

Pierwsze sygnały alarmowe pojawiły się już w 2012 r. Wykładowcy skarżyli się wtedy, że studentom brakuje wiedzy ogólnej i umiejętności logicznego myślenia. Właśnie w tym czasie na uczelnie zaczęły trafiać roczniki kształcone głównie za pomocą testów i zadań zamkniętych, które zyskały popularność kilka lat wcześniej. „Nie posiadają wiedzy ogólnej. Gramatyki języka polskiego nie znają w ogóle: nie potrafią odróżnić części mowy od części zdania albo stworzyć zdania z dopełnieniem bliższym. Kraje Europy: tu też są luki. Niedawno przyszedł na zaliczenie student (...). Nie wiedział, że Norwegia leży w Skandynawii! Gierek? Pierwsze słyszę", skarżył się anonimowy wykładowca Uniwersytetu Gdańskiego w „Gazecie Wyborczej".

Odpływ studentów

– Powszechny dostęp do internetu sprawił, że wiele osób przestało traktować wiedzę jako coś, co trzeba posiadać. Pojawia się przekonanie, że wszystko można w każdej chwili sprawdzić. Oczywiście można wyszukać datę czy nazwisko. Nie da się jednak w ten sposób zbudować rozumienia procesów społecznych, historycznych czy politycznych. Sama informacja nie wystarczy. Potrzebne są jeszcze kontekst i umiejętność łączenia faktów – przypomina prof. Alberski.

Smartfon dał młodym ludziom dostęp do niemal każdej informacji, ale osłabił potrzebę jej zapamiętywania. Wykładowcy alarmują: skoro wszystko można natychmiast wyszukać, coraz trudniej przekonać studentów, że wiedzę warto mieć także we własnej głowie.

– Poczucie, że wszystko jest w Google'ach, zahacza o problem aksjologiczny, bo wiąże się z deprecjonowaniem wiedzy jako wartości samej w sobie. Dziś często słyszymy, że wiedza nie ma znaczenia, bo wszystko można sprawdzić w wyszukiwarce. Tymczasem wartością jest wiedzieć, a nie musieć sprawdzać. Mieć wiedzę o świecie, która pozwala po nim się poruszać – konstatuje Bartłomiej Rosiak.

Duża część studentów nie dociera do dyplomu. Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy ustalił, że w latach 2012-2020 skreśleniem z listy zakończyło się ponad 1,3 mln rozpoczętych toków studiów, czyli aż 40% wszystkich. A według aktualnych danych systemu ELA (Ekonomiczne Losy Absolwentów) ogólnopolska skala dropoutu (przedwczesnego rezygnowania z nauki) wynosi ok. 30%. Na tę sytuację składa się kilka elementów.

– Trzeba pamiętać o zmianach demograficznych. Polski system szkolnictwa wyższego rozwijał się w czasach wyżu, kiedy kandydatów na studia było bardzo wielu. Dziś sytuacja jest odwrotna. Miejsc na studiach jest więcej niż osób zainteresowanych studiowaniem. W praktyce oznacza to, że niemal każdy, kto zda maturę, jest w stanie znaleźć dla siebie miejsce na uczelni. Tymczasem samo zdanie matury nie zawsze oznacza, że ktoś jest rzeczywiście przygotowany do studiowania. To później bardzo wyraźnie widać na pierwszych semestrach. Wysoki odsetek rezygnacji po pierwszym roku jest częściowo konsekwencją tego problemu. Oczywiście zawsze będą przypadki losowe, ale część studentów po prostu nie radzi sobie z wymaganiami. Kiedy pojawiają się pierwsze niezdane egzaminy czy pierwsze poważne trudności, wielu szybko uznaje, że dany kierunek albo studia w ogóle nie są dla nich. Mam wrażenie, że to pokolenie znacznie łatwiej niż wcześniejsze rezygnuje z dalszej walki, jeśli coś nie układa się od razu po jego myśli – przyznaje prof. Alberski.

Według Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego studenci najczęściej rezygnują z powodu źle wybranego kierunku, rozczarowania programem, problemów finansowych, konieczności podjęcia pracy, kłopotów zdrowotnych lub trudnych dojazdów. Zniechęcają ich również

eprasa.pl f919f027b5

nadmiar teorii, sztywne plany zajęć, niska jakość nauczania i brak wsparcia ze strony uczelni.

Jednocześnie pozostajemy z tym pytaniem, czy aby studentów po prostu nie jest obecnie zbyt wielu. Według Głównego Urzędu Statystycznego w roku akademickim 2025/2026 na uczelniach w Polsce kształciło się ok. 1,3 mln studentów, a dyplomy ukończenia w roku 2024/2025 otrzymało 306,6 tys. absolwentów.

Jak już wspominaliśmy, niski jest też próg wejścia – niewielkie wymagania na maturze i dużo miejsc na uczelniach. W zeszłym roku w pierwszym terminie maturę zdało 80% abiturientów. To sprawia, że pójść na studia może każdy, nawet ci, którzy do studiowania nie są wcale przekonani. Ale, jak to mówią, studia wypada mieć. Nie ma też systemowych zachęt dla uczelni, aby prowadziły większą selekcję. Od 2005 r. zrezygnowano z egzaminów na studia.

Dekadę temu Katarzyna Lubnauer, która obecnie pełni funkcję wiceministry w Ministerstwie Edukacji Narodowej, mówiła na antenie TOK FM: „Kiedy ja szłam na studia, na moim roku były 83 osoby. Na tym samym wydziale teraz jest 400 osób. Nie zrobiło się osób zdolnych cztery-pięć razy więcej. Poszerzyło się grono studiujących, więc poziom jest niższy”. Widać zatem, że decydentom podstawowy problem szkolnictwa wyższego jest znany. Nie widać jednak żadnych działań, które miałyby uzdrowić sytuację.

Zmęczeni i zniechęceni

Dydaktyka przez brak instytucjonalnego uporządkowania staje się dużo trudniejsza, co wpływa na odpływ i studentów, i wykładowców.

– W rozmowach z kolegami coraz częściej słyszę jedno zdanie: „Byle do pierwszego dnia, kiedy będzie można przejść na emeryturę”. Chcę podkreślić, że nie wynika to ze zniechęcenia do pracy naukowej. Sam nadal pracuję również w pozauniwersyteckim instytucie badawczym i nie widzę powodu, by po osiągnięciu wieku emerytalnego natychmiast kończyć działalność zawodową. Problem dotyczy przede wszystkim dydaktyki i codziennego kontaktu ze studentami, który staje się coraz trudniejszy – twierdzi prof. Szukalski.

Tymczasem prof. Maria Mrówczyńska, wiceministra nauki i szkolnictwa wyższego, opowiada w mediach, że studiowanie to nie jest „rocket science”, i podkreśla, że trzeba teraz stawiać na pomoc psychologiczną dla studentów, którzy zderzają się ze ścianą, idąc na studia powyżej ich umiejętności. A jeśli maturzyści nie chcą przychodzić na wybrane kierunki studiów, to problem rozwiąże przecież lepszy marketing.

– Paradoksalnie dziś często znacznie lepiej prowadzi mi się zajęcia na studiach niestacjonarnych niż stacjonarnych. Kiedy zaczynałem pracę ponad 30 lat temu, sytuacja była odwrotna. Najlepsi studenci trafiali na studia dzienne, a różnica poziomu między studiami dziennymi i zaocznymi była wyraźnie odczuwalna. Dziś mam wrażenie, że studenci zaoczni, którzy są zwykle trochę starsi i mają już doświadczenia zawodowe oraz życiowe, często są bardziej zaangażowani, dojrzalsi i lepiej przygotowani do dyskusji – mówi prof. Piotr Szukalski.

Kryzys polskich uczelni nie sprowadza się zatem do braków w wiedzy u 20% studentów. Jego źródła sięgają szkoły podstawowej, nauczania opartego na testach, obniżania wymagań oraz utraty przekonania, że wiedza sama w sobie ma wartość. Masowy dostęp do studiów, niewielka selekcja kandydatów i brak systemowych rozwiązań sprawiają, że gorzej przygotowani szybko rezygnują, najzdolniejsi się zniechęcają, a wykładowcy coraz częściej mają dość dydaktyki.

Akademicka karawana może się poruszać tylko tak szybko, jak pozwalają jej najsłabiej przygotowani uczestnicy. Wiedzę można dziś znaleźć w kilka sekund, ale nie da się równie szybko nauczyć jej rozumienia. Jeśli państwo nadal będzie myliło liczbę studentów z jakością edukacji, dyplom stanie się jeszcze powszechniejszy, a jego znaczenie jeszcze mniejsze.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

> Smartfon dał dostęp do niemal każdej informacji, ale osłabił potrzebę jej zapamiętywania.



eprasa.pl f919f027b5

Ulotna pamięć kard. Dziwisza

Wynoszony na piedestał, krył księży pedofilów

Andrzej Sikorski



Kard. Dziwisz na procesie wytoczonym archidiecezji przez Janusza Szymika. Kraków, 3 sierpnia 2026 r.

Niegdyś uchodził za niemal świętego, a opowieści o jego przemożnych wpływach w kurii rzymskiej obrosły legendą. Choć przedstawiał się jako skromny sługa, sekretarz Karola Wojtyły, był wynoszony na piedestał. Prezydent Andrzej Duda „w uznaniu znamienitych zasług dla Rzeczypospolitej Polskiej, a w szczególności dla życia publicznego i społecznego, za budowanie pozytywnego wizerunku Polski na świecie oraz za osiągnięcia w dziele pojednania między ludźmi" odznaczył go Orderem Orła Białego. Do tego jeszcze Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski przyznany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, prestiżowe odznaczenia nadane m.in. przez prezydentów Włoch, Słowacji, Argentyny, Portugalii i Austrii, liczne tytuły doktora honoris causa uniwersytetów polskich i zagranicznych, honorowe obywatelstwa miast i gmin.

Wystawiono mu trzy pomniki, na których przedstawiony jest w towarzystwie Jana Pawła II. Ale wisienką na torcie pochlebstw i zaszczytów była nagroda SuperWiktora przyznawana osobistościom telewizyjnym. „Jestem pasterzem Kościoła, a nie aktorem czy przedstawicielem mediów. Jeśli to miałoby służyć porozumieniu i kontaktowi pasterza i kapłana ze społeczeństwem, któremu chce służyć, to gotów jestem przyjąć to wyróżnienie", stwierdził laureat.

Nie poznaje samego siebie

Kard. Stanisław Dziwisz przyjął SuperWiktora, ale o zobowiązaniu zapomniał. Wezwany do Sądu Okręgowego w Krakowie na rozprawę w charakterze świadka (3 sierpnia br.) nie przypominał dawnego siebie. Być może dlatego, że sprawa jest dla niego niewygodna. Janusz Szymik, były ministrant, pozwał archidiecezję krakowską i parafię w Międzybrodziu Bialskim, żądając 20 mln zł odszkodowania za to, że jako dziecko, w latach 1984-1989, był kilkaset razy wykorzystywany seksualnie przez wpływowego duchownego ks. Jana Wodniaka, któremu przełożeni zapewniali bezkarność. Wodniak, zanim został proboszczem parafii w Międzybrodziu Bialskim, pełnił funkcję sekretarza metropolity krakowskiego kard. Franciszka Macharskiego. Wiele wskazuje na to, że ksiądz pedofil kolegował się z Dziwiszem.

Od początku lat 90. Szymik informował bp. Tadeusza Rakoczego, że był ofiarą Wodniaka. Jednak hierarcha rozpostarł parasol ochronny nad pedofilem. Szymik przekazał spisaną relację ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu, a ten w 2012 r. osobiście wręczył pismo Dziwiszowi, wówczas metropolicie krakowskiemu. Oprócz krzywd byłego ministranta w dokumentach opisano zaniechania bp. Rakoczego. Jednak Dziwisz nie zainteresował się sprawą. Dopiero kilka lat później, po przejściu Rakoczego na emeryturę, z Szymikiem spotkał się bp Roman Pindel. Wodniaka usunięto z parafii i wszczęto wobec niego postępowanie kościelne. Krzywda mu się jednak nie stała. Został skazany na pięć lat odosobnienia i pozbawienie kościelnych urzędów, zakazano mu też kontaktów z młodzieżą. Symboliczną karę poniósł bp Rakoczy. Watykan zakazał mu udziału w publicznych celebracjach, spotkaniach i zebraniach plenarnych episkopatu oraz nakazał życie w pokucie i modlitwie.

Kościół nigdy nie wyjaśnił roli kard. Dziwisza, który podobnie jak Rakoczy chronił Wodniaka. Adwokaci Janusza Szymika mieli nadzieję, że były sekretarz Jana Pawła II przed sądem wytłumaczy się z haniebnego postępowania. Kardynał tymczasem szedł w zaparte. Stwierdził, że „nie miał żadnych kontaktów z Wodniakiem" i „nie interesował się tym, co działo się w diecezji". Gdy Dziwiszowi

eprasa.pl f919f027b5

okazano zdjęcie, na którym był z Wodniakiem na plaży i w strojach kąpielowych, stwierdził, że nie rozpoznaje na nich ani Wodniaka, ani siebie (sic!).

Odnośnie do listu od Isakowicza-Zaleskiego tłumaczył, że przekazał go do kurii w Krakowie, potem list trafił rzekomo do Watykanu. Kardynał utrzymywał, że w liście nie pojawiło się nazwisko Janusza Szymika, a o Wodniaku było raptem kilka zdań. Głównym motywem listu było zaś oskarżenie kilku księży o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa.

Co ciekawe, wcześniej, we wrześniu 2020 r., Dziwisz twierdził, że nigdy rzeczonego listu nie dostał, a w sprawie Janusza Szymika powinna zostać powołana niezależna komisja. Hierarcha deklarował „wolę pełnej współpracy z taką komisją" i zapewniał, że „podejmie kroki w celu osobistego spotkania z Panem Januszem Szymikiem".

„Zeznania kardynała pozostają w dużej sprzeczności z tym materiałem, którym dysponujemy. Mamy zdjęcia, z których wynika, że łączyły go z ks. Wodniakiem relacje dalekie od służbowych. Bo nie z każdym współpracownikiem udajemy się na plażę. Zakładamy, że kardynał był w prywatnych relacjach z ks. Wodniakiem i jeździli na wczasy. Musiał więc wiedzieć, jakim człowiekiem był Jan Wodniak i że dopuszcza się czynów haniebnych. Wiele poszlak wskazuje, że Kościół o tym wiedział", mówił po rozprawie Janusz Szymik.

Tak było, nie zmyśla

Zasłanianie się niepamięcią to konsekwentna postawa Dziwisza. Pamiętamy słynny wywiad, którego kardynał udzielił w październiku 2020 r. Piotrowi Kraście w TVN 24. Pytany o pedofilię w Kościele mówił w kółko: „nie wiem", „nie pamiętam", „nie mam wiedzy", „to nie były moje kompetencje", „byłem poza tym". A sprawa molestowania byłego ministranta jest zaledwie jednym z wielu jego grzechów. Wkrótce po wywiadzie w TVN 24 pokazano reportaż „Don Stanislao", z którego wyłaniał się mroczny obraz najbliższego współpracownika Jana Pawła II. Wedle ustaleń dziennikarzy Dziwisz nie tylko przez wiele lat wykorzystywał swoją pozycję w Watykanie do tuszowania skandali pedofilskich, ale jeszcze przyjmował za to pieniądze od sprawców.

„Kiedy mowa o skandalach wykorzystania seksualnego w Kościele, czy to Meksyk, Stany Zjednoczone, Irlandia, Austria, Chile, Brazylia, Argentyna czy Francja, wszystkie drogi prowadzą do Dziwisza. Kiedy mowa o tuszowaniu tych skandali, Dziwisz niemal zawsze pojawia się w aktach. (…) Jest znienawidzony na świecie. Historia zapamięta go jako czarny charakter Kościoła katolickiego", mówił w reportażu TVN 24 Frédéric Martel, autor książki „Sodoma".

Papież Franciszek oskarżył Karola Wojtyłę o tuszowanie nadużyć seksualnych i finansowych.

Pytany przez Kraśkę o założyciela zakonu legionistów Chrystusa, Maciela Degollada, Dziwisz stwierdził, że „był absolutnie poza tym" i „nigdy czegoś podobnego nie słyszał". Przypomnijmy: Degollado uważany jest za największego przestępcę współczesnego Kościoła. W 1941 r. jako 21-latek, nie mając święceń kapłańskich, założył własne zgromadzenie – legionistów Chrystusa, które z czasem przekształcił w międzynarodową organizację mafijną z filiami w ponad 20 krajach. Według dokumentów i zeznań świadków Maciel molestował i zgwałcił co najmniej setkę dzieci, w tym swoich dwóch synów, a jego zaufani księża współpracownicy – co najmniej 175 dzieci w wieku od 10 do 16 lat. W szkołach legionistów uczniowie i seminarzyści byli gwałceni przez kolegów i przełożonych.

O tym, że Maciel jest przestępcą seksualnym, wiadomo było w Watykanie już co najmniej od lat 40. Kolejni papieże przymykali na to oko, bo samozwańczy przywódca legionistów miał niezwykły dar pozyskiwania od darczyńców, głównie bogatych wdów, pieniędzy, które przekazywał do Rzymu.

„W ostatnich latach życia Jana Pawła II Sodano (Angelo Sodano – ówczesny watykański sekretarz stanu) i Dziwisz otrzymywali duże sumy pieniędzy od legionistów Chrystusa. Dziwisz dostawał nawet po 50 tys. dol. za wprowadzanie bogatych darczyńców legionistów na papieskie msze w prywatnej kaplicy", opowiadał w reportażu amerykański dziennikarz Jason Berry, który już w 1997 r. w gazecie „Hartford Courant" przedstawił relacje dziewięciu mężczyzn wykorzystywanych w dzieciństwie przez Maciela.

Legioniści mieli także finansować imprezy na cześć Dziwisza, kiedy został biskupem i kardynałem. Dopiero w 2010 r. (dwa lata po śmierci Degollada, który nie odpowiedział za popełnione przestępstwa i nie został wydalony ze stanu kapłańskiego) Watykan przyznał, że duchowny dopuścił się „niemoralnego zachowania, licznych przestępstw" i prowadził „życie pozbawione skrupułów".

Władze Kościoła nigdy nie ujawniły roli Dziwisza w kryciu zbrodniarza, choć pewne przypuszczenia nasuwają się same. W 2019 r. w drodze powrotnej z pielgrzymki do Zjednoczonych Emiratów Arabskich papież Franciszek na pokładzie samolotu odpowiadał dziennikarzom na pytania dotyczące m.in. skandali seksualnych w Kościele. Chwalił Benedykta XVI za decyzję o rozwiązaniu żeńskiego zgromadzenia, w którym siostry zakonne były „niewolone seksualnie" przez księży, natomiast Karola Wojtyłę oskarżył o tuszowanie nadużyć seksualnych i finansowych. Zdaniem Franciszka Joseph Ratzinger jeszcze jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary przedstawił Wojtyle dokumenty na temat nadużyć seksualnych i ekonomicznych w „pewnym zgromadzeniu", ale ten kazał „odesłać je do archiwum". „Jeśli chodzi o papieża Benedykta, pierwszą rzeczą, którą powiedział po wyborze, było: »Przynieście mi z powrotem te papiery z archiwów«, i rozpoczął śledztwo", mówił Franciszek.

Dokumenty, o których wspomniał papież, a które na polecenie Wojtyły trafiły do archiwum, to

eprasa.pl f919f027b5

najprawdopodobniej materiały zebrane przez Ratzingera w 1998 r. Wówczas ze Stanów Zjednoczonych i Meksyku przybyła do Watykanu specjalna delegacja, składająca się z kilku ofiar – mężczyzn wykorzystanych seksualnie w młodym wieku przez Degollada, oraz prawników, pełnomocników ofiar. Delegacja przedstawiła w Kongregacji Nauki Wiary formalne oświadczenia i różnego rodzaju dokumentację, a pokrzywdzeni złożyli pod przysięgą zeznania na temat przestępstw popełnionych przez zakonnika.



Czułe słówka

Za to Watykan ujawnił rolę Stanisława Dziwisza w kryciu innego przestępcy seksualnego, amerykańskiego kardynała Theodore'a McCarricka (wydalony ze stanu kapłańskiego w lutym 2019 r.). Opublikowany jesienią 2020 r. raport watykańskiego Sekretariatu Stanu miał wyjaśnić, jak McCarrick zrobił kościelną karierę, skoro Stolica Apostolska wiedziała, że molestuje kleryków i seminarzystów.

Jan Paweł II wiedział o nadużyciach McCarricka z wiarygodnego źródła. Informował go kard. John O'Connor, wówczas arcybiskup Nowego Jorku, który już w 1994 r. przeprowadził śledztwo w sprawie rozpustnego hierarchy. W 1999 r. O'Connor ostrzegał Stolicę Apostolską przed „możliwym skandalem" (jeśli McCarrick zostanie arcybiskupem Waszyngtonu) w związku z podejrzeniami o molestowanie kleryków. Arcybiskup Nowego Jorku opierał się nie na plotkach, ale na zeznaniach świadków – kleryków, które były znane biskupom w USA już w latach 80. i 90. Wiele wskazuje na to, że za McCarrickiem wstawił się u Jana Pawła II Dziwisz, a jak wynika z ujawnionych listów, dostojnicy kościelni byli w znakomitej komitywie.

„Dziś piszę z uwagi na zaufanie, jakie mam do Ciebie, i na Twoją miłość do Kościoła i do naszego Papieża. Słyszałem, że przed śmiercią kardynał O'Connor napisał do Ojca Świętego list, który głęboko skrytykował moje życie jako biskupa, kapłana, a nawet jako człowieka. Jeśli to prawda, to jest to bardzo poważne oskarżenie i bardzo mnie dziwi. (...) Wasza Ekscelencjo, jestem pewien, że popełniłem błędy i może czasami brakowało mi roztropności, ale w ciągu 70 lat mojego życia nigdy nie miałem stosunków seksualnych z żadną osobą (...) Myślałem, aby nie pisać do Ciebie o tym strasznym zarzucie i pozostawić sprawę w rękach Boga, który jest Sędzią wszystkich rzeczy. Przedyskutowałem to jednak dogłębnie z moim spowiednikiem i doradził mi, abym przynajmniej skontaktował się z Tobą, którego uważam za dobrego przyjaciela i brata (...)", pisał McCarrick do Dziwisza. List zakończył podziękowaniami i prośbą o modlitwę, bo „to trudny moment" w jego życiu.

Z zeznań złożonych przez bp. Jamesa Harveya, ówczesnego prefekta Domu Papieskiego, wiemy, że Dziwisz dał mu kopię odręcznie napisanego listu McCarricka z żądaniem, by przetłumaczono go dla papieża na włoski i przepisano na maszynie. Harvey zeznał, że „to był całkowity wyjątek" i „nigdy wcześniej o nic takiego nie był proszony". Wkrótce papież mianował McCarricka metropolitą Waszyngtonu, a potem kardynałem. Przesłuchiwany przez członków komisji Dziwisz składał sprzeczne zeznania. Raz twierdził, że list przekazał Ojcu Świętemu, innym razem, że urzędnikowi kościelnemu.

Co prawda, raport nie wspominał o łapówkach przekazywanych Dziwiszowi przez amerykańskiego hierarchę, ale o takim procederze mówili świadkowie. „Widziałem koperty z numerami. Jeśli to była piątka, oznaczało, że w środku jest 5 tys. dol. Dla kard. Dziwisza była koperta z numerem 10", opowiadał w reportażu TVN 24 James Grein, ofiara Theodore'a McCarricka. 10 tys. dol. miało być łapówką dla papieskiego sekretarza za szybkie zorganizowanie audiencji u Jana Pawła II.

•

Za Stanisławem Dziwiszem ciągną się także inne skandale. To sekretarz Jana Pawła II miał torpedować w Watykanie sprawę ks. Michała M., proboszcza z Tylawy, w 2004 r. skazanego na dwa lata więzienia w zawieszeniu na pięć lat za molestowanie sześciu dziewczynek. Duchownego nie wyrzucono ze stanu kapłańskiego. Wyjechał z Tylawy i zamieszkał w rodzinnym Zambrowie, gdzie odprawiał msze, a w Radiu Maryja prowadził różaniec. Dziwisz miał również chronić kolegę z seminarium, ks. Stefana D., którego rodzice, wikariusz i pielęgniarka oskarżyli o molestowanie chłopców w Mydlnikach. Bp Jan Szkodoń obiecał, że duchowny nie będzie proboszczem, ale Dziwisz przeniósł Stefana D. do innej parafii. Gdy sprawą zainteresował się ks. Isakowicz-Zaleski, kardynał wysłał kolegę na emeryturę. Z kolei ks. Mirosława Króla oskarżanego o wykorzystywanie seksualne dorosłych mężczyzn Stanisław Dziwisz ulokował na stołku rektora polonijnego seminarium duchownego w Orchard Lake w USA. Ale pewnie i tego już nie pamięta.

Dziwisz dostawał po 50 tys. dol. za wprowadzanie darczyńców legionistów Chrystusa na papieskie msze w prywatnej kaplicy.

Andrzej Sikorski

FOT. BEATA ZAWRZEL/ REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f919f027b5

TRZY ĆWIARTKI Andrzeja Romanowskiego

Gdyby chcieć opisać Jego życiową postawę w dwóch słowach, byłyby to uczciwość i empatia

Paweł Siergiejczyk

Chyba nie taki straszny był u nas „komunistyczny totalitaryzm", skoro w roku 1951, czyli w samym szczycie stalinizmu, urodziło się w Rzeczypospolitej Polskiej – która dopiero rok później przyjmie nazwę PRL – ponad 783 tys. dzieci, co stanowiło jeden z najlepszych wyników demograficznych w całym okresie powojennym (dla porównania: w 2025 r. przyszło na świat zaledwie 238 tys. nowych mieszkańców naszego kraju).

Wśród owych 783 tys. był syn krakowskiej rodziny inteligenckiej: lekarza Tadeusza Romanowskiego i biolożki Lidii z Bytnarów. Tak, z tych samych Bytnarów, którzy przeszli do narodowej legendy dzięki tyleż pięknym, co tragicznym losom „Rudego" i jego rodziny, opisanym w „Kamieniach na szaniec" Aleksandra Kamińskiego. Nic dziwnego, że Andrzej Romanowski nieraz będzie później używał pseudonimu dziennikarskiego Grzegorz Bytnar.

A przyszedł na świat w czasie szczególnie trudnym. Miesiąc przed jego narodzinami zmarł kard. Adam Sapieha, który kierował krakowskim Kościołem podczas dwóch wojen światowych, odgrywając rolę przywódcy duchowego, ale i politycznego. Kilka dni później przed Najwyższym Sądem Wojskowym rozpoczął się pokazowy proces gen. Stanisława Tatara i innych przedwojennych oficerów. Zaraz potem aresztowano Władysława Gomułkę, a gdy Andrzej Romanowski miał kilkanaście dni, czołowy spiker radiowy Stefan Martyka został zamordowany w swoim warszawskim mieszkaniu przez członków podziemnej organizacji „Kraj".

Ale równocześnie w tych samych dniach oddano do użytku wielki piec w Hucie Kościuszko w Chorzowie i rozpoczęła pracę Stocznia Szczecińska, Rada Ministrów wydała dekret o ochronie i uregulowaniu własności osadniczych gospodarstw chłopskich na Ziemiach Odzyskanych, a wkrótce potem utworzono Polską Akademię Nauk i rozpoczęto produkcję samochodów Warszawa w FSO na Żeraniu i ciężarówek Lublin w lubelskiej Fabryce Samochodów Ciężarowych. Pod koniec tego samego roku pełnomocnik rządu minister Stefan Matuszewski ogłosił, że analfabetyzm w Polsce został zlikwidowany, z kolei w Otwocku pod Warszawą obradowała Pierwsza Konferencja Metodologiczna Historyków Polskich, której celem miało być narzucenie marksizmu jako jedynej ideologii obowiązującej w nauce historycznej.

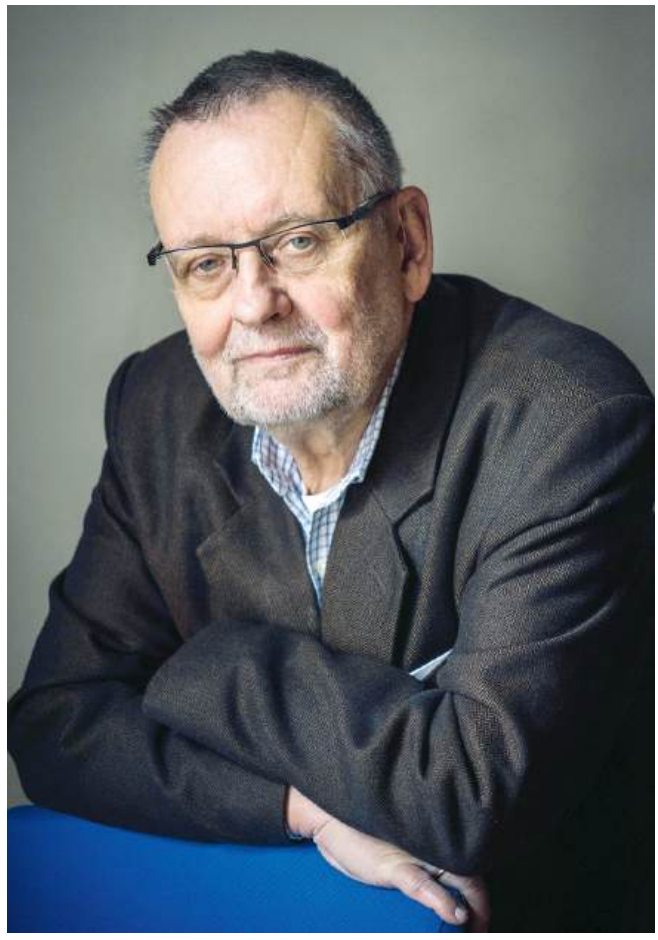
Takie to były czasy, a jednak dzieci się rodziły znacznie częściej niż dziś, kraj w imponującym tempie podnosił się z wojennych zniszczeń i powstawała nowa Polska, niesuwerenna i niedemokratyczna, ale innej po prostu nie było. Rozumieli to tacy ludzie jak prof. Kazimierz Wyka, znakomity historyk literatury, z którego wykładów Andrzej Romanowski jako student UJ będzie potem się uczył miłości do wileńskiego romantyzmu. W 1952 r. Wyka został bezpartyjnym posłem na Sejm PRL I kadencji z województwa krakowskiego. Warto tu zapytać nieco prowokacyjnie, kto zrobił więcej dla Polski: „kolaborant" Wyka czy „niezłomni" zabójcy Martyki, których skazano na karę śmierci – wykonaną, w przeciwieństwie do wielu innych – a której słuszności nie zanegował nawet sąd III RP.

Krakowski profesor jest najbardziej konsekwentnym patriotą III Rzeczypospolitej jako demokratycznego państwa prawa.

W i poza „TP"

Takie prowokacyjne pytanie Andrzeja Romanowskiego z pewnością nie oburzy, bo sam podobnych stawiał wiele. Gdzie się tego nauczył? Czy od przedwojennych nauczycieli w krakowskim II Liceum im. Króla Jana III Sobieskiego (którego absolwentem obok świetnych nazwisk jest też bynajmniej nieświetny prezydent Andrzej Duda)? Czy może na krakowskiej polonistyce, którą ukończył już w epoce gierkowskiej i z którą związał się na całe dalsze życie – poprzez doktorat, habilitację i wreszcie profesurę? Była to przecież ta sama polonistyka, którą niegdyś tworzyli Stanisław Tarnowski i Ignacy Chrzanowski, a doktoraty robili tam tacy ludzie jak radykalna socjalistka Wanda Wasilewska czy równie radykalny endek Tadeusz Bielecki.

eprasa.pl f919f027b5



75 lat temu, 20 sierpnia 1951 r. w Krakowie, urodził się prof. Andrzej Romanowski – literaturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, a od 2003 r. redaktor naczelny Polskiego Słownika Biograficznego. Wybitny autor prac naukowych i wytrawny publicysta „Tygodnika Powszechnego", „Gazety Wyborczej" i „Polityki". A od wielu lat stały felietonista „Przeglądu".

Panie Andrzeju, nie ustawaj w swoim posłannictwie! Pisaniu o przeszłości i teraźniejszości, bo one są nierozerwalnie związane i mocno odciskają się na naszej przyszłości.

Drogi Jubilacie, zdrowia i wielu sił, by trwać w swojej misji ku pożytkowi polskiej nauki i radości odbiorców.

Zespół „Przeglądu" i jego Czytelnicy

A może krytyczne myślenie o sprawach polskich wyniósł Andrzej Romanowski z redakcji „Tygodnika Powszechnego", z którym podjął stałą współpracę równo pół wieku temu, jako młody asystent z uniwersytetu? Była to wszak redakcja, którą kierował sam Jerzy Turowicz, a należeli do niej Stanisław Stomma, Józefa Hennelowa, Krzysztof Kozłowski i Mieczysław Pszon. Tygodnik z takim zespołem przetrwał cały okres Polski Ludowej, od początku do końca (z krótką przerwą w latach 1953-1956), więc można powiedzieć, że była to najlepsza szkoła realnego pojmowania polityki i historii, do jakiej można trafić.

Ale z „TP" Romanowski w końcu się rozstał. Było to już na początku obecnego stulecia, gdy miejsce po Turowiczu zajął ks. Adam Boniecki, a starych, doświadczonych redaktorów zastąpili młodzi, zafascynowani – albo raczej zaczadzeni – IPN-owską wizją historii. Musiało to być dla profesora niezwykle bolesne, ale nie mógł postąpić inaczej, jeśli chciał pozostać wierny swoim przekonaniom – nie tyle politycznym, ile moralnym. Tak samo było z Unią Wolności, którą Romanowski przecież współtworzył, kiedy jeszcze nosiła pierwotną nazwę ROAD, a potem – Unia Demokratyczna. Zasiadał w jej władzach krajowych i regionalnych przez długie lata, lecz nie wytrzymał, gdy dzięki głosom posłów UW zostało odrzucone weto prezydenta Kwaśniewskiego do ustawy tworzącej Instytut Pamięci Narodowej.

Romanowski stanął wtedy po stronie SLD-owskiego prezydenta, a przeciw większości unijnych kolegów, z którymi łączyła go przeszłość sięgająca jeszcze czasów podziemnej Solidarności. I trudno temu się dziwić. Krakowski profesor jest bowiem najbardziej konsekwentnym patriotą III Rzeczypospolitej jako demokratycznego państwa prawa, zbudowanego na kompromisie Okrągłego Stołu oraz na wielkich reformach epoki rządu Mazowieckiego i prezydenta Jaruzelskiego.

Tymczasem postsolidarnościowe elity tę wizję państwa dość szybko zdradziły, ulegając utopii wymierzania „dziejowej sprawiedliwości" wobec ludzi poprzedniego systemu. To musiało doprowadzić do wielkiej niesprawiedliwości, której symbolem stały się lustracja i postawiony na jej straży IPN, który z czasem stał się czymś w rodzaju policji historycznej, a nawet orwellowskiego ministerstwa prawdy. A skoro wprowadziło się do polskiego ustroju coś tak kuriozalnego, to nie należy się dziwić, że fundamenty tego ustroju – zapisane w konstytucji z 1997 r. – zostały podważone, a w końcu zanegowane.

Trzeba o tym przypominać, by zrozumieć, jak ważną rolę odegrał Andrzej Romanowski w dziejach III RP. Należał on bowiem do tych nielicznych sprawiedliwych w antykomunistycznej Sodomie, jaką stało się nasze państwo już pod koniec lat 90. To właśnie krakowski publicysta miał odwagę zanegować ogarniający

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl f919f027b5

nasze elity i społeczeństwo dogmat lustracji, ostrzegać przed zgubnymi skutkami utworzenia IPN, a wreszcie bić na alarm, że „solidarnościowy antykomunizm i polityczny katolicyzm stały się ważniejsze od Polski".

Uczciwość humanisty

I mimo że nie był politykiem (tylko raz kandydował do Sejmu – w 1991 r. z sosnowieckiej listy UD – ale mandatu nie zdobył) ani redaktorem wpływowych mediów, jego artykuły wywoływały zdumienie, zaniepokojenie lub otwartą wrogość tych wszystkich, którzy na przełomie wieków przystąpili do faktycznego demontażu III RP i marzyli o budowie prawicowo-klerykalnej IV RP. A Romanowskiego znacznie trudniej było atakować niż np. Adama Michnika, któremu cały czas wyciąga się „żydokomunistyczne" pochodzenie, o ludziach, którzy byli w PZPR lub współpracowali z PRL-owskimi służbami, już nie wspominając. No bo jak tu zdyskredytować moralnie potomka rodu Bytnarów, na którego nie ma w archiwach żadnej teczki, a jego jedynym „grzechem" była kilkuletnia przynależność do Stronnictwa Demokratycznego, z którego wystąpił po wprowadzeniu stanu wojennego, by zaangażować się w działalność podziemia? Takich przeciwników polska prawica nie znosi, gdyż podstawą jej funkcjonowania jest okazywanie biograficznej przewagi nad oponentami („trzecie pokolenie AK kontra trzecie pokolenie UB").

Gdyby chcieć opisać życiową postawę Andrzeja Romanowskiego w dwóch słowach, byłyby to uczciwość i empatia. Uczciwości wymaga zawód naukowca, także humanisty – a może zwłaszcza humanisty? Bo choć historia i polonistyka są dziedzinami szczególnie mocno narażonymi na polityczne i ideologiczne manipulacje, to nie sposób być prawdziwym humanistą, jeśli owym manipulacjom się ulega. Romanowski nie ulegał zaś nigdy, czym zasłużył sobie na honor szczególny: oto w 2003 r. objął stanowisko redaktora naczelnego Polskiego Słownika Biograficznego, czyli pomnikowego dzieła polskiej humanistyki, mającego w założeniu zawierać (ułożone alfabetycznie) życiorysy wszystkich osób, które odcisnęły jakiekolwiek piętno na naszych dziejach. Słownik ukazuje się od 1935 r. i na razie doszedł niemal do końca litery T (w najnowszym zeszycie znaleźli się m.in. Jerzy Turowicz i Julian Tuwim). Kardynalną zasadą Słownika jest właśnie całkowita bezstronność i uczciwe podawanie faktów, a nie ocenianie i osądzanie postaci z naszej historii. Po 23 latach można z całą pewnością stwierdzić, że prof. Romanowski nigdy nie sprzeniewierzył się tej zasadzie.

Uczciwy był on również – i nigdy być nie przestał – w swojej eseistyce historycznej. Przez wiele lat uprawiał ją w „Tygodniku Powszechnym", potem w „Gazecie Wyborczej", nieraz w „Polityce" i oczywiście na łamach „Przeglądu" (wiele jego felietonów to przecież tak naprawdę minieseje!). Najważniejsze zebrał w wydanej pięć lat temu książce „Pamięć gromadzi prochy". W przedmowie do niej stwierdził: „Jeden z moich bohaterów, Profesor Henryk Markiewicz, lubił określać się mianem eklektyka. Twierdził, że literaturę trzeba oglądać jak pasmo górskie: z różnych punktów widzenia. Piszący te słowa pragnie być podobnym eklektykiem: z różnych punktów widzenia chce spoglądać na nasze dzieje. Bo trzeba nieustannie rozplątywać nici polskiej tradycji. Na przekór zalewającej nas propagandzie szukać polskości: jej zagubionego sensu".

A sens polskości wyraża się dla Romanowskiego w słowie pogranicze („Pogranicze, czyli polskość" – głosi tytuł księgi jubileuszowej, wydanej ku jego czci w 2022 r.). Pogranicze oznacza mieszanie się i wzajemne wpływanie na siebie różnych kultur, języków, religii, społeczności. Taka była polska historia, tyle że mało kto chce o tym pamiętać. Polskie myślenie zdominował bowiem płytki nacjonalizm: postrzeganie własnego narodu jako jednorodnej wspólnoty ludzi od zawsze mówiących po polsku, wyznających rzymski katolicyzm, walczących o niepodległość z Niemcami i Rosją, stanowczo odrzucających komunizm i inne „lewackie ideologie". Taką wizję dziejów głosi choćby inny krakowski profesor, Andrzej Nowak, istny Wincenty Kadłubek polskiej prawicy (choć bez sutanny).

Entuzjasta integracji

Jednak to wizja nie tylko fałszywa, lecz i szkodliwa. Sprowadza się bowiem w gruncie rzeczy do dwóch operacji matematycznych dokonywanych na żywym organizmie narodowej tradycji: odejmowania i dzielenia. Odejmuje się z naszej przeszłości to, co nam do niej nie pasuje (obcoplemieńców, innowierców, zwolenników wrogich nam idei i poglądów), dzieląc w ten sposób Polaków z przeszłości na lepszych i gorszych, na „bohaterów" i „zdrajców". Z polskości zostaje smutny ogryzek, który nikogo z zewnątrz nie zaciekawi, a wewnątrz kraju może tylko zniechęcać do historii, co zresztą od dawna się dzieje (wskazuje na to np. malejąca z roku na rok liczba maturzystów wybierających ten przedmiot na egzaminie).

Sens polskości wyraża się dla Romanowskiego w słowie pogranicze.

Podejście Andrzeja Romanowskiego jest inne: wobec polskiej tradycji należy stosować dodawanie i mnożenie. Włączać w nią wszystko, co tylko możliwe, pomnażając jej bogactwo i różnorodność. Ale to wymaga rzadkiej dziś intelektualnej uczciwości, bo w przeszłości były przecież rzeczy dobre i złe, byli święci i grzesznicy, dobroczyńcy i złoczyńcy, ludzie odważni i tchórze, mądrzy i głupi.

„Jestem Polakiem – to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia, zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości. (…) Wszystko, co polskie, jest moje: niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć

eprasa.pl f919f027b5

i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne", pisał niegdyś Roman Dmowski. Prof. Romanowski jest tej zasadzie wierny. A czy podpisaliby się pod nią dzisiejsi nacjonaliści z polskiej prawicy?

Obok uczciwości krakowskiego autora cechuje także empatia. Przy pierwszym spotkaniu, jeszcze na początku lat 90., sędziwy Stanisław Stomma powiedział Romanowskiemu: „Bo widzi pan, »Tygodnik Powszechny« jest tak emocjonalnie, prawicowo naprężony… A to, co pan pisze, jest takie inne, takie miłe".

Oczywiście nie wszystko, co pisze prof. Romanowski, jest miłe, czyli przyjemne. Wręcz przeciwnie, ma on podziwu godną odwagę cywilną, dzięki której pisze to, co uważa, bez względu na aktualne mody i nastroje społeczne. Dlatego nieraz mocno smaga nas, swoich rodaków, biczem historycznej prawdy, politycznego rozsądku i moralnej prawości. Ale wynika to z konsekwentnie chrześcijańskiej postawy, że bić się należy w piersi własne, nie cudze, wobec bliźnich zaś należy stosować zrozumienie i miłosierdzie.

Takie empatyczne podejście stosował Andrzej Romanowski zawsze. I wtedy, gdy bronił zasług ludzi dawnego systemu, z gen. Jaruzelskim na czele, nie ukrywając przecież nigdy ich błędów czy niegodziwości. I wtedy, gdy robił wywiad rzekę z Lucyną Tychową, córką Jakuba Bermana, starając się zrozumieć, a nie osądzić życiowe wybory tej jakże niezwykłej rodziny. I wtedy, gdy piętnował polską rusofobię, a dziś również ukrainofobię, wskazując, jak bardzo Polacy lubią zakłamywać swoje przeszłe relacje ze wschodnimi sąsiadami. A nawet zakłamywać własną kulturę, której „ruskość" stanowi nieodłączny, choć słabo uświadamiany element.

Życie pełne historii

Temu właśnie poświęcił ważną książkę „Wschodnim pograniczem literatury polskiej. Od średniowiecza do Oświecenia" z 2018 r. Pisał w niej: „Rzymskokatolicka Litwa, greckokatolicka Ukraina, prawosławne: Ukraina, Białoruś i Rosja – ten świat był (i jakoś wciąż jest) szczególnym w Europie pomostem z Zachodu na Wschód. (…) Analizując pogranicze wschodnie literatury staropolskiej i oświeceniowej, starałem się ukazać, jak wiele da się w nim odnaleźć pierwiastków Wschodu. Gdyby jednak ktoś chciał sądzić, że sprzyjam w ten sposób jakiemuś nowemu zakorzenieniu Polski na wschodzie, odpowiedziałbym: owszem, sprzyjam, lecz tylko w ramach Unii Europejskiej. Czyli obok Niemiec i Francji".

Tak, Romanowski zawsze był i nadal jest wielkim entuzjastą integracji europejskiej. Nieczęsta to dziś postawa w naszym kraju, a i na zachód oraz na południe od nas Unia Europejska budzi coraz mniej entuzjazmu. Nic dziwnego, że profesor autentycznie obawia się polexitu, który byłby chyba największą katastrofą jego życia. A przecież właśnie do polexitu prowadzi ostatecznie chorobliwa germanofobia, która za sprawą osobistych obsesji Jarosława Kaczyńskiego weszła na dobre (a raczej na złe, i to bardzo złe!) do polskiego życia publicznego. I tu znów Andrzej Romanowski staje po stronie prawdy historycznej i moralnej prawości za sprawą opublikowanego kilka lat temu głośnego eseju „Polska – ojczyzna Niemców". Niedawno ukazał się on także w edycji książkowej pod tytułem „Podzwonne" (Universitas, Kraków 2025), z dołączonym do niego równie pięknym i „miłym" w rozumieniu Stanisława Stommy tekstem „Kraina wymarłych ludów", opisującym przeszłość Warmii i Mazur. Przeszłość prawdziwą – bo tylko taka interesuje autora, nawet jeśli nie interesuje większości Polaków, którzy wolą celebrować zakłamaną narodową mitologię.

Świętując jubileusz 75-lecia Andrzeja Romanowskiego, powinniśmy uświadomić sobie, ile mu zawdzięczamy.

Świętując zatem jubileusz 75-lecia Andrzeja Romanowskiego, powinniśmy uświadomić sobie, jak wiele mu zawdzięczamy. O ile uboższe byłyby polska kultura i myśl historyczna bez jego mądrości, talentu i odwagi. Najlepszym zaś prezentem, jaki możemy mu podarować, będzie… poznanie jego własnej, osobistej historii. Na szczęście została ona gruntownie opowiedziana, przede wszystkim w wydanej dwa lata temu arcyciekawej, świetnie przeprowadzonej przez Pawła Dybicza rozmowie rzece „Życie pełne historii". Jej uzupełnienie – na pozór drobne, ale jakże pięknie napisane – stanowi tomik tekstów wspomnieniowych „Szkice rodzinne" (Austeria, Kraków 2026). Czytajmy więc Romanowskiego – o Polsce i o nim samym. A Szanownemu Jubilatowi życzmy ad multos annos! Niech nas dalej prowadzi tam, gdzie należy!

Paweł Siergiejczyk



eprasa.pl f919f027b5



ORACZ ASFALTU

Zaorał drogę i zapowiedział, że zrobi to ponownie

Mateusz Cieślak

Po wydarzeniach z piątku 7 sierpnia do aresztu trafił nie tylko rolnik, który zaorał asfalt na ulicy Rybackiej w Gliwicach. 11 sierpnia zgarnięto także jego psa, Dianę. Jej właściciel siedział w areszcie od 9 sierpnia. Po psa przyjechało dwóch mundurowych, dwóch techników policyjnych, kierowca interwencyjny z miejskiego schroniska dla zwierząt oraz weterynarz. Jeden z policjantów wszystko nagrywał kamerą. Okoliczni mieszkańcy ze zdumieniem obserwowali akcję. Wyglądało to tak, jakby zdaniem policji w gospodarstwie miało dojść do potwornej zbrodni, którą trzeba dokładnie udokumentować.

Od momentu zatrzymania rolnika psem zajmowali się sąsiedzi. Policja o tym wiedziała, bo dzień po aresztowaniu sprawdzano, czy w gospodarstwie nie głodują jakieś zwierzęta. W końcu rolnik może mieć żywe stworzenia. Pan Józef od dawna nie miał jednak bydła ani świń. Pozostał mu tylko wesoły kundelek, o którego dbał być może bardziej niż o siebie.

Koniec wolności

Zaraz po aresztowaniu pana Józefa sąsiedzi uzgodnili z policją, że będą zajmować się psem. Później decyzję zmieniono. Policjanci oznajmili, że mają polecenie, by psa zabrać. Na miejscu była siostra rolnika, która mieszka kilka kilometrów dalej. Niestety, nie pozwolono jej zabrać psa, więc trafił do miejskiego schroniska dla zwierząt w Gliwicach. Jego kierowniczka Barbara Malinowska mówi, że Diana jest w dobrej kondycji, a teraz przechodzi kwarantannę. Co będzie później?

Nadkomisarz Marzena Szwed z gliwickiej policji mówi, że funkcjonariusze przyjechali w związku ze zgłoszeniem dotyczącym psa, który przebywał na zamkniętym podwórku. Sąsiedzi karmili zwierzę, przerzucając jedzenie przez płot albo przeskakując przez ogrodzenie. Jeśli pan Józef wyrazi zgodę, Dianą będzie mogła zaopiekować się siostra. Najpierw jednak musi uzyskać zgodę prokuratora na widzenie z bratem.

Jaki los spotka pana Diany, jeszcze nie wiadomo. Został zatrzymany za zniszczenie mienia. Pługiem rozorał świeżo położony asfalt na ulicy Rybackiej w Gliwicach. Prokurator wystąpił o jego tymczasowe aresztowanie, a sąd ten wniosek uwzględnił. Powód? Nie dość, że pan Józef zaorał asfalt, to jeszcze zapowiedział, że zrobi to ponownie. Zamknięto go więc w celi w obronie asfaltu. Na razie sąd zastosował trzymiesięczny areszt.

Osiem lat za niewinność

Sprawa pana Józefa przypomina mi historię Krystiana Brolla, czyli jeden z najgłośniejszych w Polsce przypadków niesłusznego, wieloletniego pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Mężczyzna najpierw trafił na ławę oskarżonych, a następnie przed oblicze psychiatry. Psychiatra zapytał go, czy wstydzi się tego, co zrobił, a chodziło o groźby karalne. Pan Krystian powiedział, że nie ma czego się wstydzić, bo jest niewinny. Psychiatra ocenił: urojenia. Człowiek uważał się przecież za niewinnego, choć policja, prokuratura i sąd uznawały inaczej. I tak Krystian

FOT. MATEUSZ CIEŚLAK

eprasa.pl f919f027b5

7 sierpnia pan Józef wjechał traktorem na ulicę Rybacką w Gliwicach. Po przejechaniu ok. 200 m został zatrzymany.

Broll w szpitalu psychiatrycznym na oddziale o zaostrzonym rygorze spędził ponad osiem lat. Uwolniono go dopiero po nagłośnieniu sprawy, następnie uniewinniono.

Pan Józef też uważa, że jest niewinny. Twierdzi, że orał swoją własność. Oczywiście chodziło mu nie o asfalt, tylko o ziemię, na której nawierzchnię położono. I tu zasadnicze pytanie: czy rolnik z Gliwic nie trafił za kraty za to, że orał własne pole?

Z opowieści sąsiadów wyłania się zupełnie inny obraz człowieka niż z relacji medialnych. Tam czytamy, że „świr", „awanturnik", „ludzi z widłami gonił". I że dzięki decyzji o aresztowaniu sąsiedzi mogą zaznać spokoju. Ale rozmawiałem nie tylko z tymi, którzy mieszkają przy słynnej Rybackiej, lecz i z najbliższymi sąsiadami. Usłyszałem o kimś zupełnie innym: uczynnym, życzliwym, miłym i lubiącym żartować. Doktor Jekyll i pan Hyde? Nie sądzę. Przypuszczam, że ludzi mieszkających przy Rybackiej traktował jak osobistych wrogów, którzy chcą zabrać to, co należy do niego.

Gospodarstwo pana Józefa znajduje się naprzeciwko Rybackiej, po drugiej stronie szerszej drogi, przecinającej na pół rozsławioną na cały kraj gliwicką dzielnicę Ostropa. Za bramą wjazdową do gospodarstwa stoi stodoła z drewnianymi wrotami. Od nich biegną koleiny traktora i dochodzą do wspomnianej szerokiej drogi. A dalej już Rybacka. Kiedyś była polnym traktem, który wyjeździł najpierw ojciec pana Józefa, a potem on sam. A następnie obok wybudowano domy i polną drogą zaczęły jeździć samochody mieszkańców.

Pan Józef miał stracić swój polny trakt na mocy różnych decyzji. Z ich częścią się nie zgadzał. Postanowiono wypłacić mu rekompensatę, ale jej nie odebrał.

Gdy w piątek 7 sierpnia wjechał swoim traktorem na świeżo położony asfalt i opuścił pług, nie jechał środkiem asfaltowanego odcinka. Trzymał się trochę z boku. Prowadził pług wzdłuż swojego pola. Wyglądało to tak, jakby odkrawał węższy pas asfaltu i odcinał to, co mogło się znajdować już na jego ojcowiźnie.

Po przejechaniu mniej więcej 200 m został zatrzymany. Walcem i ładowarką zablokowali go pracownicy wykonujący nawierzchnię. Wezwana policja przyjechała po 40 minutach. Policjanci, zamiast na Rybacką, pojechali bowiem na Rybnicką, na drugim końcu miasta. Im jako pierwszym pan Józef miał powiedzieć, że swój rajd ponowi. Dlaczego? Bo ta ziemia należy do niego. Jeśli więc nie zmieni zdania, konieczne będzie dożywocie. Inaczej asfalt na Rybackiej może być zagrożony.

Niepotrzebny geodeta

Kto w tym sporze ma rację? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że na miejscu nie było geodety, asfalt zaś położono znacznie szerzej niż na pasie drogi gruntowej. Przyznali mi to ci, którzy przy Rybackiej mieszkają i którzy nią jeżdżą.

Pan Józef twierdzi, że orał swoją własność, czyli ziemię, na której asfalt położono.

Katarzyna Kuczyńska-Budka, prezydentka Gliwic, 9 sierpnia opublikowała w mediach społecznościowych komunikat na czerwonym tle: „Jest wniosek prokuratury o trzymiesięczny areszt dla rolnika, który uszkodził drogę. Za zniszczenie mienia o znacznej wartości grozi kara więzienia od roku do 10 lat". Ponieważ pan Józef też jest obywatelem Gliwic, skierowałem do prezydentki pytanie, czy zwracała się do prokuratury lub sądu, by nie stosować wobec niego tak drastycznego środka jak areszt. Nie odpowiedziała.

Pani prezydent wykazała się za to troską o suczkę Dianę. 10 sierpnia przekazała: „Informuję również, że pies rolnika – wbrew plotkom powtarzanym w mediach społecznościowych – jest od piątku, do czasu powrotu właściciela, otoczony opieką".

W Zarządzie Dróg Miejskich w Gliwicach nie chciano ze mną rozmawiać. Odesłano mnie do magistratu. Postawiłem więc Katarzynie Kuczyńskiej-Budce liczne pytania o przebudowę Rybackiej. Chciałem wiedzieć np., czy przed rozpoczęciem robót przeprowadzono tam jakiekolwiek czynności geodezyjne, związane z ustaleniem punktów granicznych. Odpowiedzi na razie nie ma (pytania wysłałem 10 sierpnia).

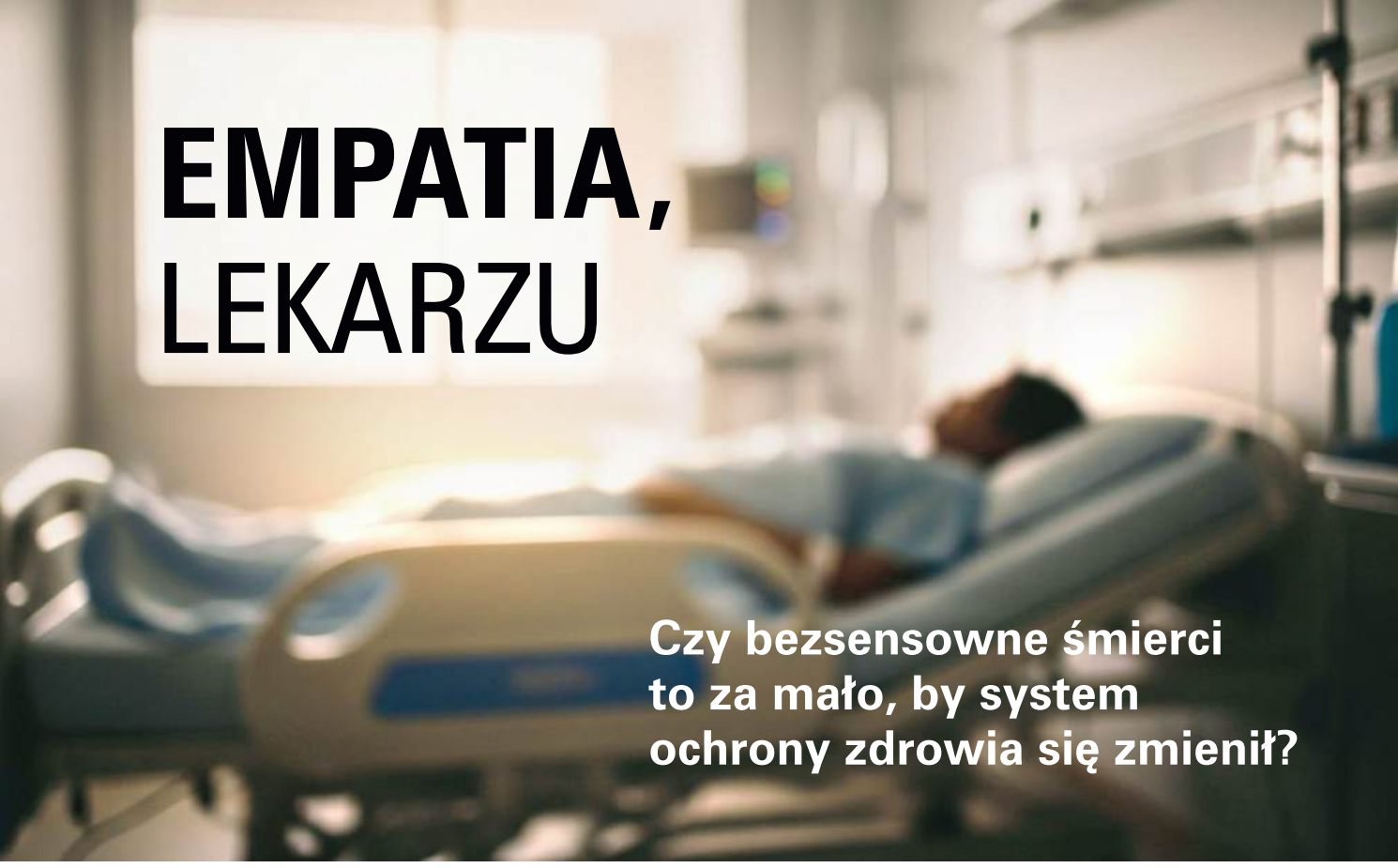
Są natomiast oświadczenia Zarządu Dróg Miejskich. W jednym stwierdzono: „Po weryfikacji stanu prawnego nieruchomości potwierdzono, że droga w całości stanowi własność Miasta Gliwice". W innym czytamy: „Pas gruntu należący do gminy jest szerszy niż teren faktycznie zajęty pod drogę". Z kolejnego dowiadujemy się: „Zakres prac obejmuje remont istniejącej nawierzchni, czyli poprawę jej stanu przy zastosowaniu nowych materiałów. Tego rodzaju prace nie wymagają sporządzenia dokumentacji projektowej, uzyskania pozwolenia na budowę ani zgłoszenia robót budowlanych".

Z tego ostatniego oświadczenia może wynikać, że prace prowadzono na czuja. Oświadczenie wydano, bo coraz więcej osób zastanawiało się, co to za remont, który zmienia drogę gruntową w drogę asfaltową. W dodatku znacznie szerszą.

Sprawą zainteresował się Krzysztof Szczepanik, geodeta i biegły sądowy, a także jeden z autorów kanału „Kawa z mierniczym" na YouTubie. Zadzwonił do gliwickiego ZDM i od wicedyrektora Artura Kruczka dowiedział się, że ani przed rozpoczęciem prac, ani w ich trakcie nie było tam geodety, gdyż „nie było takiej potrzeby".

Nawet jeśli pan Józef już nie był właścicielem tej części ojcowizny, na której jest droga, to, jak mówi Szczepanik, przed takimi pracami należało rolnika uprzedzić. A przede wszystkim wyraźnie wyznaczyć granicę, żeby nie było wątpliwości co do jej przebiegu. Czy pan Józef mógł sądzić, że wkracza się na jego grunt? Mógł. Czy mógł się zdenerwować? Mógł. A teraz siedzi. ■

eprasa.pl f919f027b5



EMPATIA, LEKARZU

Czy bezsensowne śmierci to za mało, by system ochrony zdrowia się zmienił?

Beata Igielska

Czy w Szpitalu Neuropsychiatrycznym w Lublinie unieruchomiony pasami Człowiek (nazwisko ukryjmy) umierał z pragnienia w wyniku silnego odwodnienia? Być może bardzo chciało mu się pić, bo wcześniej w rozmowach telefonicznych z rodziną skarżył się, że w salach szpitalnych jest ponad 40 st. C. Może czuł suchość w ustach, zmęczenie i sikał na ciemno, a potem spadało mu ciśnienie, miał halucynacje, popękaną skórę i brakowało mu śliny. Być może organizm tracił powoli zdolność do chłodzenia się i usuwania toksyn, a krew stawała się coraz gęstsza i serce musiało pompować ją z ogromnym wysiłkiem. Być może gorączkował i doszło do uszkodzenia mózgu i nerek, a Człowiek zapadł w śpiączkę i jego serce się zatrzymało.

Tak wygląda śmierć wskutek odwodnienia. Czy takich cierpień doświadczył dość młody mężczyzna w przeszłości cierpiący na zaburzenie afektywne dwubiegunowe, który zaniepokojony objawami sam wezwał pomoc medyczną? Jak informowała „Gazeta Wyborcza", 28 czerwca br. został przewieziony do szpitala, kolejnego dnia rano kontaktował się z rodziną i skarżył się na panujący w środku upał. Unieruchomiono go za pomocą pasów, a w dokumentacji zapisano, że był pobudzony psychoruchowo i zachowywał się agresywnie wobec personelu. Z dokumentów sfotografowanych przez rodzinę wynika, że w pasach pozostawał przez niemal 43 godziny, w czasie ekstremalnych upałów. 1 lipca rano pielęgniarka zauważyła, że pacjent nie daje oznak życia, a lekarz stwierdził zgon. Prokuratura prowadzi śledztwo pod kątem ewentualnego błędu medycznego. Zapis w Ustawie o ochronie zdrowia psychicznego mówi, że pielęgniarka ma zaglądać do pacjenta w pasach co 15 minut.

„Na obecnym etapie nie można przedstawiać odwodnienia jako ustalonej przyczyny śmierci. Rzecznik Praw Pacjenta (RPP) podejmie tę sprawę z urzędu. Analizie zostaną poddane w szczególności zasadność i sposób stosowania przymusu bezpośredniego, częstotliwość kontroli stanu pacjenta, sposób prowadzenia obserwacji i dokumentacji oraz zapewnienie mu odpowiedniej opieki, nawodnienia i bezpieczeństwa", czytam w odpowiedzi na moje pytania skierowane do biura prasowego RPP.

Jeden rezydent na 300 pacjentów

Katarzyna Szczerbowska, była pacjentka psychiatryczna i była rzeczniczka prasowa Biura ds. Pilotażu Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego odpowiadającego za wprowadzanie centrów zdrowia psychicznego, uważa, że takie sytuacje w szpitalach psychiatrycznych wynikają ze zbyt małej liczby personelu oraz tego, że kulturowo postrzega się osoby doświadczone kryzysem jako gorsze, słabe i wykluczone.

– Na oddziale zamkniętym, całodobowym ludzie są zależni od personelu, więc bardzo ważne, żeby przy pacjentach być empatycznym, troskliwym, żeby umieć ich uspokoić. Przykładem jest pielęgniarz w szpitalu przy ul. Nowowiejskiej w Warszawie, który był przy ludziach przyjętych w stanie ostrym i uspokajał

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f919f027b5

ich często kilka godzin. Nie można pomiatać człowiekiem tylko dlatego, że możesz, że jesteś wykończony lub wyładowujesz na nim własne problemy czy masz potrzebę dominacji. To nie podczłowiek. Takiego myślenia żadne ustawy nie zmienią – stwierdza Szczerbowska.

Z jej doświadczenia wynika, że nikt pacjentowi w kryzysie psychicznym w nic nie uwierzy, nawet jeśli będzie mówił prawdę o tym, co się dzieje w szpitalu. Zawsze można się bronić, że był agresywny.

– Dlatego personel trzeba szkolić z kontaktu z pacjentem, powtarzać, że to jest człowiek, który może wyzdrowieć. Szanujmy go, dbajmy o niego, wyobraźmy sobie, że to jest mój brat czy dziecko… Chcielibyśmy, żeby byli tak traktowani? – podsumowuje Szczerbowska.

Większość szpitali psychiatrycznych to miejsca zaniedbane, niedostosowane do ekstremalnych upałów. W Polsce na psychiatrię wydaje się 4,5% nakładów na ochronę zdrowia, gdy w Wielkiej Brytanii to 11%, a w Niemczech 13% znacznie większych nakładów. Personel też jest ofiarą niedofinansowanego systemu wsparcia. Kiedy są dwie pielęgniarki na 40 osób, trudno budować bezpieczeństwo.

Zdaniem dr. Tomasza Rowińskiego, psychologa, eksperta w dziedzinie zdrowia psychicznego dzieci, młodzieży i dorosłych, zaangażowanego w rozwój i reformę systemów wsparcia psychicznego, sytuacja z Lublina pokazuje, jak organizacja systemu wpływa na bezpieczeństwo pacjenta. Według badań liczba aktów przymusu bezpośredniego wzrasta wraz z malejącą liczbą personelu, czyli im więcej personelu, tym mniej przymusów. Istnieją ponadto metody i procedury, które można stosować przed procedurą przymusu bezpośredniego. Sam przymus powinien być stosowany w ostateczności. Dr Rowiński z dr Anną Depukat piszą o tym w publikacji „Fundamenty moralne w reformie ochrony zdrowia: sukces lub upadek centrów zdrowia psychicznego".

– W przypadku psychiatrii bezpieczeństwu pacjenta nie sprzyja sytuacja opisywana w głośnym raporcie rezydentów o dyżurach – jeden rezydent na 300 pacjentów w trakcie dyżuru od piątku do poniedziałku rano. Jeżeli system dopuszcza do czegoś takiego, a po opublikowaniu raportu rezydentów nic się nie zmieniło, chociaż wszyscy byli informowani – minister zdrowia, konsultant krajowy ds. psychiatrii i Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego – to mamy dramaty i one będą się powtarzać, ponieważ system nie został przeorganizowany – stwierdza dr Rowiński. – Faktycznie żadne przepisy nie uregulują ludzkiego sprawdzania, czy pacjent w pasach jest bezpieczny, czy czegoś potrzebuje.

Winna ustawa?

Przypomnijmy – po ogłoszeniu raportu rezydentów na temat sytuacji w psychiatrii konsultant krajowy w dziedzinie psychiatrii prof. Piotr Gałecki mówił dla „Dziennika Gazety Prawnej", że nie podejmował kontroli z urzędu, ponieważ do jego biura nie wpływały formalne zgłoszenia ani skargi na nieprawidłowości w konkretnych placówkach. Dziś zaś uważa, że problemem jest Ustawa o ochronie zdrowia psychicznego uchwalona ponad 30 lat temu.

– Od tego czasu bardzo się zmieniła psychiatria, możliwości leczenia, ale także rodzaj kryzysów, z którymi pacjenci trafiają do szpitali – mówi „Przeglądowi" prof. Gałecki. – Obecnie ogromnym wyzwaniem są nie tylko pacjenci z zaburzeniami psychotycznymi, lecz także osoby w ostrych kryzysach psychicznych związanych z silną reakcją na stres, zaburzeniami adaptacyjnymi, osobowości, nastroju czy używaniem substancji psychoaktywnych. Nie oznacza to, że leczenie osób z psychozą albo schizofrenią jest mniej ważne. Chodzi o to, że obowiązujące przepisy nie obejmują całego spektrum sytuacji, z którymi mierzy się dziś psychiatria – dodaje profesor.

Wskazuje też, że współczesne klasyfikacje diagnostyczne posługują się pojęciem zaburzeń psychicznych. Tymczasem w polskiej ustawie nadal funkcjonuje określenie „osoba chora psychicznie", przez co rozumie się przede wszystkim osobę z zaburzeniami psychotycznymi. Projekt nowelizacji przewiduje zmianę art. 23 i 24. Przyjęcie pacjenta do szpitala bez jego zgody nie byłoby już uzależnione od tego, czy można go zakwalifikować do ustawowej kategorii osoby chorej psychicznie.

Dlaczego to taki problem? Wyobraźmy sobie 21-letniego mężczyznę, który chce odebrać sobie życie i zostaje zabrany z torów kolejowych. Nie ma omamów ani urojeń, ale w czasie badania mówi, że nadal zamierza się zabić. Skoro nie zgadza się na leczenie, to jeżeli lekarz przyjmie pacjenta do szpitala bez jego zgody, może się narazić na zarzut, że nie zostały spełnione ustawowe przesłanki ograniczenia wolności, ponieważ pacjent nie ma zaburzeń psychotycznych. Jeżeli natomiast go nie przyjmie i dojdzie do tragedii, będzie wyjaśnić, dlaczego nie zareagował na jasno komunikowane zagrożenie życia.

– Lekarz znajduje się więc pomiędzy obowiązkiem ratowania pacjenta a przepisami, które nie przystają do części współczesnych kryzysów psychicznych. Właśnie tę lukę należy usunąć. Projekt nowelizacji ma także uporządkować kontrolę stosowania przymusu bezpośredniego. Obecnie ocena jego zasadności odbywa się przede wszystkim na podstawie dokumentacji. Propozycja zakłada wyraźniejsze rozdzielenie, czy w ogóle istniały podstawy do zastosowania przymusu, czy jego przebieg był prawidłowy i czy trwał tylko tak długo, jak było to konieczne – tłumaczy prof. Gałecki. – Stan fizyczny osoby unieruchomionej albo izolowanej pielęgniarka powinna kontrolować nie rzadziej niż co 15 minut, również wtedy, gdy pacjent śpi. Pierwsze zlecenie lekarza może obejmować maksymalnie cztery godziny. Jeżeli przymus ma być kontynuowany, konieczne jest osobiste badanie pacjenta, a każde kolejne przedłużenie może obejmować okres nie dłuższy niż sześć godzin. Obecnie w pomieszczeniu izolacyjnym jest obowiązkowy stały monitoring. Projekt przewiduje objęcie monitoringiem także pomieszczeń jednoosobowych, w których obserwowana jest osoba unieruchomiona. Nagrania powinny być

eprasa.pl f919f027b5

przechowywane od 12 do 13 miesięcy od ich zarejestrowania – dodaje profesor.

Znaczenie rzeczywistego, a nie jedynie formalnego nadzoru pokazuje sprawa śmierci młodego pacjenta szpitala psychiatrycznego w Kielcach. Mężczyzna, który doświadczał pierwszego w życiu epizodu psychotycznego, przebywał w jednoosobowym pomieszczeniu i popełnił samobójstwo. Nie był unieruchomiony pasami, jednak był w izolacji, która także jest formą przymusu bezpośredniego. Według informacji ujawnianych w toku postępowania, w dokumentacji pielęgniarskiej przez kolejne dni miały pojawiać się powtarzane wpisy „jak wyżej". Nawiązywały one do wcześniejszej informacji, że pacjent jest spokojny i śpi. Jeżeli te ustalenia się potwierdzą, oznaczałoby to, że nadzór mógł mieć jedynie charakter formalny, a nie rzeczywisty.

Ten rzeczywisty nadzór powinien sprawować rzecznik praw pacjenta szpitala psychiatrycznego, czyli pracownik Biura Rzecznika Praw Pacjenta, niezależny od dyrekcji szpitala. Może on wchodzić do pomieszczeń, rozmawiać z pacjentami na osobności, zapoznawać się z dokumentacją medyczną i zapisami monitoringu, a także występować do personelu, kierownictwa szpitala lub podmiotu tworzącego o usunięcie stwierdzonych nieprawidłowości. Jaka jest praktyka? Jeden rzecznik może odpowiadać za kilka placówek i pojawiać się w danym szpitalu jedynie w określonych dniach, czasem przez zaledwie kilka godzin w tygodniu. Problemem nie jest więc sposób pracy rzeczników, lecz ich zbyt mała liczba.

Prof. Gałecki: – Nie można przerzucać całej odpowiedzialności na lekarzy i pielęgniarki. Personel psychiatryczny często pracuje w bardzo trudnych warunkach, przy niedoborach kadrowych, dużym obciążeniu i w budynkach, które wymagają gruntownych remontów. To oczywiście nie zwalnia nikogo z obowiązku właściwej opieki nad pacjentem, ale pozwala zrozumieć, że bezpieczeństwo zależy nie tylko od decyzji pojedynczej osoby na dyżurze. Wyobraźmy sobie szpital psychiatryczny, który ma jedną lub dwie odpowiednio przygotowane sale, a jednocześnie ścisłego zabezpieczenia wymagają trzy osoby. Unieruchomienie pacjenta na korytarzu nie może być traktowane jako właściwy standard. Jeżeli jednak szpital nie ma odpowiedniej liczby pomieszczeń, personel zostaje postawiony w sytuacji, której nie da się bezpiecznie rozwiązać samymi procedurami.

Naruszenia praw pacjenta

W 2025 r. rzecznik praw pacjenta stwierdził naruszenie praw pacjenta w 24 sprawach, w których pacjent zmarł. W pierwszym półroczu 2026 r. takich spraw było 54.

Przykładem jest sprawa 70-latka, który 24 sierpnia 2023 r. został przyjęty do uzdrowiska w Iwoniczu-Zdroju. 25 sierpnia upadł na podłogę. W dokumentacji medycznej wskazano, że nie doznał obrażeń. Po raz kolejny upadł 7 września 2023 r. Z powodu urazu głowy i utraty przytomności o niejasnej przyczynie został tego samego dnia wypisany z uzdrowiska przed zakończeniem programu rehabilitacji. Zespół ratownictwa medycznego przewiózł go do szpitala w Krośnie, gdzie został przyjęty na Oddział Anestezjologii i Intensywnej Terapii w stanie bardzo ciężkim. Z powodu krwiaka przymózgowego wykonano lewostronną kraniektomię. 21 września wystąpiło obfite krwawienie z dolnego odcinka przewodu pokarmowego oraz zakażenie szpitalne. Mimo zastosowanego leczenia zmarł 19 listopada.

Inna sprawa dotyczyła pacjentki z chorobą neurologiczną. Choć personel medyczny wiedział o jej stanie zdrowia, nie zastosował szczególnego, indywidualnego planu monitorowania po cesarskim cięciu. Pacjentka została objęta standardową, kilkugodzinną wzmożoną obserwacją, która okazała się niewystarczająca. Częstsze i bardziej szczegółowe kontrole mogły przynieść wcześniejsze rozpoznanie pogorszenia jej stanu.

Kilka innych jeszcze przykładów przerażających zaniedbań i naruszeń praw pacjenta otrzymałam z biura prasowego RPP. Dotyczyły one m.in.: nieprzeprowadzenia właściwego wywiadu lekarskiego i braku diagnostyki w kierunku chorób tropikalnych mimo informacji, że pacjent wrócił z egzotycznej podróży – pacjent zmarł na chorobę tropikalną; podania pacjentowi w czasie hospitalizacji niewłaściwego leku – zmarł; niewystarczającego zabezpieczenie pacjentki z zaburzeniami psychicznymi, która w czasie pobytu na oddziale szpitalnym wyskoczyła z okna – zmarła; brak odpowiedniej diagnostyki pacjenta po przeszczepieniu nerki, który zgłosił się na Szpitalny Oddział Ratunkowy z gorączką 40 st. Nie wykonano badań, podano sól fizjologiczną i przepisano lek przeciwwirusowy – zmarł; niewykonania badań obrazowych u pacjenta, który zgłosił się na SOR z silnym bólem głowy, nieustępującym po lekach przeciwbólowych. Został odesłany z zaleceniem kontaktu z lekarzem podstawowej opieki zdrowotnej. Pękł mu tętniak, pacjent zmarł.

Jest też słynna śmierć w toalecie w Warszawskim Szpitalu Południowym, gdy pacjent wypiął sobie wszystkie kabelki i został znaleziony martwy dopiero po kilku godzinach. RPP prowadzi wszczęte z urzędu postępowania.

Czy da się całkowicie uniknąć zdarzeń niepożądanych w ochronie zdrowia? Nie. Dlatego trzeba monitorować, gdzie zawiódł system, a gdzie człowiek. Jeśli zawiódł system, to jest odpowiedzialność Ministerstwa Zdrowia i NFZ. Jeżeli człowiek – są inne przepisy. Tyle że człowiek w tym fachu nie powinien do tego stopnia zawodzić, że pacjenci umierają w strasznych cierpieniach.

Beata Igielska

Stan osoby unieruchomionej albo izolowanej pielęgniarka powinna kontrolować nie rzadziej niż co 15 minut, również gdy pacjent śpi.

eprasa.pl f919f027b5

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Tryptyk chłopski. III. Mój coming out

Wszystkie drogi wiodą do Wsi. Ale czy do polskości? Z moich chłopskich pradziadków tylko Michał Romanowski nosił polskie nazwisko. A Tomasz Bytnar?

Swoje nazwisko panieńskie mama wyjaśniała opowieścią o rajtarze szwedzkim, który dostał się do niewoli pod Jasną Górą. Czy w to wierzyła? W pobliżu Ostrowa, wsi jej ojca, leżały osady założone w XIV w. przez kolonistów niemieckich: Markowa (Markenhof) i Albigowa (Helwigau). I to pewnie stamtąd jakiś Bittner osiadł przed wiekami w Ostrowie, zaczął mówić po polsku i został Bytnarem. Nie wiem, czy mama była tego świadoma, lecz powiedzieć mi tego i tak nie mogła.

Szkołę PRL-owską wspominam zawsze dobrze, lecz jednego nie mogę jej darować: wychowywania nas w zoologicznej nienawiści do Niemców. Czy jednak robiła to tylko szkoła? Cała Polska była wtedy antyniemiecka. Zatem gdybym się dowiedział, że mam niemieckie korzenie, chyba bym z rozpaczy uciekł z domu! Mama nauczyła się języka niemieckiego w szkole przedwojennej i potem zawsze żyła blisko z kulturą niemiecką, lubiła czytać Tomasza Manna. Już te jej fascynacje były dla mnie podejrzane, choć przecież moją najwcześniejszą lekturą były baśnie braci Grimm! Którymi – oczywiście – byłem zachwycony.

Ale mam też innego pradziadka, też od strony mamy, tym razem jednak od jej matki, nie ojca. To Antoni Bursztyn. Nazwisko długo nie dawało mi spokoju, a gdy kiedyś przeczytałem o pamiętniku jakiegoś Bursztyna z warszawskiego getta, uznałem, że moja rodzina musi mieć korzenie żydowskie. Dopiero ostatnio wyprowadziła mnie z błędu Kasia, moja siostrzenica. Bo po jej penetracji archiwów i stron internetowych wyszło nam, że o Żydach nie może jednak być mowy: Bursztyny to też osadnicy niemieccy! A zatem jakiś niemiecki Bernstein zaczął mówić po polsku, inny spolszczył sobie nazwisko, a jeszcze inny osiadł we wsi Pietrzejowa koło Ropczyc.

Jako 18-latek wynająłem się tam na parobka. Z wszystkich bowiem siedzib Bytnarów i Bursztynów tylko Pietrzejowa zachowała wtedy jeszcze rodzinną chłopskość. Chociaż – przez kolejne małżeństwa – nie zachowała już nazwiska. Z wujkiem Staszkiem Bochenkiem wychodziłem o świcie w pole. Orałem, bronowałem, powoziłem. Rano piłem ciepłe, spienione mleko „prosto od krowy”. Chciałem poznać życie wiejskie – poznałem jego dojmującą monotonię. Ale jedyny raz wróciłem wtedy, na dziesięć dni, do mych chłopskich korzeni. Jeszcze nie wiedziałem, że są to korzenie niemieckie.

W rodzinie ojca było inaczej. Syn Michała Romanowskiego, Jakub, uciekł z rodzinnej Łęki Szczucińskiej pod Tarnowem do Lwowa. I tu nawiązał romans z panną Stanisławą Załogowicz. Panna nie była najmłodsza: miała 23 lata. Na zdjęciach spogląda przed siebie wyzywająco i zaczepnie. To moja babcia: znałem ją jako 80-, 90-letnią staruszkę – głuchą, chodzącą z trudem, lecz zawsze tak samo energiczną. Ślub z Jakubem Romanowskim wzięła w roku 1906: w czwartym miesiącu ciąży. Za specjalnym zezwoleniem ojca.

Ten ojciec nazywał się Bazyli Załogowicz. Nie znam dat jego życia, nie wiem, gdzie we Lwowie ma (raczej miał) grób. Ale wiem, że był obrządku greckokatolickiego, zatem według dzisiejszej nomenklatury był Ukraińcem. Natomiast jego żona była Polką, dlatego w lwowskim domu pradziadków urządzano dwie wigilie: według kalendarza gregoriańskiego i juliańskiego.

Chciałem poznać życie wiejskie
– poznałem jego dojmującą monotonię.

Oto zatem mój coming out: Niemiec i Ukrainiec! Ale – jak pisał Julian Tuwim – „dwojaka jest krew: ta w żyłach i ta z żył”. Jeden z Bytnarów, Jan o pseudonimie „Rudy”, został w roku 1943 zamęczony przez Niemców. Najmłodszy syn Bazylego, Tadeusz Załogowicz, zginął w roku 1919 od ukraińskiej kuli; spoczywa na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Bo też Bazyli uważał się nie za Ukraińca, lecz za Rusina; nie w głowie mu była „samostijna Ukraina”, lecz Ruś w odwiecznym związku z Polską. W rodzinnych genach nic nie jest proste.

Walancina Akoława, nieżyjąca już białoruska poetka, z którą przyjaźniłem się w Mińsku w późnych latach 80., ofiarowała mi kiedyś swój tomik „Za tym łuham zjaljonieńkim”. Pierwszy wiersz był poświęcony jej rodzinnej wsi, o polsko brzmiącej nazwie Mazurszczyna: „My wyrastajem z wiosak – jak z sukienak. / Stupajem aściarożna na asfalt”. Otóż to: kolejne chłopskie generacje, wstępując na asfalt cywilizacji miejskiej, wyrastały z wiosek jak z dziecięcych ubrań. Wala miała różne geny, jej daleką rodziną byli polscy ziemianie z Białorusi, Podhorscy-Okołowowie. Wiedziała, że wiejskie sukienki też mogą być różnonarodowe. Ja do tej wiedzy musiałem dopiero dorosnąć.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5



Woda na wagę złota

Czy kranówka doda nam zdrowia?

Marek Czarkowski

Media często narzekają na niską jakość kranówki i ostrzegają przed jej piciem bez przegotowania.

W październiku 2024 r. w Lubeni na Podkarpaciu sanepid stwierdził w wodzie bakterie z grupy coli i enterokoki kałowe. W tym samym czasie krajowe sprawozdanie Głównego Inspektora Sanitarnego informowało, że ok. 99,9% ludności obsługiwanej przez duże wodociągi otrzymuje wodę odpowiedniej jakości. Jedno i drugie to fakt. Paradoks tych faktów, a nie prosty werdykt: bezpieczna lub skażona, to sedno polskiego problemu wody z kranu.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego na koniec 2024 r. sieć wodociągowa w Polsce liczyła 343,9 tys. km. Miała prawie 6,4 mln przyłączy – do sieci było podłączonych 86% budynków mieszkalnych. Rocznie gospodarstwa domowe zużyły 1334,6 m sześc. wody, czyli średnio 35,5 m sześc. na mieszkańca. Dane GUS nie obejmowały stanu technicznego wodociągów ani jakości laboratoryjnej wody.

Co wiemy o kranówce

W Polsce debata o wodzie pitnej od lat jest zdominowana przez dwie sprzeczne narracje. Pierwsza głosi, że kranówka jest bezpieczna, tania i pozostaje pod stałym nadzorem. Druga ostrzega przed skażeniami, starzejącą się infrastrukturą i nadchodzącym niedoborem. Z materiałów rządowych wynika, że obie te opowieści mogą współistnieć, ponieważ opisują różne warstwy tego samego systemu.

Trzyletnie sprawozdanie Głównego Inspektora Sanitarnego (GIS) „Raport o jakości wody przeznaczonej do spożycia przez ludzi za lata 2020-2022" opublikowano 18 lipca 2024 r. Dotyczyło wodociągów produkujących ponad 1 tys. m sześc. wody na dobę lub zaopatrujących ponad 5 tys. osób. Systemy te obsługiwały ok. 70,1% mieszkańców Polski. Według GIS ok. 99,9% mieszkańców korzystających z tych wodociągów otrzymywało wodę odpowiedniej jakości. Badanie nie obejmowało wszystkich małych systemów ani studni prywatnych.

W przypadku dużych wodociągów problemy najczęściej dotyczyły parametrów wskaźnikowych wody: poziomu manganu i żelaza, mętności wody, poziomu pH oraz jonów amonowych. GIS podkreślał, że nie stanowią one bezpośredniego zagrożenia dla zdrowia, choć mogą pogarszać smak wody w kranach, jej zapach albo sygnalizować kłopoty z uzdatnianiem i dystrybucją.

Inną wagę miały przekroczenia mikrobiologiczne prowadzące

eprasa.pl f919f027b5

do wydania decyzji o warunkowej przydatności wody do spożycia lub jej nieprzydatności. Każdego roku w Polsce dochodzi do incydentów związanych z obecnością bakterii z grupy coli oraz enterokoków kałowych, co skutkuje decyzjami o braku przydatności wody do spożycia.

W 2017 r. we Wrześni przez nieuwagę pracownika do wodociągu wtłoczono wodę technologiczną z bakteriami. Doszło do skażenia. Sprawą zajęła się prokuratura. W gminie Kosakowo w listopadzie i grudniu 2025 r. w sieci wodociągowej wykryto bakterie *Escherichia coli*. Prokuratura wszczęła dochodzenie m.in. w związku z podejrzeniem ingerencji osób trzecich. W marcu 2026 r. w powiecie oleckim doszło do identycznego skażenia. Sanepid uznał wodę za niezdatną do spożycia. Problem dotyczył Olecka i ponad 40 miejscowości. Władze lokalne czasowo zamknęły szkoły i przedszkola, a wodę pitną dostarczały mieszkańcom beczkowozy. Miesiąc później w wodociągach w Komorznie i Wolnej Wsi wykryto chloropiryfos – toksyczny pestycyd. Przez prawie cztery miesiące mieszkańcy musieli korzystać z beczkowozów.

Do podobnych zdarzeń dochodziło na terenie całego kraju. Okazuje się, że bezpieczeństwo zdrowotne jest na ogół wyższe w przypadku wody dostarczanej przez duże, stale monitorowane systemy wodociągowe. Gorzej sobie radzą małe, lokalne sieci wodociągowe.

Europa w sprawie wody

Dwie kontrole Najwyższej Izby Kontroli, opisane w dokumencie „Gospodarowanie zasobami wodnymi przez przedsiębiorstwa wodociągowo-kanalizacyjne", który obejmował lata 2019-2021, a dotyczył 20 przedsiębiorstw w pięciu województwach, i drugim, „Ograniczenie strat wody w systemach wodociągowych", dotyczącym lat 2021-2023 i pięciu przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych w województwie zachodniopomorskim, ujawniły kolejne problemy. Wykazały m.in. wysokie straty wody oraz brak pełnej wiedzy o wieku i stanie technicznym sieci wodociągowych. W skrajnych przypadkach straty te sięgały nawet 60%. Mechanizm był prosty – operator pobierał, uzdatniał i pompował wodę, której część nigdy nie docierała do odbiorcy.

Sprawa jakości wody pitnej stała się przedmiotem zainteresowania Parlamentu Europejskiego i Rady Europy. 16 grudnia 2020 r. przyjęta została dyrektywa o sygnaturze 2020/2184 w sprawie jakości wody przeznaczonej do spożycia przez ludzi. Wyznaczyła ona nowy standard: podejście oparte na ryzyku w całym łańcuchu – od zlewni i ujęcia, przez uzdatnianie i sieć, aż po instalacje w budynkach.

Według oficjalnych dokumentów polskie wdrożenie dyrektywy nastąpiło w tym roku – ustawą z 13 marca 2026 r. oraz rozporządzeniem ministra zdrowia z 22 maja 2026 r. Nowe przepisy wprowadzają m.in. monitoring sumy PFAS (to zbiorcza nazwa tysięcy syntetycznych związków per- i polifluoroalkilowych, które rozkładają się bardzo powoli i bywają nazywane wiecznymi chemikaliami), a także bisfenolu A, uranu, mikrocystyny-LR i kwasów halogenooctowych, oraz ocenę ryzyka w obiektach takich jak szkoły, szpitale, hotele pod kątem bakterii *Legionella* i ołowiu.

Dostępne dane nie pozwalają opisać krajowego poziomu PFAS w kranówce. Pojedyncze badanie z 2025 r. w powiecie poznańskim wykazało nieobecność „wiecznych chemikaliów". Brakuje badań obejmujących inne regiony Polski. Jeszcze gorzej jest z dostępnością informacji dotyczących mikroplastiku – nie ma krajowego programu z ujednoliconą metodą badania jego poziomu i reprezentatywnymi wynikami dla wody kranowej. Azotany podlegają nadzorowi jakości chemicznej, lecz i w tym przypadku brakuje wyników dla kranówki.

Jedną z metod dezynfekcji wody, zwłaszcza po lokalnych skażeniach, pozostaje chlorowanie. Niestety, i w tym przypadku brakuje ogólnopolskiego zestawienia, ile chloru oraz produktów ubocznych zostaje w wodzie po zastosowaniu tej procedury.

Woda klasy premium

Najlepszą wodę pitną w Europie ma Finlandia – jest bardzo wysoko oceniana za parametry, które chronią zdrowie, czystość źródeł oraz powszechnie akceptowany smak. Ścisłą europejską czołówkę tworzą Islandia, Norwegia, Szwajcaria, Austria, Holandia i Wielka Brytania.

W przygotowywanym przez ośrodki badawcze związane z uniwersytetami Yale i Columbia zestawieniu Environmental Performance Index (Indeks Efektywności Środowiskowej) kraje te uzyskały maksymalne 100 pkt w kategorii ochrony zdrowia przed skażoną wodą pitną i złymi warunkami sanitarnymi. W 2024 r. we wspomnianym rankingu Polska zajęła 36. miejsce w kategorii Sanitation & Drinking Water (warunki sanitarne i woda pitna), uzyskując 80,1 pkt na 100.

Najlepszą wodę pitną w Europie ma Finlandia. Jest bardzo wysoko oceniana za parametry, które chronią zdrowie, czystość źródeł i smak.

Woda z miejskich wodociągów w Polsce jest na ogół dobrej jakości, stałe kontrole prowadzi Państwowa Inspekcja Sanitarna, która zatwierdza także laboratoria wykonujące badania. Poza tym przedsiębiorstwa wodociągowe prowadzą kontrole wewnętrzne: pobierają próbki w sieci, monitorują proces uzdatniania wody oraz mają obowiązek reagować na przekroczenia norm.

W polskich miastach nie nastąpiło odejście od znanego od lat ciągu technologicznego służącego uzdatnianiu wody: koagulacja-sedymentacja-filtracja-dezynfekcja, systematycznie jednak następuje jego modernizacja. Dołącza się ozonowanie, węgiel aktywny, lampy

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f919f027b5

UV, membrany, automatykę i odzysk wód technologicznych. Najbardziej zaawansowane systemy tworzą proces, w którym każdy etap usuwa inną grupę zanieczyszczeń. To dziś najważniejszy kierunek modernizacji dużych stacji korzystających z wód powierzchniowych. Ozon utlenia związki organiczne i przekształca część z nich w łatwiejsze do usunięcia formy, filtracja na granulowanym węglu aktywnym wychwytuje pozostałości organiczne, czyli związki odpowiedzialne za smak i zapach wody oraz część mikrozanieczyszczeń.

Warszawskie stacje uzdatniania wody Filtry i Praga stosują ozonowanie pośrednie oraz złoża granulowanego węgla aktywnego.

Warszawskie stacje uzdatniania wody Filtry i Praga stosują ozonowanie pośrednie oraz złoża granulowanego węgla aktywnego. Pełna instalacja warszawskich wodociągów ma wydajność do ok. 350 tys. m sześc. wody na dobę. Nowoczesna technologia pozwoliła ograniczyć dawki dwutlenku chloru wymagane na końcowym etapie dezynfekcji o co najmniej połowę. Promieniowanie UV jest używane jako fizyczna bariera dezynfekcyjna przeciw bakteriom, wirusom i pierwotniakom, unika się przy tym tworzenia typowego zapachu chloru. Metoda ta nie zapewnia jednak trwałej ochrony w całej sieci, dlatego zwykle łączy się ją z podaniem niewielkiej dawki środka chlorowego lub dwutlenku chloru.

W Zakładzie Uzdatniania Wody Raba w Dobczycach, zaopatrującym Kraków w większość wody, chlor gazowy zastąpiono układem UV i podchlorynu sodu wytwarzanego z soli kuchennej. Rzeszów wykorzystuje z kolei układ wielobarierowy: ozonowanie wstępne i wtórne, UV oraz końcową dezynfekcję związkami chloru.

Stacje uzdatniania wody w Jarosławiu i Suchej Beskidzkiej wykorzystują membrany o bardzo małych porach do zatrzymywania zawiesin, mikroorganizmów i części cząstek koloidalnych. Technologia ta nazywa się ultrafiltracją. Odwrócona osmoza działa jeszcze dokładniej i służy do usuwania związków rozpuszczonych w wodzie, w tym nadmiaru soli, ale jako energochłonna, więc na razie nie jest uniwersalnym rozwiązaniem stosowanym dla miejskiej wody pitnej.

Nowoczesne stacje uzdatniania wody są wyposażone w automatykę procesową, czujniki online oraz systemy sterowania, które pilnują parametrów takich jak mętność, pH, przewodność oraz poziom utlenienia. Pozwala to szybciej reagować na zmianę jakości wody surowej, dokładniej dozować odczynniki i obniżać zużycie energii.

Warszawska instalacja ozonowania i filtracji węglowej jest w pełni zautomatyzowana i skomputeryzowana, automatyzację tych procesów, unowocześnienie, ozonowanie oraz koagulację zaplanowano też w procesie modernizacji SUW w Rzeszowie.

W latach 2001-2014 na budowę i modernizację stacji uzdatniania wody w Polsce wydano łącznie 5,5 mld zł, czyli średnio 390 mln zł rocznie. Przyjmuje się, że obecnie na ten cel wydaje się rocznie 300-400 mln zł.

W Polsce najlepszą i najsmaczniejszą wodę mają Zakopane i Kraków. Można ją pić bezpiecznie z kranu – jest znacznie tańsza od wody butelkowanej, której litr jest droższy o kilkaset procent. Nie wspominając już o tym, że w wodzie sprzedawanej w plastikowych butelkach znajdziemy cząsteczki mikroplastiku.

Jesienią 2025 r. posłowie lewicy zgłosili w Sejmie pomysł wpisania do polskiego ustawodawstwa obowiązku bezpłatnego podawania w lokalach gastronomicznych kranówki na życzenie klienta. Jednak Ministerstwo Klimatu i Środowiska poinformowało, że obowiązek nieodpłatnego podawania wody z kranu w lokalach gastronomicznych nie trafi do ustawy wdrażającej ROP – rozszerzoną odpowiedzialność producenta (ustawa o ROP zakłada rzeczywistą odpowiedzialność finansową producentów za odpady powstałe z ich opakowań – przyp. red.).

W sejmowych kuluarach na Wiejskiej szepczą, że lobbing branży gastronomicznej oraz producentów napojów gazowanych był zbyt potężny. Bezpłatna popitka miałaby podobno wpływać rujnująco na zyski ze sprzedaży niezwykle popularnych i potężnie reklamowanych napojów w charakterystycznych butelkach. Wolno jedynie domniemywać, jak poważne kwoty zostały zaangażowane w działania torpedujące tak pożyteczny pomysł. Cóż, nie zawsze „czysta woda zdrowia doda".

Marek Czarkowski



PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU
Jeden egzemplarz w prenumeracie 9 zł
126 zł – IV KWARTAŁ
Zamówienia można składać do 25 sierpnia 2026 r.
we wszystkich placówkach pocztowych lub drogą elektroniczną pod adresem:
sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl f919f027b5



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Jaki jest koń, każdy widzi

Lato – marzą nam się dalekie podróże i niezwykłe przygody. Płynąc na tej fali, zacząłem się zastanawiać nad trójkątem bermudzkim: gdzie na naszych wodach można wyśledzić najwięcej zagadek? Tu natychmiast dopadło mnie pytanie: co się stało z projektem Trzeciej Drogi? Pokruszone cząsteczki wielkich ambicji wirują w powietrzu. Partia Polska 2050 ma notowania w granicach błędu statystycznego, polityczne sępy obniżają swój lot. A więc koniec?

Co oznacza upadek partii, która wybrała „trzecią" drogę? Czy chodzi tu o zawirowania sympatii politycznych, a więc naszą codzienność, czy też o rzeczy głębiej ukryte. Ktoś powie: jaki jest koń, każdy widzi. Partie walczą ze sobą i tyle, są wygrani i przegrani, tak było, jest i będzie. To wszystko? Niezupełnie.

Zostawmy ogólniki, prześledźmy realia. Pierwsza uwaga: koń, którego mamy dziś przed oczami, jest szpetny. Nie ma nic wspólnego z baśniowym rumakiem. Przeciwnie, jest ucieleśnieniem perwersji. Demokracja marketingowa – monstrum, które nas gnębi – powstała na antypodach demokracji liberalnej, ustroju wolności, który korzeniami sięga XVII stulecia i który obdarzyliśmy ostatecznie mianem demokracji. Stanowi jego zaprzeczenie. Jest oparta na kłamstwie (wojny informacyjne pogrzebały ideę prawdy), pogardzie (na założeniu, że ludzi można i trzeba oszukiwać) i wałkowaniu frazesów ośmieszających ideę debaty. Aurę perwersji i wykolejenia utrwala nieustanne odwoływanie się do „wartości".

Wszelkie zasady przyzwoitości upadły, zastąpił je popęd walki – ślepa chęć pokonania rywali. Najzabawniej jest, gdy liderzy frontu obłudy tłumaczą, że polityka to działanie na rzecz dobra wspólnego, a więc dążenie do zgody. O wielkie nieba! W naszej polityce zgoda jest przecież stanem przedzawałowym – ci, którzy o niej mówią, szybko umierają. Wiemy już poza tym, że nie warto trzymać się środka. Na tych obszarach leży nasz trójkąt bermudzki, tu najłatwiej zniknąć na zawsze z pola widzenia.

Dlaczego? Wśród wychrzczonych w kościele demokracji zwyciężyła fałszywa wiara w nadrzędną rolę emocji. Do znudzenia mówi się o „docieraniu do emocji". Straszne. No cóż, w epoce TikToka prawdziwe życie toczy się w nurcie silnych wrażeń, jeśli nie, staje się nudne. Politycy korzystają z warunków, które stworzyła epoka. Ogłoszono kapitulację rozumu.

Bądźmy jednak ostrożni – każda dyktatura zaczyna od hodowania emocji, demokracja marketingowa kieruje się w istocie instynktem dyktatorskim. Umiarkowaniu przeciwstawia klimat obsesji. Chodzi o to, by wykluczyć wahania i nakarmić „elektorat" złością. Jak zauważył niemiecki filozof Peter Sloterdijk, zwycięstwa polityczne są dziś finansowane przez „banki gniewu". Racjonalność musi zostać pokonana, świat trzeba wytrącić z równowagi.

W przeciwnym kierunku prowadziła nas zawarta w amerykańskiej konstytucji koncepcja checks and balances, przyjmująca zasadę równowagi, przewidująca postawienie rozumu ponad namiętnościami – a więc uwolnienie polityki od zaślepienia. Zaślepieni ludzie – dziś to widzimy – pozwolą wmówić sobie wszystko, nawet to, że wojna powinna być celem ich życia i że najwięcej mają wydawać na zbrojenia, więcej niż na własne zdrowie. Tak działają trucizny demokracji marketingowej. Uczestnicząc w histerii, oklaskujemy własny upadek. Klęskę Aten, jak tłumaczył Tukidydes w „Wojnie peloponeskiej", sprowadziły szaleństwa demagogów wyśpiewujących hymny wojenne.

Wszelkie zasady przyzwoitości upadły, zastąpił je popęd walki.

Gorączka towarzyszy nam od zawsze. Wygląda na to, że momenty opamiętania to jedynie krótkie przerwy w spektaklu szaleństwa. W okresie wojen religijnych zderzyło się dwóch tytanów: Martin Luter i Erazm z Rotterdamu. Gwałtownik oraz zwolennik kompromisu, fanatyk i racjonalista. Luter uderzał młotem, znieważał papieża, przeklinał diabła. Miotała nim gorączka, gardził racjonalnością, twierdził, że rozum jest „prostytutką, prawdziwą kurwą diabelską". Po drugiej stronie był Erazm, który odrzucał „mowę ducha" i domagał się argumentów. Wojny religijne przebiegały jednak w atmosferze zaślepienia. Erazm notował: „Widzę nowych obłudników, nowych tyranów, ani jednej wszakże iskry ewangelickiego ducha". Był przeciwnikiem Lutra, ale mimo nacisków nie potępił go. Szukał „trzeciej drogi". W odwecie zwolennicy papieża nazwali go prowodyrem „zarazy lutrowej".

W naszym rewirze podobnie bezstronność stała się grzechem. Zwyciężyła prosta zasada: kto nie jest z nami, jest przeciw nam. Tak powstał polityczny potwór Frankensteina o nazwie „obóz patriotyczny", łączący bolszewicki instynkt klasowej segregacji – oddzielenia Polaków „prawdziwych" od „nieprawdziwych" – z nacjonalistyczną dewocją. Wynalazek ma konstrukcję cepa, ale działa – uczy pogardy i nienawiści. Żyjemy na zgliszczach marzeń Erazma z Rotterdamu. Jego postawiony na głowie świat nazwaliśmy demokracją. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5

Ziemie Odzyskane sukcesy i niepowodzenia

Polityka nieinterwencji lub nadmiernej liberalizacji na tych terenach może stworzyć zagrożenie na niepokojącą skalę

Rozmawia Paweł Dybicz

Jakie najważniejsze wnioski wynikają z prac badawczych związanych z pana książką „Alarm dla Ziem Odzyskanych" wydaną przez „Przegląd"?

– Moim zdaniem, obok potwierdzenia przełomowych sukcesów z lat 1945-2025, najważniejszym wnioskiem z tych prac jest dramatyczne wręcz zagrożenie płynące z prognozy ludności Polski, szczególnie na tych ziemiach. Wynika z niej bowiem prawdopodobieństwo głębokiej depopulacji w perspektywie do 2060 r. – czyli zmniejszenia się liczby ludności zamieszkałej w Polsce. Według szacunków łączna liczba ludności może się obniżyć z 37 mln obecnie do 30,9 mln w 2060 r., czyli prawie o jedną piątą. Wprawdzie przyczyną tego prognozowanego spadku są przede wszystkim procesy demograficzne, zwłaszcza spadek liczby urodzeń, który w ciągu ostatnich 10 lat wyniósł aż 38%, ale jest to także w dużym stopniu wynik masowej emigracji zarobkowej Polaków w latach 1994-2004. Była ona spowodowana przedwczesną i niczym obiektywnie nieuzasadnioną dezindustrializacją Polski.

Jakie największe błędy według pana wówczas popełniono?

– Jednym z podstawowych błędów był brak ochrony najnowocześniejszych polskich zakładów przemysłowych, mających kluczowe znaczenie dla modernizacji całej struktury przemysłu. W rezultacie po przejęciu przez zachodnie koncerny w drodze prywatyzacji zakłady te z reguły w pierwszej kolejności ulegały likwidacji. Stały się pierwszą ofiarą transformacji. Dla tych koncernów były bowiem jedyną konkurencją istniejącą na polskim rynku.



Prof. ANDRZEJ KARPIŃSKI
– ekonomista, zawodowo i naukowo zajmował się polityką gospodarczą państwa, prognozowaniem i studiami nad przyszłością. Wieloletni zastępca przewodniczącego Komisji Planowania przy RM i sekretarz naukowy Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus" przy Prezydium PAN. Autor prawie 90 książek i kilkuset artykułów tłumaczonych na wiele języków.

Z tych samych względów zachodnie koncerny uruchomiły niezwykle intensywną kampanię propagandową, by upowszechnić u nas pogląd, że w przemyśle własność polska ma niewielki sens, a szansę na rozwój mają tylko małe i średnie zakłady.

W jaki sposób likwidacja najnowocześniejszych zakładów wpłynęła na spadek liczby ludności w naszym kraju?

– Ten wpływ pokazują twarde dane o emigracji. W jej wyniku Polskę opuściła znaczna liczba kobiet w wieku rozrodczym. Następstwem tego była duża liczba polskich dzieci urodzonych za granicą. Tylko w Wielkiej Brytanii urodziło się ich ok.100 tys. Przeważająca ich część nie wraca już z rodzicami do kraju.

Ta depopulacja może być szczególnie odczuwalna na Ziemiach Odzyskanych. Ludność może się tam zmniejszyć z 10,2-10,4 mln w 2023 r. do 8,1-8,4 mln w 2060 r., czyli o 20%. Dezindustrializacja Polski po 1989 r. wywołała masowe bezrobocie. W szczytowym momencie objęło ono ponad 3 mln ludzi, co stanowiło najwyższy wówczas poziom w Unii Europejskiej. Walka

eprasa.pl f919f027b5



Fabryka porcelany założona w 1845 r. przez Carla Tielscha została w 1945 r. przejęta przez państwo i przemianowana na Zakłady Porcelany Stołowej Wałbrzych. 1 października 1946 r.

z bezrobociem przez emigrację była klasycznym wręcz przykładem rozwiązywania i przezwyciężania bieżących trudności kosztem pogorszenia warunków dla rozwoju w późniejszym okresie.

Nie brakuje u nas badaczy, którzy twierdzą, że nic się nie stanie, jeżeli będzie nas o 6-7 mln mniej niż obecnie, bo ten ubytek zastąpią automatyzacja i sztuczna inteligencja.

– Znam takie opinie, ale zaręczam, że tak duży ubytek ludności musi mieć negatywne konsekwencje, zwłaszcza w przemyśle, ale i w całej gospodarce, mimo automatyzacji produkcji i usług. Badacze, o których pan wspomniał, chyba w ogóle nie zdają sobie sprawy ze skali zagrożenia dla przemysłu i sektora usług. A ten ostatni opiera się w dużej mierze na usługach świadczonych indywidualnie i niełatwo poddaje się automatyzacji. Oczywiście część luki powstałej w wyniku spadku liczby ludności możemy wyrównać – także poprzez sprowadzenie zagranicznych specjalistów, którzy chcieliby u nas pracować i się osiedlić.

Nie sądzę, by to było masowe zjawisko, tacy specjaliści wybiorą się na Zachód, a Polskę potraktują co najwyżej jako punkt tranzytowy.

– Tak w pewnym sensie jest już teraz.

Dlaczego ubytek ludności może być największy właśnie na Ziemiach Odzyskanych?

– Powód jest dość prozaiczny. Ziemie te są położone najbliżej najbogatszego rynku pracy w Europie, jakim są i nadal będą Niemcy. Dlatego, moim zdaniem, centrum Polski powinno podjąć maksymalny wysiłek, aby ten odpływ zahamować lub przynajmniej zmniejszyć jego rozmiary. Wymaga to opracowania specjalnego programu przestawienia gospodarki Ziem Odzyskanych na drogę rozwoju. Jego przygotowanie staje się najpilniejszym zadaniem.

Dezindustrializacja Polski po 1989 r. wywołała masowe bezrobocie. Objęło ono ponad 3 mln ludzi. To najwyższy wówczas poziom w Unii Europejskiej.

Dlaczego Ziemie Odzyskane mają być preferowane kosztem innych regionów Polski? Mają jakąś wyraźną specyfikę?

– Oczywiście. Taką specyfikę stanowi choćby zagospodarowanie znajdującego się tam wybrzeża morskiego czy szeroko rozumiana obsługa strefy granicy państwa. W tej sprawie wśród badaczy problemu bardzo popularny, zwłaszcza po 2004 r., jest pogląd, że „współcześnie stopniowy zanik granicy jako bariery przepływu ludzi, dóbr i informacji zmienia skalę powiązań gospodarczych i społecznych, zapoczątkowując kształtowanie się nowej struktury hierarchicznej systemu osadniczego również poprzez granice". Ale emigracja zarobkowa Polaków nie spowodowała zmniejszenia ich udziału w strukturze narodowościowej ludności zamieszkałej na Ziemiach Odzyskanych.

Realizacja naszych celów na tych terenach w bardzo dużym stopniu zależy też od bezpośrednich kontaktów społeczności tam zamieszkałych, a nawet poszczególnych jednostek, z osobami z centrum kraju. Po 1989 r. zmniejszyły się one w sposób zasadniczy. W żadnym z pozostałych województw kontakty te nie odgrywają takiej roli i nie mają tak wielkiego znaczenia dla zachowania jedności kraju. Kluczowe znaczenie tych kontaktów trzeba uznać za specyfikę tego obszaru.

Jak na bezpośrednie kontakty między Ziemiami Odzyskanymi

eprasa.pl f919f027b5

a centrum kraju wpłynęła transformacja po 1989 r.?

– Osłabły w dużej mierze w następstwie zmiany ustroju i pod wpływem fascynacji możliwościami osiągania zysków. Powodowało to ich zanik lub zasadnicze ograniczenie. Byłem świadkiem, jak prof. Stanisław Grabski zaczynał swoje wykłady i seminaria od pytania, czy obecni są przedstawiciele Ziem Odzyskanych. Z kolei na wykładach prof. Władysława Tatarkiewicza były nawet wydzielone specjalne miejsca dla przedstawicieli tych ziem. Jeszcze za czasów Edwarda Gierka kontakty te były bardzo żywe i osobiście w nich uczestniczyłem. Praktyka ta wyraźnie załamała się po 1989 r. Obecnie istnieje więc potrzeba ich odtworzenia w jakiejś nowej postaci. Może na odnowienie zasługuje instytucja „patronatów" z czasu zasiedlania tych ziem, tj. z lat 1945-1947, ale w zmienionej postaci, np. z przekształceniem ich funkcji we współpracę i wzajemną pomoc.

Widzi pan jakieś możliwości, aby te bezpośrednie kontakty w nowych formach przyśpieszyć bądź zaktywizować?

– Owszem, widzę. Moim zdaniem niedostatecznie w tym celu wykorzystywana jest działalność różnego rodzaju organizacji prywatnych, które przejawiają szczególne zainteresowanie „polskością" tych terenów i przyznają jej żywotne znaczenie. Czasem wymagają pomocy ze strony państwa – i trzeba im takiej udzielać. Nie działają bowiem na zasadach rynkowych i nie są nastawione na zyski.

Wśród takich organizacji, z którymi zetknąłem się podczas prac nad książką, była Fundacja Rodzina i Przedsiębiorczość. Działa we Wrocławiu, ale wiem, że podobne istnieją w Szczecinie i kilku innych miastach. Tego rodzaju oddolne instytucje mogą mieć istotne znaczenie w pobudzaniu zainteresowania Ziemiami Odzyskanymi i ich współpracą z innymi regionami Polski. Ważna może być także promocja tego typu organizacji na terenie Polski centralnej. Lokalne organizacje mogą być czasem bardziej skuteczne niż te powoływane przez władze centralne. Możliwości państwa są tu wciąż niewykorzystane. Na rozważenie zasługuje odtwarzanie instytucji działających na rzecz umacniania polskości tych terenów, np. Towarzystwa Rozwoju Polskich Ziem Zachodnich czy Stowarzyszenia Wisła-Odra. Konieczna jest też aktywizacja Instytutu Zachodniego im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu.



Plakat propagandowy przedstawiający zwycięstwo i przyłączenie Ziem Zachodnich do Polski po wojnie, 1945 r.

Jak pan ocenia współpracę polsko-niemiecką na tych terenach?

– Istnieją różnego rodzaju porozumienia podpisywane przez polskie i niemieckie władze na szczeblu samorządów, ale dotyczą głównie problemów lokalnych o mniejszym znaczeniu. Jest szansa objęcia nimi również problemów o znaczeniu ogólnokrajowym. Nie chodzi tu o zmniejszenie inwestycji niemieckich na tych terenach. Wręcz przeciwnie, w przypadku gdy modernizują one naszą gospodarkę, mogą zasługiwać na wsparcie i promocję. Ale chodzi tu także o zasadnicze zwiększenie inwestycji z polskim kapitałem na tym terenie. Stają się one wręcz palące potrzebne. A działania wykonywane w tym kierunku w pełni mieszczą się w realizacji procesu repolonizacji naszej gospodarki, o czym mówił premier Donald Tusk w jednym z wystąpień.

W czym miałoby to się wyrażać?

– Widzę dwa takie główne obszary. Pierwszym może być wspólna budowa na Ziemiach Odzyskanych nowych zakładów produkcyjnych przemysłu mikroelektroniki profesjonalnej. W tej dziedzinie bowiem Niemcy są znacznie opóźnione w rozwoju w stosunku do takich krajów jak USA, Chiny, Japonia, Korea Południowa czy Izrael. To opóźnienie Niemiec w rozwoju sektorów przemysłów wysokiej techniki może sięgać nawet 18 lat. Dotyczy to produkcji półprzewodników, układów scalonych, baterii itp. Niemcy mogą być zainteresowane wyjściem z tego opóźnienia przez wykorzystanie w tym celu także zasobów istniejących na Ziemiach Odzyskanych, gdzie jest niższy poziom płac, oraz polskich informatyków, którzy mają dobrą opinię w świecie, wygrywają światowe olimpiady informatyczne.

A drugi obszar?

– Drugą dziedziną potencjalnej współpracy jest ochrona środowiska w Polsce i w Niemczech. Każdy bowiem postęp w zmniejszeniu emisji dwutlenku węgla czy siarki ma pozytywne efekty i u nas, i u nich. I odwrotnie – regres pod tym względem u nas staje się odczuwalny także w Niemczech. Wciąż jeszcze są obszary wymagające wspólnego zagospodarowania dorzecza Odry po obydwu stronach. Takie szanse istnieją też dla wspólnej produkcji chemikaliów masowo używanych w oczyszczalniach ścieków. Ich istotnym komponentem jest bowiem chlorek sodu. Polska ma szczególnie

Dziedziną potencjalnej współpracy jest ochrona środowiska w Polsce i w Niemczech.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS, PAP/STANISŁAW DĄBROWIECKI

eprasa.pl f919f027b5

sprzyjające warunki do jego produkcji z racji posiadania bogatych zasobów sodu. A jest wiele innych dziedzin: przemysł biotechnologii, aparatury medycznej i automatyki przemysłowej oraz inne przemysły o wysokiej pracochłonności.

Kluczowe znaczenie z tego punktu widzenia w elektronice będzie miała produkcja półprzewodników. Zdaniem zachodnich ekspertów będzie ona odgrywała wiodącą rolę w przemyśle przyszłości. Niemcy mogą być zainteresowane udziałem we wspólnych przedsięwzięciach na tych terenach. To pokazuje, że niemało jest obszarów i zagadnień stwarzających szanse na współpracę obu krajów, także tu, na Ziemiach Odzyskanych. Ale potrzeba w tym celu znacznie większej aktywności. I odpowiednich inicjatyw z naszej strony.

najszybciej straciły rację bytu. A to wymaga od obecnego pokolenia przemyślanych działań realizowanych według specjalnego programu podobnego do tego z czasów powojennych.

Czy wyższy udział inwestycji niemieckich na Ziemiach Odzyskanych niż na pozostałym obszarze kraju może stworzyć zagrożenie, nie tylko gospodarcze?

– Nie czuję się dostatecznie kompetentny, by odpowiedzieć na to pytanie. To raczej kwestia dla polityka. Ograniczając się do kwestii ekonomicznych, powiedziałbym, że obecny stan (mówimy mniej więcej o roku 2020, bo tego dotyczą dane) nie stwarza takiego zagrożenia. Decydują o tym dwie przyczyny. Pierwsza to relatywny brak szerszego zainteresowania kapitału

– Nie wolno nam tego lekceważyć. Udział kapitału krajowego, zarówno państwowego, jak i prywatnego, jest tu zdecydowanie niedostateczny. Jeżeli nasze państwo będzie kontynuować politykę nieinterwencji lub nadmiernej liberalizacji na tych terenach, może to stworzyć zagrożenie. I to na niepokojącą skalę. Wszelka interwencja naszego państwa powinna być realizowana w taki sposób, by nie spłoszyć inwestycji kapitału niemieckiego na tych ziemiach. Ale w zasadniczy sposób musimy zwiększyć na nich inwestycje krajowe.

Czy teza, że opanowanie gospodarki w poszczególnych krajach przez kapitał zagraniczny może doprowadzić do dominacji politycznej, znalazła potwierdzenie w pana pracy?

– Rzeczywiście w wielu krajach, zwanych dawniej krajami Trzeciego

Prof. Andrzej Karpiński bije na alarm

Co się dzieje na Ziemiach Odzyskanych po roku 1989?

- Odpływ ludności
- Likwidacja zakładów
- Inwestycje głównie niemieckie

Przegląd sklep.tygodnikprzeglad.pl



Jak pan ocenia pojawienie się po 1989 r. w dyskusjach o Ziemiach Odzyskanych takich pojęć jak „Niedopolska” czy „Subpolska”?

– Niezależnie od – jak zakładam – dobrych intencji autorów tych pojęć jest to w istocie częściowe zakwestionowanie w pełni polskiego charakteru tych ziem, a tym samym wysiłku i dorobku życiowego dwóch pokoleń Polaków, które brały udział w ich zagospodarowaniu.

Jeszcze dalej w tej ocenie idzie Ryszard Surmacz w pracy pod wiele mówiącym tytułem „Znów tracimy Ziemie Odzyskane”. Niezależnie od oceny zasadności tej diagnozy konieczne jest przedstawienie jasnego stanowiska rządu wobec tych problemów. Dlatego trzeba zrobić wszystko, aby terminy te jak

niemieckiego przemysłami, które dominują na tym terenie, czyli górnictwem węglowym, przemysłem stoczniowym czy włókienniczym. Rezultatem tego był niski udział kapitału niemieckiego – można go ocenić na 8-10% całego majątku produkcyjnego w przemyśle na tym obszarze. Udział ten w ostatnich latach rósł w skali nie większej niż 1% rocznie. Druga z tych przyczyn to koncentracja inwestycji na tych terenach na przemyśle motoryzacyjnym, zwłaszcza na produkcji silników i części do samochodów. A to jest przemysł mniej atrakcyjny ze względu na niską innowacyjność.

Czy więc powinniśmy się martwić udziałem i strukturą inwestycji niemieckich na Ziemiach Odzyskanych?

Świata, obserwowano w przeszłości, że wystarczy osiągnąć silną pozycję w gospodarce, aby zapewnić sobie wpływ na ich funkcjonowanie. Moim zdaniem jednak przenoszenie tych wniosków na Polskę byłoby nieuzasadnione. Polska współczesna nie jest krajem Trzeciego Świata. I nigdy nim nie była. Kultura i stosunki społeczne oraz wielokrotnie większy dostęp do środków rozwojowych akumulowanych przez państwo ograniczają możliwości wpływu kapitału zagranicznego na terenie naszego państwa. Niemniej jednak nie wolno nam rezygnować z wpływu na kapitał zagraniczny ani lekceważyć go w imię nadmiernej liberalizacji gospodarki.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5

Zależny czy niezależny?

Spór wokół powołania François-Noëla Buffeta na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Kiedy w Polsce stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich obejmuje Sylwia Gregorczyk-Abram, we Francji trwa ostry spór wokół powołania nowego Défenseur des droits – bliskiego odpowiednika polskiego RPO. Prezydent Emmanuel Macron zaproponował na to stanowisko François-Noëla Buffeta, senatora i byłego ministra, który, jak podaje część mediów, może być związany ze skrajną prawicą.

Osoba Buffeta wywołała bezprecedensowy sprzeciw organizacji pozarządowych, związków zawodowych oraz części środowisk prawniczych. Niektóre media wskazują, że nominacja ta była skutkiem układu politycznego: powierzenie stanowiska rzecznika osobie związanej z Republikanami (fr. Les Républicains, LR) miałoby gwarantować wsparcie przy innych nominacjach lub podczas głosowań nad określonymi ustawami.

François-Noël Buffet został nowym rzecznikiem praw obywatelskich po przesłuchaniach przed komisjami ustawodawczymi Zgromadzenia Narodowego i Senatu, które odbyły się 15 i 21 lipca 2026 r. – obie izby wydały pozytywną opinię w sprawie jego nominacji. Senator z departamentu Rodan obejmie to stanowisko po Claire Hédon.

Kim jest RPO we Francji

Historycznie, określenie Défenseur des droits pojawiło się po raz pierwszy w 1794 r., kiedy François-Noël „Gracchus" Babeuf wydał pismo „Le Journal de la Liberté de la Presse" przekształcone w „Le Tribun du peuple" (Trybun Ludu), nadając mu podtytuł „Obrońca Praw Człowieka" (Le Défenseur des Droits de l'Homme).

Mimo że funkcja ta powinna być pierwszorzędna w republikańskim ładzie instytucjonalnym, oficjalnie powstała niedawno – zapisano ją w konstytucji w 2008 r., a rzecznik praw obywatelskich (Défenseur des droits) objął ją oficjalnie dopiero w 2011 r. Do jego dwóch głównych zadań należy przede wszystkim ochrona osób, których prawa i wolność nie są przestrzegane, oraz dbanie o zapewnienie równości wszystkich obywateli.

Wcześniej, od 1973 r., istniała instytucja Mediatora Republiki, który miał za zadanie poprawiać stosunki między obywatelami a administracją publiczną oraz pomagać w rozwiązywaniu sporów. Jego status nie był jednak skonstytucjonalizowany, a kompetencje stosunkowo mniejsze niż obecnego RPO.

Między polskim a francuskim RPO istnieją spore różnice. Francuski ma kompetencje szersze i bardziej wyspecjalizowane. Jego urząd obejmuje kilka obszarów, skupionych głównie na ochronie praw i wolności obywateli w relacjach z administracją publiczną, walce z dyskryminacją i promocji równego traktowania, ochronie praw dzieci, kontroli działalności osób wykonujących zadania związane z bezpieczeństwem (np. policji, żandarmerii, służb ochrony) czy ochronie sygnalistów. Jest zatem połączeniem kilku urzędów, które w Polsce są rozdzielone pomiędzy Rzecznika Praw Dziecka, Pełnomocnika Rządu ds. Równości, instytucje zajmujące się ochroną danych czy prawami pacjentów. Défenseur des droits jest powoływany przez Prezydenta Republiki na sześcioletnią kadencję, jednak parlament ma możliwość kontroli tej nominacji (z art. 13 konstytucji), a kandydat na ten urząd jest przesłuchiwany przez komisje parlamentarne.

W Polsce RPO jest wybierany przez Sejm za zgodą Senatu, jego kadencja trwa pięć lat – jest więc bardziej bezpośrednio związany z procedurą parlamentarną niż jego francuski odpowiednik.

We Francji urząd Défenseur des droits ma także duże znaczenie symboliczne – jako strażnik wartości republikańskich (równość, brak dyskryminacji, prawa podstawowe). Dlatego krytycy Buffeta argumentują, że jego wcześniejsze stanowiska, np. sprzeciw wobec procedury PMA (fr. procréation médicalement assistée – medycznie wspomagana prokreacja, obejmująca m.in. inseminację i zapłodnienie in vitro), małżeństw par jednopłciowych czy migracji mogą być sprzeczne z rolą tego urzędu, który powinien stać ponad bieżącymi sporami politycznymi.

> Działalność François-Noëla Buffeta była „naznaczona wieloma stanowiskami sprzecznymi z wartościami, których rzecznik praw obywatelskich powinien strzec".

Kontrowersyjny i antyrepublikański

Część organizacji i grup politycznych zarzuca politykowi działalność antyrepublikańską. Lawinę sprzeciwu wzbudziły jego wcześniejsze głosowania oraz ksenofobiczne wypowiedzi. Zdaniem krytyków osoba

eprasa.pl f919f027b5



150 tys. osób sprzeciwiło się kandydaturze François-Noëla Buffeta na stanowisko Défenseur des droits. Protest przed budynkiem Senatu, Paryż, 21 lipca 2026 r.

o takich poglądach nie daje gwarancji bezstronnej ochrony praw i wolności obywatelskich. Debata wykracza jednak daleko poza samą nominację personalną. Dotyczy bowiem pytania o granice politycznego wpływu na instytucje stojące na straży praw obywatelskich oraz o to, czy możliwe jest jeszcze wyłonienie kandydatów rzeczywiście ponadpartyjnych. W praktyce chodzi o to, czy osoby powoływane na takie stanowiska są oceniane przede wszystkim przez pryzmat kompetencji, czy też wcześniejszą przynależność polityczną.

Kiedy tylko ogłoszono kandydaturę François-Noëla Buffeta, prawie 60 stowarzyszeń i związków zawodowych natychmiast potępiło propozycję prezydenta Emmanuela Macrona. Uznano jego wybór za „niezgodny z wartościami reprezentowanymi przez tę instytucję".

Zdaniem sygnatariuszy wspólnego oświadczenia nominacja ta jest „krokiem wstecz dla demokracji i policzkiem wymierzonym społeczeństwu obywatelskiemu". Wśród organizacji, które podpisały petycję, znalazły się: Greenpeace France, Lekarze Świata (Médecins du Monde), Oxfam France, Planning Familial oraz Inter-LGBT. Przedstawiciele tej szerokiej koalicji podkreślają, że dotychczasowa działalność Buffeta była „naznaczona wieloma stanowiskami sprzecznymi z prawami podstawowymi oraz wartościami, których rzecznik praw obywatelskich powinien strzec i które powinien promować". Organizacje wezwały Emmanuela Macrona do wycofania jego kandydatury oraz przedstawienia w jego miejsce osoby zdolnej do jednoznacznej obrony państwa prawa i praw wszystkich obywateli. Zaapelowały również do parlamentarzystów o sprzeciw wobec tej nominacji.

Kandydatury Buffeta broniła rzeczniczka rządu Maud Bregeon: „Dotychczasowa droga zawodowa pana Buffeta oraz czas, w którym miałam okazję współpracować z nim najpierw jako z parlamentarzystą, a następnie ministrem, pozwalają mieć pełne zaufanie do jego zdolności wykonywania tej misji z niezbędną rzetelnością, bezstronnością i jej wymagającym podejściem".

W obliczu kontrowersyjnej nominacji w 7. dzielnicy Paryża zorganizowano akcję protestacyjną. Członkowie stowarzyszenia Mouv'Enfants zgromadzili się przed siedzibą RPO, domagając się dymisji François-Noëla Buffeta, który dopiero to stanowisko objął. Uczestnicy protestu wskazali na jego wcześniejsze wypowiedzi, powołując się przede wszystkim na przeciwdziałanie dyskryminacji. W związku z demonstracją wzmocniono zabezpieczenia policyjne wokół instytucji publicznych.

Przedstawiony spór pokazuje głębszy problem francuskiego społeczeństwa: bezprecedensową, pogłębiającą się polaryzację. Podczas gdy prawica na temat tej nominacji milczy lub wypowiada się przychylnie, środowiska lewicowe eskalują konflikt. Nowy rzecznik nie ma jednak (jak przypuszczano) związków ze skrajną prawicą – plasuje się po prostu po prawej stronie klasycznej francuskiej prawicy, którą reprezentują republikanie

15 lipca 2026 r. François-Noël Buffet odpowiadał przed Komisją Ustaw (Commission des lois) Zgromadzenia Narodowego na zarzuty lewicy, która uważa, że nominowanie na stanowisko RPO polityka uczestniczącego w manifestacjach „La Manif pour tous" (ruch zaliczający się do kategorii pro-life, cechujący się jednak mniejszym radykalizmem niż w innych państwach) stanowi „prowokację" ze strony głowy państwa. „Wiele rzeczy

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f919f027b5

zostało wyolbrzymionych", oświadczył senator, który momentami nie krył irytacji pytaniami i zarzutami deputowanych.

Polityczna wymiana czy spekulacje?

Nominacji François-Noëla Buffeta od początku towarzyszyły podejrzenia o nie do końca zgodną z prawem polityczną wymianę. Według ustaleń dziennika „Les Échos" Pałac Elizejski miał uzyskać decydujące poparcie prawicowej większości w Senacie dla nominacji Emmanuela Moulina na stanowisko prezesa Banku Francji w zamian za zobowiązanie do wysunięcia kandydatury Buffeta na rzecznika praw obywatelskich. Żadna strona jednak tego nie potwierdziła. Zarówno Gérard Larcher, marszałek Senatu, jak i przedstawiciele prawicy senackiej stanowczo zaprzeczyli doniesieniom o takim układzie. Brak zatem publicznych dowodów jego zawarcia. Mimo to hipoteza ta szybko zyskała rozgłos w środowiskach politycznych i medialnych, zwłaszcza że zdominowany przez prawicę Senat odgrywał kluczową rolę w zatwierdzeniu nominacji Emmanuela Moulina, bliskiego współpracownika Macrona.

Niezależnie od tego, czy do takiego porozumienia rzeczywiście doszło, sprawa ta pokazuje, że procedura powoływania osób na najważniejsze stanowiska państwowe we Francji coraz częściej staje się elementem politycznych negocjacji.

Wynika to z art. 13 konstytucji, zgodnie z którym część nominacji dokonywanych przez prezydenta wymaga wcześniejszego zaopiniowania przez właściwe komisje parlamentarne. W praktyce oznacza to, że kandydatury stają się przedmiotem rozmów i kompromisów między Pałacem Elizejskim a większościami parlamentarnymi. Opozycja postrzega tę sytuację jako dowód postępującego upolitycznienia niezależnych organów administracyjnych, podczas gdy władza wykonawcza utrzymuje, że jej decyzje opierają się wyłącznie na kompetencjach kandydatów.

Skala kontrowersji wokół tej sprawy pokazuje, jak bardzo zmieniło się postrzeganie francuskich instytucji. Organy, które miały pozostawać ponad bieżącym sporem politycznym, coraz częściej stają się jego elementem. W efekcie debata wokół Buffeta przestała dotyczyć wyłącznie jego poglądów czy kompetencji, a stała się kolejnym przejawem pogłębiającej się polaryzacji francuskiej sceny politycznej oraz malejącego zaufania do procedur gwarantujących niezależność państwa.

Kontrowersje te pokazują również, jak istotną pozycję zajmuje dziś w europejskich systemach instytucjonalnym urząd RPO. Od momentu jego utworzenia w 2011 r. miał stanowić gwarancję ochrony praw i wolności obywatelskich, pozostając możliwie jak najbardziej niezależnym od bieżących sporów politycznych. To dlatego każda wątpliwość dotycząca bezstronności przyszłego rzecznika wywołuje tak silne reakcje instytucji pozarządowych i innych organizacji.

Sarah Bomba



eprasa.pl f919f027b5

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Mokre sny o deportacjach

Latem gorącym, chwilami burzowym, latem nudnym rodzą się w przegrzanych głowach tzw. polityków pomysły tak durne, że aż straszne. Nie są to pomysły samodzielne, lecz wyobrażenia zapożyczone, skopiowane, wymarzone i utęsknione – dał nam przykład Donald Trump, jak deportować mamy.

Słowo płynące rzekami, wzburzonymi falami z ust polityków Konfederacji, słowo święte, słowo nadziei na rozwiązanie wszystkich problemów, szczególnie nienazwanych, to w tym sezonie deportacja. Deportować tych, deportować tamtych, tamte i pozostałych! I budować ośrodki deportacyjne, najlepiej prywatne, wszak wolność gospodarcza i wolność osadzania i deportowania winna być w rękach niewidzialnych rynku, czyli przedsiębiorców.

Krzysiu Bosak, ten śliczny, elokwentny, ten było nie było wicemarszałek polskiego Sejmu, jeden z tzw. mózgów Konfederacji, komentował ostatnio odkrywczy plan swojej partii wobec tych, których formacja ta nienawidzi, do których nienawiść podsyca, kultywuje, dzięki czemu pnie się w górę poparcia sondażowego.

Plan jest dopracowany – ma 12 punktów. Nie nazywa się rzecz jasna „Mein Kampf", nie, nie, nazywa się jak z podręcznika zarządzania: „Pakiet odpowiedzialnej polityki migracyjnej".

Krzysiu tę intelektualną nędzę tłumaczy od podstaw. I jedzie punkt po punkcie, debilizm po debilizmie, okrucieństwo po okrucieństwie. Snuje wizję szczęśliwości w i tak homogenicznym – dzięki wszakże Józefowi Wissarionowiczowi Stalinowi – kraju. Przy czym nigdy polscy faszyści i postendecy czy inni konserwatyści Stalinowi za ową homogeniczność Polski nie podziękowali – ładnie to tak?

Wróćmy jednak do nielotów myślowych Krzysia. Co my tu mamy?

Jak najszybszy powrót uchodźców do domu. „Istotą uchodźstwa jest zagrożenie. Kiedy zagrożenie znika, obowiązkiem państwa jest pomaganie w powrocie, aby każdy mógł budować dobrobyt swojej ojczyzny". Ludzkość istnieje, bo wędrowała, uchodziła, uciekała czy goniła i poszukiwała od zawsze. Czy Krzysiu swój apel kieruje np. do mieszkańców USA, przybywających tam w zagrożeniu od XV w.? Wracajcie – mówi – zagrożenie minęło? No nie. Zagrożenie jest tu, a dobrobyt bombardowani Ukraińcy mają budować u siebie – nie daj boże polski dobrobyt, który teraz współtworzą.

Krzysiu ma też rozeznanie w wielokulturowości. „Chcemy powstrzymania napływu obcej cywilizacyjnie, szczególnie muzułmańskiej, masowej imigracji. To już się zaczęło, te liczby idą już w dziesiątki, setki tysięcy. To musi zostać zatrzymane. Roczne limity powinny być skorelowane z potrzebami rynku pracy". Nie wiem, czy znam kogoś bardziej mi obcego cywilizacyjnie od Bosaka. Wciąż jednak nie nawołuję do jego deportacji. Wiem, że to błąd.

Ten, kto złamie prawo, powinien być deportowany. Ten, kto przebywa tu nielegalnie, powinien być deportowany – to kolejne złote myśli. W polskich więzieniach siedzą zasadniczo Polacy z Polski, bo złamali prawo. Czemuż, ach czemuż ich nie deportować? Zapewne w większości popierają przecież „myślenie" Krzysiowi bliskie.

Praktyki szarijatu powinny być zdelegalizowane – to oczywiście sprzeczne z prawem praktyki. Zaś finansowanie rozwoju islamu ze źródeł zagranicznych powinno zostać zablokowane – mówi dalej Krzysiek. A gdzież one są? A inne religie, które mają swoje, swojskie szarijackie rozwiązania, są OK? Może po prostu religijnych won? Bo różnice są żadne. Ale nawet ja, ateista, nie chcę deportować religijnych…

Krzysiu chciałby pod pozorem równości (skąd nagle ta mięta do równości?) pozbywać się zagranicznych studentów: „Niech osoby z zagranicy studiują na polskich uczelniach, ale to nie może być faworyzowane", twierdzi. W przeciwieństwie do Krzysia od lat uczę zagranicznych studentów i studentki, jestem dla nich pełen podziwu i uznania. Znam ich. Krzysiu – nie.

I teraz moje ulubione kuriozum: świat językowych i kulturowych troglodytów, których reprezentuje Krzyś, oczekuje, by przestrzegana była „ochrona języka polskiego". „Polskie instytucje mogą kontaktować się z »interesariuszami« tylko w języku polskim". Może warto zacząć od siebie? I samemu władać polszczyzną inną niż ta z Gromdy i stadionów? Co tam, Krzysiu, czytałeś ostatnio? I dlaczego się nie dzieliłeś?

Konfrater konfederata, niejaki Michał Wawer, dorzuca swoje trzy grosze: „Na dłuższą metę im mniej będzie w Polsce emigrantów, tym będziemy bezpieczniejsi".

Na każdą metę w Polsce będziemy bezpieczniejsi, szczęśliwsi i bardziej zadowoleni, im mniej będzie w niej konfederatów wszelakiej maści, także tych z PO. Zradykalizował mnie ten Krzyś – trudno.

Deportować Konfederację i przybudówki – jak najszybciej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5

Nie ma już muru pod skałą

Czy Gibraltar będzie kiedyś hiszpański?

Chrystian Ślusarczyk

Na mocy podpisanego 15 lipca 2026 r. porozumienia między Unią Europejską a Wielką Brytanią zburzono słynne ogrodzenie graniczne La Verja, oddzielające Hiszpanię od Gibraltaru.

W czasach, kiedy w Europie coraz więcej granic istnieje tylko na papierze, ogrodzenie oddzielające terytorium brytyjskie od hiszpańskiego było wstydliwym wyrzutem sumienia dla Starego Kontynentu. Choć bardzo różniło się od tego dzielącego obie części Berlina, a miejscami było zwykłą drucianą siatką, nikt nie ośmielał się go forsować – konsekwencje takiej zuchwałości mogły być poważne.

Tego lata Gibraltar został objęty unią celną z UE i zintegrowany ze strefą Schengen. Zmiany te oznaczają swobodny przepływ osób przez – wcześniej obfitujące w zasieki i płoty – rozległe przejście graniczne we wschodniej części Gibraltaru.

Choć w wielu mediach znajdziemy informacje, że Gibraltar wszedł do Schengen, formalnie pozostaje on poza strefą swobodnego przemieszczania. W praktyce jednak, pod nadzorem Hiszpanii, będą obowiązywały go te same zasady, co innych członków strefy. Podwójne, unijne i brytyjskie, kontrole mają obowiązywać już tylko w porcie i na lotnisku w Gibraltarze, które obsługuje jednak niewiele lotów, głównie z i do Londynu. Tam odprawy będą przeprowadzane zarówno przez Hiszpanów, jak i służby Gibraltaru.

Ulga dla Andaluzyjczyków i turystów

Zajmujący powierzchnię 6,5 km kw. Gibraltar zamieszkiwany jest przez niespełna 38 tys. ludzi. Tak niewielka powierzchnia powoduje, że najlepszych środkiem przemieszczania się po niej są… nasze nogi, a także często widywane na przejściu granicznym rowery. Położony na skalistym i wąskim półwyspie Gibraltar (zaledwie 14 km od brzegów Maroka) od północy graniczy z hiszpańskim miastem La Línea de la Concepción. I to właśnie z tej i do tej hiszpańskiej miejscowości codziennie przemieszczają się tysiące osób. Według danych hiszpańskich to nawet 15 tys. osób na dobę. Powód tej intensywnej, codziennej migracji jest banalny. Mieszkańcy Gibraltaru należą do najlepiej zarabiających na świecie. Ci z kolei, którzy zamieszkują ponad 60-tysięczne La Línea de la Concepción, zaliczają się do najsłabiej uposażonych w Hiszpanii. Bezrobocie na terenach południowej Andaluzji sięga dziś 25%.

Symbolem maleńkiego Gibraltaru, przyciągającym najliczniejsze rzesze turystów, jest wznosząca się na wysokość 426 m skała. W rezerwacie wokół Skały Gibraltarskiej żyje ok. 250 małp magotów. Są jedynymi wolno żyjącymi tego typu małpami w Europie.

Począwszy od tego lata, także polscy turyści, by wspiąć się na słynną Skałę Gibraltarską i zwiedzić gibraltarskie katedry, zamek czy pomnik gen. Władysława Sikorskiego (odsłonięty w 2013 r.), z Hiszpanii do Gibraltaru dostaną się bez kontroli granicznych.

Na otwarciu granicy korzystają nie tylko mieszkańcy i turyści, ale i bukmacherzy. Od początku XXI w. Gibraltar jest bowiem siedzibą wielu firm bukmacherskich oraz sektora gier online. To zasługa sprzyjającego systemu fiskalnego i braku tradycyjnego podatku VAT. Branża gier i zakładów odpowiada tam za prawie 25% lokalnego PKB. Związane z nią firmy warte są dziś 15 mld euro i zatrudniają



ponad 3 tys. osób. Obecnie w Gibraltarze znajduje się ponad 33 tys. firm korzystających ze specjalnego statusu brytyjskiego terytorium. A znaczna część gospodarki pozostaje w szarej strefie.

Budżet Gibraltaru uzupełniają też wpływy pochodzące z sektora żeglugi morskiej, turystyki i handlu.

To nie koniec sporów?

Hiszpan José Luis Martínez Gordo (zmarł w 1969 r.) w patriotycznym utworze „Gibraltar Español" (hiszpański Gibraltar) śpiewał, że „Bóg wie, iż Gibraltar był i będzie hiszpański". Słowa tego utworu przemawiały i chyba wciąż przemawiają do wielu hiszpańskich dusz. Bo jakaż to była granica państwa, skoro przebiegała tylko przez terytorium hiszpańskie. I to tak krótko.

Gibraltar, skalisty półwysep na styku południa Europy i północy Afryki, od wieków był świadkiem wielu bitew i sporów związanych z jego suwerennością. Brytyjskie terytorium zależne przez 13 lat było odcięte od świata blokadą, którą

eprasa.pl f919f027b5



15 lipca 2026 r. na podstawie porozumienia między Unią Europejską a Wielką Brytanią zburzono słynne ogrodzenie graniczne La Verja, oddzielające Hiszpanię od Gibraltaru.

w mrocznych dla Hiszpanii latach 70. wprowadził gen. Francisco Franco. Trwała ona do połowy lat 80. Reżim w Madrycie uznał, że odcięcie enklawy rzuci ją gospodarczo na kolana i zmusi Wielką Brytanię do zrzeczenia się zwierzchności nad tym terytorium. Dzisiejsza Hiszpania pozostaje w czołówce, jeśli chodzi o swobody obyczajowe i polityczne oraz globalne zaangażowanie w prawa człowieka (vide postawa Madrytu w stosunku do Palestyńczyków). Mimo to kolejne pokolenia Gibraltarczyków postrzegają ją wciąż przez pryzmat dyktatury frankistowskiej. I postawy, wobec której należy zachować daleko idąca czujność.

Ta swoista polityczna czujność dobitnie wybrzmiała w czasie referendum, które 10 lat temu zdecydowało o brexicie. W 2016 r. aż 96% (!) mieszkańców Gibraltaru zagłosowało za tym, by Zjednoczone Królestwo pozostało członkiem Unii Europejskiej. W Wielkiej Brytanii wyniki były zupełnie inne – tam aż 51,9% obywateli było za opuszczeniem UE. Stanowisko Gibraltarczyków wynikało przede wszystkim z obaw, że opuszczenie Unii zachęci Hiszpanię do roszczeń wobec ich suwerenności oraz stanie się przyczyną całkiem realnych problemów logistycznych.

Premier Hiszpanii Pedro Sánchez przyznał, że podpisanie lipcowego porozumienia jest korzystne dla obywateli obu krajów i stosunków z Wielką Brytanią. Z dumą stwierdził o „zaleczeniu raz na zawsze otwartej, hiszpańsko-brytyjskiej rany". Jednocześnie podkreślił, że postęp w sprawie granicy nie oznacza „rezygnacji z roszczeń do zwrotu Gibraltaru", który od 1713 r., na mocy traktatu z Utrechtu, znajduje się pod jurysdykcją brytyjską. Część polityków hiszpańskich dopinguje premiera, by ten nie zapominał o hiszpańskim rodowodzie tego miejsca.

Mury wciąż dzielą

W wielu europejskich mediach można przeczytać, że lipcowa likwidacja muru między Hiszpanią a brytyjskim Gibraltarem oznacza, że we współczesnej Europie nie ma już murów dzielących kraj czy miasto. Niestety, tak nie jest.

Mur, płot i kolczaste druty wciąż rozdzielają np. dwie części Nikozji – grecką (południe) i turecką (północ). Ogrodzenie (a dokładniej strefa buforowa i linia rozgraniczająca zwana Zieloną Linią) powstała po raz pierwszy w 1964 r., a jej ostateczna, obecna forma ukształtowała się w 1974 r.

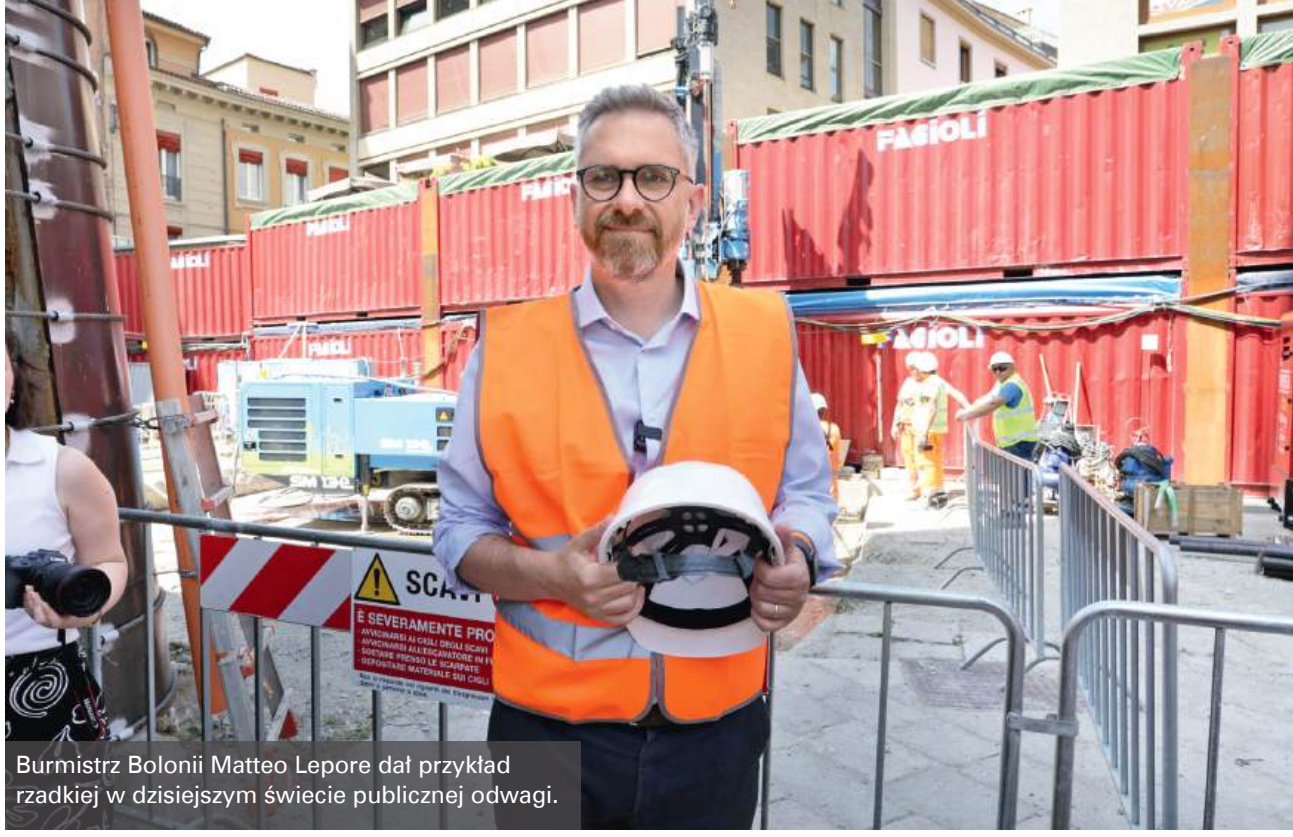
Niewiele wskazuje na to, że to dzielące obie części miasta ogrodzenie wkrótce zniknie. Tak więc udając się na spacer z części greckiej (i prawosławnej) do tureckiej (muzułmańskiej), musimy na granicy pokazać dokument tożsamości. Mało osób wie, że od kilku już lat do Turcji, a także tureckiego Cypru Północnego, wejdziemy czy wjedziemy za okazaniem dowodu osobistego. To niewątpliwe ułatwienie, zwłaszcza w sezonie letnim, choć Cypr dla wielu jest krajem odległym, „przedsionkiem" Bliskiego Wschodu i tlącego się tam od dekad konfliktu.

Twierdzenie, że ostatecznie pozbyliśmy się dziś murów dzielących miasta w kontynentalnej Europie, nie dotyczy też miast Narwa i Iwangorod na styku Estonii i Rosji. Kiedyś był to jeden zwarty organizm miejski, który dzieliła jedynie wartko płynąca rzeka Narwa. Dziś to dwa zupełnie inne światy. W czasach Związku Radzieckiego nikomu nie przychodziło do głowy, że most na rzece u podnóży twierdz położonych na obu jej brzegach stanie się mostem granicznym. Jeszcze do niedawna mostem na rosyjsko-estońskim przejściu mogły przejeżdżać samochody. Po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny w Ukrainie władze estońskie zezwoliły jedynie na ruch pieszych.

To miejsce naszpikowane kontrolną elektroniką stanowi strategiczną granicę unijną, od strony estońskiej jest zatem nieustannie wzmacniane. System zasieków zaś zaczął przypominać ten, który w minionych czasach bronił granicy między ZSRR a Polską i innymi tzw. bratnimi państwami. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f919f027b5



Burmistrz Bolonii Matteo Lepore dał przykład rzadkiej w dzisiejszym świecie publicznej odwagi.

Lokalny ruch oporu

Samorządy coraz istotniejsze na świecie

Mateusz Mazzini

Matteo Lepore ma 45 lat, siwą brodę, okulary w okrągłych oprawkach, lewicowy rodowód ideologiczny oraz, od niedawna, kilkanaście gróźb śmierci na koncie. Na tyle poważnych, że po ulicach Bolonii, miasta, z którego pochodzi, w którym studiował i którym rządzi obecnie jako burmistrz, musi się poruszać w asyście policji. Wszystko z powodu zdecydowanej reakcji na wydarzenia z 18 lipca, kiedy na ulicy jego miasta zginął Abderrahim Fakir, 42-letni obywatel Maroka.

Przyczyny śmierci, a wcześniej zachowanie policji w chwili aresztowania Fakira pozostają nie do końca wyjaśnione, a dostępne w internecie nagrania pochodzące z różnych źródeł – zarówno amatorskie filmy świadków zajścia, jak i fragmentaryczne ujęcia z kamer na mundurach policyjnych – dają jedynie częściowy obraz sytuacji. Z jednoznacznymi osądami należałoby się wstrzymać do sekcji zwłok i końca dochodzenia. Tyle że w dobie informacji zawłaszczonej przez algorytmy to się nie uda.

Lepore zresztą sam nie chciał czekać i może tym naraził się przeciwnikom ideologicznym. Jego zwolennicy widzą w nim natomiast bohatera, który podjął stanowcze działania, bo tego wymagała racja stanu. Kłania się dzisiejszy modus operandi polityki, w której premiuje się szybkie ruchy zamiast refleksji. Co nie zmienia faktu, że Lepore dał przykład rzadkiej w dzisiejszym świecie publicznej odwagi.

Śmierć Fakira wzbudziła w Bolonii, bastionie włoskiej lewicy, mieście studenckim, ogromny niepokój. Mężczyzna, który we Włoszech przebywał legalnie – mieszkał tu od szóstego roku życia, przeszedł przez całą krajową ścieżkę edukacyjną, a pobyt zalegalizował poprzez małżeństwo z Włoszką – miał najpewniej epizod choroby psychicznej lub napad szału. Nie ma dowodów na to, że w chwili spotkania z dwójką policjantów był pod wpływem substancji aktywnych, choć już raz był skazany na siedem miesięcy za posiadanie narkotyków. Z tego powodu droga do włoskiego obywatelstwa mu się wydłużyła. Na nagraniach udostępnionych m.in. przez „Corriere della Sera", Al-Dżazirę czy „The New York Timesa" widać go w drgawkach na krawężniku, ale jest też ujęcie, na którym dwóch policjantów siedzi na jego plecach i karku.

Każdy zobaczy tu, co chce. Aktywiści promigracyjni i lewica nadużycia ze strony mundurowych, działających w imieniu systemu, który Josephine de La Bruyère z „NYT" opisała jako „ustawiony przeciwko imigrantom". Jeśli to przesada, to niewielka i niespecjalnie związana z konsekwencjami kryzysu migracyjnego ostatniej dekady. Włosi mają

eprasa.pl f919f027b5

od zawsze arcydługą ścieżkę do obywatelstwa, nawet dla osób tu urodzonych, wychowanych i wyedukowanych. Rząd Giorgii Meloni jeszcze ten problem spotęgował, znacznie ograniczając możliwość dziedziczenia obywatelstwa.

Z kolei prawica dostrzega jedynie „zwykłych Włochów" wykonujących swoje obowiązki – jak policjantów określiła prawniczka. I w tym też jest sporo prawdy, bo Meloni niedawno przepchnęła przez parlament nowe zasady działania policji w kontakcie „z niewspółpracującymi jednostkami". Klękanie na ich plecach wpisuje się w nowy kanon.

Burmistrz podburza

Dzień po śmierci Fakira dziesiątki tysięcy ludzi, głównie młodych, wyszło na ulice i place centrum historycznego Bolonii, protestując przeciwko agresji policyjnej. Rozpolitykowana stolica Emilii-Romanii ma tradycje takiego ruchu społecznego. Nawet starcia, w wyniku których ponad 60 mundurowych zostało rannych, nie są odstępstwem od historycznej normy. To, co wciąż unikatowe na skalę europejską, zwłaszcza dziś, to fakt, że do wyjścia na ulice wezwał ich właśnie Matteo Lepore. Teoretycznie można to uznać za cyniczną chęć zbicia kapitału politycznego na oddolnej energii. Ale w decyzji urzędującego burmistrza dużego miasta europejskiego, by zachęcić ludzi do manifestowania w obronie słabszych, jest coś więcej.

Po pierwsze, to polityczna odwaga, bo przecież imigracja to wciąż temat trudny, polaryzujący, w ramach którego nawet europejska lewica nie zajmuje wspólnego stanowiska. Po drugie, zawodowi politycy, a do takich należy Lepore, często wiele ryzykują, angażując się w obszarach tradycyjnie zdominowanych przez społeczeństwo obywatelskie.

Takie ruchy są z reguły anty-establishmentowe, populistyczne, sceptycznie nastawione wobec zinstytucjonalizowanej władzy. Kalkulacja polityczna często dominuje nad instynktem i rodowodem ideologicznym. U Leporego tak nie było, czym zyskał rozpoznawalność w postępowych mediach na skalę międzynarodową. Michael Braun poświęcił mu felieton w niemieckim „Tageszeitung", podkreślając, że burmistrz nie zrobił nic, co wykraczałoby poza ramy dyskursu politycznego. Skoro bowiem politycy prawicy, na czele z wicepremierem Salvinim, na masową skalę opowiedzieli się po stronie policjantów zamieszanych w śmierć Marokańczyka, dlaczego lewicowa opozycja miałaby stać z boku.

Polityka bardziej polityczna

Patrząc jednak na wydarzenia w Bolonii szerzej, widzimy, że zachowanie burmistrza staje się kolejnym przykładem innego globalnego zjawiska – lokalnego oporu wobec scentralizowanych tendencji autorytarnych. Podczas gdy coraz więcej liberalnych przywódców narodowych nie jest w stanie opowiedzieć się po stronie wartości, które reprezentowały ich partie, w tym zadaniu wyręczają ich burmistrzowie i samorządowcy. Ogólnonarodowe formacje lewicowe czy centrowe są coraz częściej ograniczane kwestiami geopolitycznymi, złożonymi koalicjami i wynikającą z nich transakcyjnością czy, co gorsza, oczekiwaniami rynków finansowych. Z tego względu przesuwają się na prawo, w kierunku kapitału prywatnego i korporacji, których wolą nie drażnić (także dlatego, że są zależni od nich, ich produktów i usług). Większość z tych ograniczeń strukturalnych nie występuje na płaszczyźnie samorządowej, gdzie polityka jest znacznie żywsza, bliższa obywatelom i – co nie jest tautologią – po prostu bardziej polityczna.

Przykłady tej prawidłowości można zaobserwować niemal wszędzie w krajach rozwiniętych. Zohran Mamdani, lewicowy burmistrz Nowego Jorku, przychodzi na myśl automatycznie – nawet jeśli styl uprawianej przez niego polityki jest populistyczny. Stąd porównania z Trumpem. Tu jednak należy być precyzyjnym, jak reporter magazynu „New Yorker" Evan Osnos. Jego zdaniem zestawienia Mamdaniego i Trumpa są „powierzchownie przydatne i strukturalnie mylące", bo „Mamdani ma szacunek dla praworządności i uważa, że administracja powinna działać dla wszystkich. Trump tych poglądów nie podziela".

Mamdani nie tylko zajmuje się bieżącym zarządzaniem miastem, ale też aktywizuje się w polityce krajowej. Udzielił poparcia grupie członków Demokratycznych Socjalistów Ameryki, lewicowego skrzydła Partii Demokratycznej, którzy walczyli o nominacje przed listopadowymi wyborami połówkowymi. Wybory federalne pozostają poza jego prerogatywami, co nie przeszkodziło mu angażować się chociażby w działania Claire Valdez, ważnej nowojorskiej socjalistki. Mamdani, podobnie jak Matteo Lepore, nie boi się zresztą wypływać na szersze wody. Dowodem była ostatnia debata publiczna na temat możliwości aresztowania przez niego Beniamina Netanjahu. Premier Izraela wciąż obciążony jest nakazem aresztowania Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Burmistrzowie dużych miast wykazują cechy, których politycy pokroju Trumpa nie znoszą, a progresywni liderzy zazdroszczą.

USA nie są sygnatariuszami statutu rzymskiego, który powołał trybunał do życia, więc nakaz aresztowania nie zostanie automatycznie aktywowany, jeśli Netanjahu pojawi się w tym kraju. To jednak nie przeszkodziło Mamdaniemu w przeprowadzeniu błyskotliwej operacji wizerunkowej. Najpierw nazwał premiera Izraela zbrodniarzem wojennym, a potem wystąpił na konferencji prasowej z konkluzją, że jednak nie ma zdolności prawnej, by go aresztować. To było oczywiste od początku, ale burmistrz Nowego Jorku przypomniał światu, po której stronie stoi w tym sporze.

W Europie ta dynamika jest jeszcze bardziej widoczna. Wszak głównym oponentem otwarcie już dyktatorskiego reżimu Recepa Tayyipa

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl f919f027b5

Erdoğana w Turcji jest zamknięty w więzieniu były burmistrz Stambułu Ekrem İmamoğlu. Samorządowiec był na tyle skuteczny w mobilizowaniu lokalnej społeczności przeciwko autorytarnym zapędom rządu centralnego, że w celu jego wyeliminowania z politycznego krajobrazu Erdoğan przekroczył granice. Zasadniczo bowiem, co ilustrują badania politologów, takich jak Adam Przeworski czy Steven Levitsky, nieliberalne demokracje w stylu Orbána na Węgrzech dzielą od Turcji Erdoğana i Białorusi Łukaszenki dwa stopnie ewolucji. Pierwszym jest instrumentalizacja wymiaru sprawiedliwości, drugim wykorzystanie aparatu przymusu do celów politycznych.

Na Węgrzech pierwsza granica została przekroczona, ale druga już nie, policjanci nie tłamsili marszów opozycyjnych w Budapeszcie, czego nie da się powiedzieć o wydarzeniach w Mińsku czy Stambule. W dodatku İmamoğlu usłyszał od Erdoğana typowe obelgi. Że to skorumpowany, zdegenerowany moralnie, pozbawiony skrupułów globalista oddany na służbę zagranicznym elitom. Rządzi miastem, które z jednej strony jest liberalne, jak każda większa metropolia, a które z drugiej jest niezbędne do prawidłowego funkcjonowania tureckiej gospodarki i aparatu państwowego.

Najwięksi wrogowie autorkratów

Turecki rozdział tej opowieści prawdopodobnie najlepiej ilustruje dynamikę, którą w magazynie „Foreign Affairs" opisała Nina Hachigan, szefowa Alliance for Local Leaders International, globalnej federacji samorządowców. Burmistrzów dużych miast określiła nawet mianem „największych wrogów autokratów", pokazując, że rzeczywiście koncentrują w sobie cechy, których politycy pokroju Trumpa nie znoszą, a których narodowi liderzy progresywni zwyczajnie zazdroszczą. Są najczęściej młodzi, sprawni komunikacyjnie w świecie nowych technologii, otwarci na nieoczywiste koalicje polityczne i zdolni do współpracy ponad partyjną polaryzacją. Pod wieloma względami mają łatwiej, bo nie muszą przejmować się kwestiami egzystencjalnymi. W ich kompetencjach nie ma obrony terytorium, a nawet zwalczanie przestępczości to coś, co robią we współpracy z centralnie sterowanymi służbami mundurowymi. W dodatku cykl tworzenia polityki i obserwowania jej rezultatów jest krótszy niż na poziomie krajowym. Łatwiej coś zmienić, szybciej przychodzą efekty.

W takich warunkach metoda uprawiania polityki zwana deliverism, czyli kolokwialnie „dowożenie rezultatów", zaczyna nabierać sensu. Tak Amerykę po pierwszym czteroleciu Trumpa próbował naprawiać Joe Biden, ale owoców swojej pracy nie mógł sam zbierać, bo Trump zabrał mu reelekcję, a młyny federalnej polityki mielą powoli. Tymczasem Mamdani i inni burmistrzowie w USA, jak Daniel Lurie w San Francisco, pokazują wyborcom realną zmianę po kilku czy kilkunastu miesiącach.

Gloryfikacja burmistrzów nie rozwiąże problemu faszyzacji współczesnej polityki demokratycznej. To kwestia skali. Samorządowcy, nawet w globalnej unii, sami nie rozprawią się z katastrofą klimatyczną, zapaścią demograficzną, sztuczną inteligencją czy zagrożeniem rosyjskim imperializmem.

Ciekawym testem tego, ile z sukcesu lokalnego da się przenieść na poziom międzynarodowy, będzie rozpoczęte niedawno premierostwo Andy'ego Burnhama w Wielkiej Brytanii. Jako burmistrz aglomeracji Manchesteru był nie tylko lubiany, ale i skuteczny – także dlatego, że budował wizerunek człowieka w opozycji do odległego Londynu i Westminsteru. Teraz role się odwróciły i sam będzie w Londynie rozdawać karty. O skuteczności lokalnych postulatów chyba jednak nie zapomniał, bo jego doktryna rządzenia, tzw. place-based politics, ma być oparta na silniejszych samorządach terytorialnych.

Nina Hachigan ma więc częściowo rację. Burmistrzowie stoją autokratom ością w gardle. I to wszędzie, bo nieprzypadkowo baner z poparciem dla Ekrema İmamoğlu zawisł niedawno na fasadzie ratusza w Bolonii.

Mateusz Mazzini

W wielu miejscach burmistrzowie i samorządowcy wyręczają przywódców narodowych.



eprasa.pl f919f027b5

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Trzeba słuchać narodu, czyli mnie

Nawrocki urządził sobie akademię po roku prezydentury, nikomu wcześniej nie przychodziło to do głowy. Scenografia w ramach Pałacu Namiestnikowskiego godna wystąpień dyktatora. Zakochał się w sobie. Czyli bliski krewny Trumpa. Głównie chwalił sam siebie, dobry gospodarz, który tak pracuje dla Polski, że prawie nie śpi (Stalin też nie spał). I jak zbawienne dla Polski są jego weta, nie takie zwykłe weta, to weta piękne jak prawy prosty w nos tyranii Tuska. W tym samym czasie „ojciec" prezydenta, czyli prezes, wraca z wielkim przekonaniem do tezy, że rząd Tuska to opcja niemiecka. To równie fantastyczne i surrealistyczne jak twierdzenie, że był zamach na Tupolewa w ramach spisku Tuska i Putina, co prezes lansuje. Trump żyje w nierzeczywistości, podobnie prezes. Nawrocki też zmierza w tę stronę. Braun to ewidentny szaleniec. Prawdziwa epidemia.

Wracając do prezydentury Karola Nawrockiego – potwierdzają się najgorsze obawy, najdobitniej wyrażał je prof. Antoni Dudek, który miał okazję poznać Nawrockiego jeszcze jako szefa IPN. Nacjonalizm, wielkie ambicje, bezwzględność i chamstwo. Wzruszyło mnie, że Nawrocki ułaskawił kibola zwanego „Staruchem", na którym ciążył niezwykle okrutny wyrok – zakaz wstępu na stadiony za chuligaństwo. Teraz pójdzie, a kibole będą wiwatować na jego cześć i na pohybel Tuskowi. „Staruch" m.in. uderzył w twarz obrońcę Legii Jakuba Rzeźniczaka. Poznałem tego piłkarza, opowiadał mi, że gdy szli po przegranym meczu do szatni, byli lżeni i opluwani przez kibiców. „Staruch" wyskoczył i uderzył go „z liścia", czyli otwartą dłonią, więc pół biedy. Potem „Staruch" brał udział w bójkach na stadionie w Bydgoszczy. Błaha sprawa. Ale prezydent, przecież kiedyś też kibol biorący udział w ustawkach, pochyla się nad prostym kibolem, niech lud wie, że jest po jego stronie.

Kibice piłkarscy, ci radykalni, są jak skłócone prymitywne plemiona, gdzie obowiązują brutalne zwyczaje. Świetny materiał ludzki, by budować faszyzm. Nawrocki nie chce faszyzmu, chce faszyźmiku, w tej zgniłej Europie inaczej się nie da, więc łagodną wersję, z nim jako ojcem narodu. Zacytujmy go: „Chcę być, moi kochani, waszym głosem, bo zdaje się, że ani w polskim Sejmie za sprawą pana marszałka, ani w polskim Senacie za sprawą pani marszałek nikt narodu słuchać nie chce. A naród jest mądry, naród dobrze wybiera. Polki i Polacy wiedzą, dokąd chcą zmierzać, dokonują dobrych wyborów. Narodu słuchać trzeba". A naród to ja.

•

Rozrasta się konflikt między prezesem a Morawieckim. Widać, że ten drugi, przecież przez tego pierwszego stworzony, gdy był premierem, czuł się upokarzany przez prezesa. I teraz się odgrywa. Prezes mówi: „Mam wrażenie, że pan premier jest w jakimś dziwnym stanie". Mówiąc krótko, zwariował. Prezes nawet sączy przez zęby, że jak tak dalej pójdzie, nie będzie można stworzyć wspólnych list. A będzie, rządza władzy i rządza zemsty są o wiele silniejsze od urazów, nawet krwawych.

Prezydent Aleksander Kwaśniewski nie wyklucza, że po wyborach w 2027 r. Morawiecki dogada się z PO, ale nie z Tuskiem, ten będzie musiał zrezygnować. Trudno sobie to wyobrazić, ale kto wyobrażał sobie rozłam w PiS. Nie postawiłbym na to jednak żadnych pieniędzy. Tak szybko nie da się zakopać tak głębokiej przepaści, to już otchłań. Tymczasem prezes, konkurując z Braunem,

Rządza władzy i zemsty są o wiele silniejsze od urazów, nawet krwawych.

świadomie karmi polskie demony, wszystko, co w nas pierwotne i chore, historyczne traumy i lęki, by zabrać Koronie wyborców. Złowroga sprawa. Wiele można zdziałać w krótkim czasie, by zmienić świadomość ludzi, wystarczy popatrzeć na lata 30. w Niemczech czy we Włoszech.

•

Tobiasz Bocheński, czołowy maślarz PiS, wygląda po europejsku, ale duszę ma azjatycką. Oświadczył, że po przejęciu władzy przez PiS „jedną z pierwszych istotniejszych decyzji rządu będzie decyzja o deportacji Ukraińców, mężczyzn w wieku poborowym, którzy nie pracują legalnie w Polsce. Będą mieli okazję walczyć o swoją ojczyznę, żeby horror tej wojny szybko się zakończył. I państwo polskie w tym kategorycznie i bezkompromisowo pomoże". Prezes też to obiecuje. To zawieszenie nad każdym Ukraińcem w wieku poborowym miecza. Polska ma być komisją wojskową dla młodych Ukraińców. Tak wyglądają wyścigi z Braunem. Moralnie obrzydliwe, politycznie fatalne. I to przesłanie: Ukraińcy, przelewajcie za nas krew, im jej więcej przelejecie, tym dla nas lepiej, będziemy więc wysyłać z Polski ukraińskie mięso armatnie, również za karę, za Wołyń, niech giną teraz za nas. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5

KITU NIE WCISKAŁEM

Dotrzymujemy słowa – to rzecz najważniejsza

Rozmawia Robert Walenciak



JANUSZ CZERWIŃSKI
– reprezentant Polski w piłce ręcznej, trener reprezentacji Polski seniorów w latach 1968-1976

Jak pan trafił do piłki ręcznej?

– Byłem też koszykarzem. Nawet nieźle mi szło. Ale wie pan, w tamtych latach, po wojnie, uprawialiśmy wszystko. Począwszy od szmacianki i puszek od konserw, bo je także się kopało. Straszna bieda była. Ale umiałem się dostosować, nie narzekałem. Na studia dostałem się na AWF w Warszawie. W tym czasie grałem w Kłodzku w piłkę ręczną i – to był ewenement – weszliśmy do pierwszej ligi „jedenastek". Wie pan, co to było?

Piłka ręczna, jedenastoosobowa.

– Jak weszliśmy do pierwszej ligi, to było ogromne wydarzenie na Dolnym Śląsku. Chłopcy, z którymi ten awans wywalczyliśmy, zaczęli mnie namawiać: zostań! A ja odpowiadałem: wezmą mnie do wojska! A oni: nie wezmą! Załatwimy ci wszystko! Proszę sobie wyobrazić, że wybrałem granie w Kłodzku. I oczywiście trafiłem do wojska. Ale do Śląska Wrocław nie poszedłem, bo w naszym mieście też był cywilno-wojskowy klub sportowy Nysa. Udało mi się zostać w Kłodzku i mogłem grać. Ale w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że muszę się pakować. Bo tu się nie rozwinę. A miałem swój cel. Marzyłem, żeby być reprezentantem Polski. I tak trafiłem do Gdańska.

Sam pan tam się zgłosił?

– Kolega mnie nakłonił, żeby przyjechać i zobaczyć. Bo powstaje nowy klub – Spójnia Gdańsk, do tego jest fajny trener. Przyjechałem i od razu mnie tam drapnęli. Nienajgorszy byłem. I od 1959 r. jestem w Gdańsku.

Kupili pana?

– To były inne czasy. Nie było pieniędzy, bajer głównie funkcjonował. Pamiętam, jak mnie namawiali: przyjdziesz, dostaniesz mieszkanie. Jakie chcesz? Drzwi w środku otwierane czy zasuwane? To ja mówię: wszystko jedno, tylko dajcie to mieszkanie.

Dali?

– Po trzech latach. Trzeba było cierpliwie poczekać.

A co sprawiło, że zajął się pan trenerką?

– Samo wyszło. Grając, zawsze obserwowałem, jak grają ci drudzy. Bo to cały czas były rzeczy nowe, których człowiek nie znał. Mieliśmy mecz ze Szwedami, którzy w tej dyscyplinie reprezentowali wysoki poziom. Patrzyłem, jakie mają nowości. Rzut ze skrzydła z odchyleniem. Jak oni to robili? Była sytuacja charakterystyczna – w obronie stwarzali luki, prowokując do tego, żeby w tę lukę rzucać. A tam bramkarz się przesuwał i chwytał piłkę. Nasz trener tego nie zauważył, zawodnicy też nie, a ja wyłapałem. I mówię do kolegów: rzucajmy w drugą stronę, tam gdzie bramkarz stał poprzednio. Kolega rzucił i – gol! I to już było odkrycie. Tego typu sytuacje wyłapywałem. Mówiłem: chłopaki róbmy tak! A oni mnie słuchali.

Musiał pan mieć autorytet.

– Grałem w Spójni przez trzy sezony jako grający trener.

To bardzo trudna rola. Trener to ktoś inny niż kolega z boiska.

– Zawodnicy, którzy ze mną grali, mówili potem: opieprzał nas, a myśmy go słuchali. Widocznie jakąś charyzmę człowiek miał, że się powiodło.

Talent pedagoga się wyzwolił.

– No tak. Z drugiej strony, człowiek umiał pokazać każdy element, na który trzeba zwrócić uwagę. To też jest ważne. Zawód trenerski jest ściśle związany z zawodem nauczyciela. Trzeba mieć dar dotarcia do ludzi.

Nawet opornych.

– Byłem trenerem, ale i nauczycielem – pracowałem od szkoły podstawowej przez średnią do wyższej. I miałem na zajęciach sporo dzieci takich… niezbyt grzecznych. Dzięki temu, że z nimi rozmawiałem, traktowałem je uczciwie, one mi wierzyły i ufały. Jak coś mówiłem, starałem się dotrzymać słowa. Kitu nie wciskałem.

Przynosiło to efekty?

– Opowiem panu historię. Pracowałem w szkole we Wrzeszczu, gdzie uczyły się dzieci stoczniowe, bo to było blisko stoczni. Element był różny. Pod koniec roku szkolnego przyszedł do mnie kierownik i mówi: kolego, mamy w ostatnich klasach kłopoty, bo chłopcy strzelają z korkowców, straszą nauczycielki, one mdleją. Jakby pan tak mógł z nimi porozmawiać… No dobrze, spróbuję

eprasa.pl f919f027b5



Reprezentacja Polski w piłce ręcznej mężczyzn – brązowi medaliści XXI Letnich Igrzysk Olimpijskich Montreal 1976. Trener Janusz Czerwiński w górnym rzędzie z prawej strony. Warszawa 1976 r.

– mówię. A to był koniec kwietnia, organizowano wtedy dużo różnych zawodów szkolnych. Wziąłem do siebie głównego herszta tych łobuzów i mówię: będziesz moim pomocnikiem, postarasz się utrzymać dyscyplinę w grupie. I to już go zbudowało. Mówiłem mu: będziesz miał zadania, a o szczegółach później ci powiem. Przyjmujesz? A on na to: zastanowię się. Na następnej przerwie patrzę, a tu drzwi w pokoju nauczycielskim się uchylają: zdecydowałem się, przyjmuję propozycję, bo pana lubię.

Jak było później?

– Trzymał dyscyplinę, czuł się pewny, dobrze mu to zrobiło. W tamtym czasie – bo widziałem, że on jest biedny – jakieś sweterek miałem, jakąś koszulkę, to mu dałem. Proszę sobie wyobrazić, jakeś 15-20 lat później idę we Wrzeszczu z żoną. Podchodzi do nas para z dwójką dzieci: dzień dobry panu! Poznałem go! A on mówi: widzi pan, coś ze mnie wyrosło! Ciekaw byłem jego drogi życiowej. Skończył szkołę zawodową, poszedł do technikum okrętowego na budowę okrętów, był brygadzistą w stoczni. Z taką dumą to mówił.

Pan też z dumą o tym opowiada.

– Najważniejsze, że mi zaufał i przyjął ofertę. Dlaczego mnie lubił? Myślę, że dlatego, że nigdy tych chłopaków nie wystawiłem do wiatru. Jak nie dotrzymuje się słowa, zakłóca to porządek między pokoleniami i w ogóle w społeczeństwie. Wiemy wszyscy, jak to wygląda. Dotrzymujemy słowa – to rzecz najważniejsza. Wtedy ludzie, nawet ci „z charakterem" potrafią się dostosować i później sprawdzają się w społeczeństwie.

Teraz jest z tym trudniej.

– Teraz nie ma tej dyscypliny, nie wszędzie nauczyciele mają autorytet i są szanowani przez uczniów. Ale to jest też ich wina, bo nauczyciel musi coś pokazać. Musi pamiętać, że o autorytet trzeba zadbać. Kiedyś przyszedł do mnie praktykant. Mówię: prowadź te zajęcia, ja sobie pójdę i będę obserwował przez okno. Ledwo doszedłem do okna, nikogo już nie było. Obrzucili praktykanta kasztanami i sobie poszli. Nie chcieli go słuchać. Wziąłem potem tych chłopaków na bok i zapytałem, dlaczego tak go potraktowali. – A bo stał jak ofiara. Czyli trzeba pokazać, że ma się moc. A on nie potrafił.

W sporcie trener też musi pokazać?

– To oczywiste. Sport tworzy więzi, kolektyw. My w Spójni do dzisiaj trzymamy się razem, spotykamy się co tydzień, dwa. Coraz rzadziej, bo chłopaki zdrowia już nie mają. Te spotkania są szalenie ważne. Pokazują, że stworzyliśmy wspólnie jakąś wartość.

A jak radzić sobie z liderami, którzy mają muchy w nosie i rozbijają drużynę? Z gwiazdami?

– Najpierw próbowałem z takim się dogadać. W większości przypadków to się udawało, ale bywało, że ktoś nie pasował do drużyny. Jeden młody zawodnik z grupy dostał powołanie do reprezentacji. Poczuł więc, że jest ważny, i ogłosił: od dzisiaj nie będziecie mi zwracali uwagi, teraz ja, kadrowicz, będę wam ją zwracał. A w drużynie było towarzystwo doświadczone, starsi

Janusz Czerwiński – ur. 24 października 1936 r., zawodnik, trener piłki ręcznej. Jego drużyna zdobyła trzecie miejsce na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976 r. Następnie trenował reprezentacje Islandii (1976-1977) i Grecji (1984-1987). Prezes Związku Piłki Ręcznej w Polsce (1988-1996, od 1996 prezes honorowy ZPRP), rektor Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku (1981-1984 i 1996-2002), profesor zwyczajny.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PAP/ZYGFRYD KUCHTA

eprasa.pl f919f027b5

zawodnicy, reprezentanci, studenci politechniki. Za głowy się złapali: co ty pieprzysz? Wziąłem go na bok. – Na następny trening – powiedziałem – przyjdziesz i przeprosisz chłopaków. – Nie będę przepraszał! – zaperzył się. To mu powiedziałem, że jak nie przeprosi, nie będzie w tej drużynie grał. – A dlaczego mam nie grać? – Bo rozbijasz zespół. Szanuj kolegów! Po kilku dniach przyszedł i przeprosił. Dobrze wyszło.

Przyszlifowaliście gwiazdora.

– To były dawne czasy. W tej chwili nie wiem, czy ktoś by się odważył na takie rozwiązanie.

Bo się straci gwiazdę? To takie ważne?

– Opowiem panu, jak jechaliśmy na igrzyska do Monachium. W pewnym okresie w pierwszej linii mieliśmy bardzo dobrych graczy. Ale piłka ręczna to jest też druga linia, rozegranie, rzut z tyłu. To podstawa. A tu mieliśmy tylko jednego na reprezentacyjnym poziomie. I pech: lekarz sportowy nie pozwolił mu grać! Powiedział, że ma wadę serca, i nie puścili go na igrzyska. Chciałem więc wziąć Klempela, wtedy osiemnastolatka, ale miał warunki, umiał rzucić i był skuteczny. Wcześniej jednak, na zgrupowaniu juniorów, trener, który go prowadził, wyrzucił go z obozu. No to jak mogłem się wychylić w takiej sytuacji i brać go do kadry na igrzyska olimpijskie? I przegrałem sprawę. Bo na olimpiadzie brakowało nam dosłownie ułamków. Zremisowaliśmy ze Szwecją, z Duńczykami wygraliśmy, a Rosjanie nas walnęli. I nie weszliśmy dalej. Czesi, z którymi wtedy wygrywaliśmy, wywalczyli wicemistrzostwo olimpijskie.

Do dziś pan to pamięta.

– Bo zabrakło jednego elementu. Ale to też była nauczka. Całej drużynie mówiłem: nie poddajemy się, odegramy się! Potem, w Montrealu, chłopcy wywalczyli medal. Nie można się poddawać.

Jest w sporcie możliwość, by ze średnio utalentowanego zrobić gwiazdora?

– Dobrego zawodnika – tak, ale nie gwiazdę. W piłce, w grach zespołowych, kluczowe są wartości. To jest motoryka, czyli sprawność fizyczna, i to jest technika, czyli opanowanie piłki. Żeby nie przeszkadzała, żeby zawodnik wykonywał techniczne elementy, kiedy biegnie, kiedy drybluje. Do tego potrzebny jest trzeci czynnik – motywacja. Trzeba po prostu chcieć trenować. Jeżeli są te trzy czynniki, można być już dobrym zawodnikiem, nawet w skali reprezentacyjnej. W zależności od tego, jaki potencjał się ma. Potem są jeszcze dwa czynniki: inteligencja emocjonalna i ryzyko.

Inteligencja emocjonalna?

– To cecha, którą ma niewielu. Najlepszy przykład – Deyna. Ci, którzy go znali, wiedzieli, jaki jest. Ale na boisku wiedział wszystko. Jak podać, na jakiej wysokości, komu, kiedy. Albo się to ma, albo nie. A jeżeli się ma tę inteligencję, taką specjalną, boiskową, można podejmować różne decyzje, nawet najbardziej ryzykowne. Bo dziś, przy bardzo wyrównanym poziomie, decydują nietypowe zagrania. Zaskakujące. Mówią, że to szczęście, że się udało. No, ale ktoś musiał na to się zdecydować. Wtedy to są wielcy gracze typu Messi.

> Grając, obserwowałem, jak grają ci drudzy. Bo to były nowe rzeczy..

A wielcy trenerzy?

– Wyobraźmy sobie, że mamy w piłce ręcznej siedmiu bardzo dobrych zawodników. Ale jeśli nie ma więzi między nimi, nic z tego nie będzie. Trzeba jakoś ich podobierać. Bo między ludźmi są różne sytuacje. Nie podam mu piłki! Dlaczego? On może nawet tego nie wiedzieć. Może mu akurat kiedyś podawał, a ten nie wykorzystał? Może się nie lubią? Różne są przyczyny. Genialny pod tym względem był Kaziu Górski. Korzystał z Gmocha i Strejlaua. Słuchał ich dyskusji, a potem decydował: weź tamtego. I wygrał! Ktoś powie, że miał szczęście. No to się zastanówmy, skąd się to szczęście zrodziło. Z czego?

Jak w tamtych czasach, w Polsce Ludowej, prowadziło się zespół jako trener? Miał pan łatwiej czy trudniej niż teraz?

– Była bieda, wszystkiego brakowało. Człowiek z tym się godził, bo wszystkim brakowało. I to jakoś funkcjonowało. Poza tym – wyjazdy. Każdy wyjazd za granicę był jakąś szansą. Wszyscy handlowali, kombinowali jak mogli. Taka prawda. Ale to była zachęta: jak ktoś wyjechał, zarobił nawet trochę, to już czuł się dobry.

A jak pan zaczął trenować za granicą?

– Wygrywaliśmy jako reprezentacja. Zaczęli więc mnie zapraszać. Dostawałem wiele propozycji. Na przykład z Barcelony. To klub piłkarski, ale mają sekcję koszykarską i piłki ręcznej. Prezes mnie poprosił, proponowali świetne warunki.

Jakie to były pieniądze w Polsce Ludowej?

– Niewyobrażalne! Przy czym to był rok 1982, stan wojenny. W tym czasie byłem rektorem w Gdańsku. Ale pojechałem do prezesa GKKFiS (Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu – przyp. red.) Mariana Renkego, choć wiedziałem, że mnie i tak nie puści. Bo kadencja rektora. A ponieważ miałem z nim dobre relacje z czasów igrzysk, powiedział: panie Januszu, obiecuję, skończy pan kadencję, pojedzie pan, gdzie pan będzie chciał. Dostanie pan zgodę. Ale teraz nie ma mowy. Temat upadł. Gdy jednak skończyłem kadencję, rzeczywiście dostałem zgodę i pojechałem do Grecji.

Uczyć Greków piłki ręcznej.

– I to od podstaw! Ale też, żeby zarobić. Zaczynałem dosłownie od zera. Do tej pory moją pracę pamiętają. Cały czas mówią, że mi zawdzięczają, że doszli do dobrego poziomu, dostali się na mistrzostwa świata. Na igrzyskach w 2004 r. zajęli szóste miejsce. Utrzymujemy bliskie kontakty do dzisiaj.

Dożyłem tych lat i teraz mam satysfakcję, że nie zmarnowałem swojego czasu. Sport nauczył mnie życia. Dzięki życzliwym ludziom, jako zawodnik i trener miałem wiele powodów do zadowolenia. Ale i poznałem smak porażek. Największa radość spotkała mnie później – z pracy na rzecz nauki o sporcie. To wielka wartość, niestety, nie zawsze dostrzegana i doceniana w Polsce.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl f919f027b5

Dlaczego przeciętni Polacy odwracają się od Ukrainy i Ukraińców

Julian Stałgo

Według mnie jedną z głównych przyczyn zmiany nastawienia polskiego społeczeństwa do Ukraińców – z pozytywnego na negatywny – była i jest zbyt nachalna i zbyt bezwzględnie proukraińska, a jednocześnie antyrosyjska propaganda, uprawiana przez wszystkie polskie rządy i wszystkie media od początku wybuchu konfliktu na Ukrainie. Ludzie rządzący Polską od upadku socjalizmu – mam tu na myśli przywódców wszystkich partii politycznych, z wyjątkiem Konfederacji – po prostu przesadzają z gloryfikowaniem Ukrainy i diabolizowaniem Rosji i Rosjan.

To, co obecnie dzieje się w Polsce, jest pokłosiem zwykłego „przedobrzenia" rządzących naszym krajem w dziedzinie propagandy.

Polska machina propagandowa zapomniała, że aby propaganda była skuteczna, musi być w niej zachowany pewien umiar i rozsądek. Dlaczego? Bo wbrew pozorom nawet przeciętny człowiek potrafi wyczuć, czy informacje do niego wysyłane są prawdziwe, czy przekolorowane. Jeśli przekaz propagandowy jest nasączony wręcz absurdalnymi argumentami, ludzie powoli – to dzieje się nie w ciągu tygodnia, ale raczej miesięcy czy nawet lat – zaczynają ten przekaz podświadomie odrzucać.

Uważam, że propaganda w Polsce przekroczyła granicę zdrowego rozsądku w demonizowaniu Rosji i gloryfikowaniu Ukrainy. Jeden z przykładów to wmawianie nam, że Rosja tylko czeka, żeby nas zaatakować, bez podawania jakiegokolwiek powodu, dla którego miałaby to zrobić.

Wszystkie wojny mają powody ekonomiczne, etniczne, terytorialne bądź ideologiczne lub wywołane zostają mieszanką wszystkich tych powodów. Wojna na Ukrainie spowodowana została konfliktem etniczno-terytorialnym o głębszym podłożu ekonomicznym – to wielkie pokłady metali ziem rzadkich. Nawet dla średnio rozgarniętego Polaka oczywiste jest, że Rosja nie ma i nie może mieć do naszego kraju żadnych pretensji etnicznych, terytorialnych czy ekonomicznych. Dlaczego więc miałaby nas zaatakować?

Od początku konfliktu na Ukrainie czytamy i słyszymy w polskich mediach o tym, że Rosja na froncie ponosi wielkie straty osobowe. Gdyby pododawać te wszystkie liczby obrazujące frontowe straty Rosjan, pewnie zabrakłoby już w Rosji mężczyzn. Ciągle słyszymy też, że Rosja jest na skraju zapaści ekonomicznej i nie przetrwa nawet jednego roku. Minęły cztery lata wojny, a Rosja wciąż jest rok od zapaści ekonomicznej. Od czterech lat czytamy i słyszymy, że Rosji brakuje sprzętu, rakiet, dronów i amunicji do dalszego prowadzenia wojny. Gdyby zaś wziąć na poważnie wszystkie informacje w polskich mediach o chorobach – głównie nowotworach złośliwych – z którymi od czterech lat walczy Putin, prezydent Rosji powinien nie żyć co najmniej od trzech lat.

Polacy nie są winni temu, że czują ostatnio mniej sympatii do Ukrainy. Winna jest polityka propagandowa wszystkich polskich rządów, jak i kompletnie uległych polityce rządowej mediów, wymuszająca na Polakach przeświadczenie, że my też jesteśmy w stanie wojny z Rosją i tylko wspaniali Ukraińcy walczą na froncie w naszej obronie. ■

NAGRODA SAMORZĄDOWA im. NORBERTA BARLICKIEGO

Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska informuje, że uruchomiona została edycja Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego w 2026 r.

Nagroda jest przyznawana osobom fizycznym i prawnym związanym z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Osoby fizyczne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Samorząd miejski.
- Samorząd powiatowy.
- Samorząd województwa.
- Całokształt działań na rzecz samorządu terytorialnego.

Osoby prawne mogą otrzymać nagrodę w kategoriach:
- Jednostka samorządu terytorialnego.
- Organizacja pozarządowa.
- Firma przyjazna samorządowi terytorialnemu.

Zgłoszenia kandydatur do pierwszego etapu selekcji laureatów nagrody można składać w terminie do 30 września 2026 r. pocztą na adres: **Zarząd Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska, ul. Czackiego 7/9, II piętro, 00-043 Warszawa** lub elektronicznie na adres: **zarzad@stowarzyszeniero.pl.** Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego w poszczególnych kategoriach zostanie przyznana przez kapitułę pod przewodnictwem prezydenta **Aleksandra Kwaśniewskiego**. Uroczystość wręczenia nagród odbędzie się w listopadzie 2026 r.

Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska

Jan K. Czubak, sekretarz Zarządu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

eprasa.pl f919f027b5



Pasaż Italia na Nowym Świecie w Warszawie.

ŚWIAT W GRAFFITI

Granice wolności w przestrzeni miejskiej

Maciej Belowski

Sztuka uliczna potrafi zachwycać, szokować, irytować i oburzać. Spacerując po większych miastach, takich jak Warszawa, Poznań czy Kraków, trudno jej nie zauważyć – stała się nieodłącznym elementem miejskiego krajobrazu, barwnym tłem codzienności. Na elewacjach budynków, wagonach kolejowych, mostach, ławkach, śmietnikach, a nawet na znakach drogowych powstają coraz nowsze dzieła. Granica między ekspresją artystyczną a wandalizmem pozostaje jednak płynna i trudna do jednoznacznego zdefiniowania.

Ściany budynków stały się tablicą ogłoszeń dla różnych grup społecznych i ideologii. Kibice zaznaczają swoje strefy wpływów na blokowiskach symbolami klubów piłkarskich. Te same ulice stają się polem starć światopoglądowych: obok takich haseł jak „Wolny Tybet" czy „Wolna Palestyna" pojawiają się symbole agresywne i rasistowskie. Mury niosą również postulaty społeczne, od lewicowych: „Mieszkanie prawem nie towarem" i haseł Młodych OZZiP (Ogólnopolski Związek Zawodowy Inicjatywa Pracownicza): „Dość wyzysku młodych", po uznawane za patriotyczne symbole Polski Walczącej czy religijne: „Kocham Jezusa". Obok manifestów politycznych odnajdziemy wyznania miłości, odniesienia do bajek, ale też rysunki wulgarne i wyzwania rzucane systemowi. Jedni widzą w tym anarchię i bunt, drudzy naturalną potrzebę ludzkiej ekspresji.

– Graffiti jest fajne. To takie wyrażanie siebie i sztuka, ale uważam, że to zależy od miejsca – twierdzi Julia, studentka mieszkająca w Warszawie. – W barach wygląda to ciekawie, np. na Nowym Świecie, w Pasażu Italia, czyli m.in. na zewnętrznych ścianach pubu In Side daje to inny klimat. Ale na budynkach zabytkowych jest niepotrzebne. Wspieram rozwijanie kreatywności, ale ważne, żeby to było w odpowiednich miejscach.

Oswajanie czy utrata przestrzeni?

Dlaczego mieszkańcy miast czują potrzebę sięgania po spray lub marker? Zdaniem socjologów i badaczy architektury miejskiej zjawisko to nasila się w miejscach, które tracą ludzki wymiar. Sklonowane blokowiska i anonimowe przestrzenie wywołują w ludziach poczucie wyobcowania.

– Przestrzeń miasta jest terytorium, w którym żyjemy. To nasz obszar – tłumaczy prof. Maria Mendel, pedagożka społeczna, badaczka przestrzeni podmiotowego sprawstwa i demokratycznej wspólności z Uniwersytetu Gdańskiego. – W momencie, w którym jako mieszkańcy czujemy, że ją tracimy, nasilają się tendencje do jej oswajania. Mimo oporów i trudności chcemy zaznaczać, że jest nasza. I właśnie wtedy pojawia się graffiti. Dzisiaj jest ono witane jako bardzo ważny element swojskiej przestrzeni. Im bardziej przestrzeń nie jest nasza, tym intensywniej pojawiają się graffiti i tagi (podpisy grafficiarzy). Anonimowa przestrzeń, w której wszystko jest podobne, to obszar, gdzie człowiek czuje się źle i potrzebuje otagowania: „Jestem stąd, to jest moje miejsce".

eprasa.pl f919f027b5

Ekspertka podkreśla jednak, że medal ma dwie strony. Masa niekontrolowanych bazgrołów może być sygnałem ostrzegawczym dla urbanistów. – Sytuacja, gdy widzimy nasilanie się tagowania miasta i czynienie go coraz brzydszym przez bazgroły, oznacza, że coś z tym miastem dzieje się złego – dodaje prof. Maria Mendel. – Ono po prostu umyka ludziom, przestaje być ludzkie. Badacze analizujący to zjawisko mówią wręcz o wywłaszczaniu mieszkańców z ich przestrzeni.

Między sztuką a barbarzyństwem

– Granica wiąże się z zasadami współżycia społecznego. Niepisana zasada udanego co-vivendi (sposobu zgodnego współżycia – przyp. red.) polega na tym, że trzeba funkcjonować tak, żeby nam z innymi i innym z nami żyło się dobrze. Granicę wytycza formuła przeszkadzania. Jak dla akustyków hałasem jest dźwięk, który przeszkadza, tak w miejskiej przestrzeni jeżeli tag, mural czy inna postać graffiti przeszkadza, boli kogoś, a już zupełnie, jeśli krzywdzi z uwagi na uczucia religijne czy inne – należy takie praktyki powstrzymywać – podkreśla prof. Maria Mendel.

Na świecie symbolem buntu artystycznego i graffiti rozumianego szeroko i przekutego w światowy sukces stał się Banksy. W Polsce uznaniem cieszą się twórcy tacy jak Noriaki i Kawu z Poznania oraz Dariusz Paczkowski – artysta z grupy 3Fala.art, działacz społeczny, tworzący murale społeczne, historyczne i edukacyjne od 1987 r.

– Przestrzeń wspólna jest bardzo egalitarną galerią sztuki. Jest dla wszystkich – przekonuje Dariusz Paczkowski. – Dlatego robię rzeczy zaangażowane społecznie z udziałem ludzi. Zapraszam mieszkańców, przechodniów, przedstawicieli organizacji pozarządowych do współtworzenia, bo to jest dużo fajniejsze, kiedy ludzie mogą tworzyć, a nie tylko konsumować. Przestrzeń publiczna nie potrzebuje kuratorów, którzy mówią, co jest warte pokazania, a co nie. Paczkowski nie unika jednak trudnych pytań o wandalizm i poszukiwanie taniej adrenaliny. – Dla mnie część tych rzeczy to jest tylko adrenalina i tam w ogóle nie ma sztuki, tylko czysty wandalizm – przyznaje. – Ale zamiast zwalczać ciemność, staram się wpuszczać światło. Jako grupa 3Fala spisaliśmy kodeks: nie niszczymy zabytków, obiektów sakralnych, nowych elewacji. Prowadzę warsztaty z dziećmi, młodzieżą i seniorami i zawsze tłumaczę, jak to robić mądrzej i z głową, zamiast tylko zakazywać. Wolę edukować.

Przykładem skomplikowanych relacji między sztuką uliczną, mieszkańcami a urzędnikami jest sytuacja na warszawskim Osiedlu Przyjaźń. Na prośbę mieszkańców Paczkowski namalował na drzwiach zaniedbanych garaży portrety wybitnych naukowców. Akcja spotkała się z entuzjazmem lokalnej społeczności, a miejsce zaczęły odwiedzać wycieczki. Wkrótce jednak sprawą zajęła się policja na wniosek Zarządu Mienia Skarbu Państwa.

– Zarząd Mienia Skarbu Państwa przez 40 lat nie interesował się garażami, a nagle przeszkadza im powstała tam galeria – opowiada Paczkowski. – Mieszkańcy obawiają się, że te działania urzędników i groźby eksmisji to celowa próba zastraszenia społeczności, by doprowadzić do zaniedbania osiedla i ostatecznego wyburzenia unikatowych domków pod inwestycje deweloperskie. Tymczasem Stołeczny Konserwator Zabytków uznał, że te murale to przejaw street artu i należy je zalegalizować, a ochronę prawną w ramach programu „Wolność Słowa" zaoferowała mi Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Mieszkańcy stoją w obronie tych prac. To pokazuje przykład sztuki zaangażowanej, która powstała w porozumieniu z ludźmi i służy ich integracji – mówi Paczkowski.

Artyści zwracają również uwagę na hipokryzję systemową. W ścisłym centrum Warszawy, np. przy skrzyżowaniu Al. Jana Pawła II i Al. Solidarności komercyjne reklamy niszczą historyczną architekturę.



Graffiti na Pradze.

– Kiedy miasto zgadza się, żeby na zabytkowych elewacjach malowano wielkie reklamy, bo firmy mają na to kasę, jest to kiepska edukacja dla młodych – zauważa Paczkowski. – Młodzież widzi, że za pieniądze można pomalować wszystko. Buntują się i pokazują, że choć nie mają kasy, też będą malować, po czym chcą.

Alternatywą staje się współdziałanie instytucjonalne. I tak artyści we współpracy z firmą Stoen legalnie pokrywają malowidłami stacje transformatorowe na Woli i Muranowie.

eprasa.pl f919f027b5



Ulica Złota 1 w Warszawie.

Tam, gdzie pojawia się przemyślany mural, problem nielegalnych bazgrołów znika.

Koszty wandalizmu

Niestety, nie każdy akt malowania sprayem nosi znamiona dialogu czy sztuki. Granica zostaje drastycznie przekroczona, gdy obiektem ataku staje się unikatowa przyroda lub obiekty o najwyższej wartości historycznej.

Głośnym echem w kraju odbił się akt wandalizmu z końca lipca 2026 r. na terenie geologicznego pomnika przyrody – Jaskini „Bajka" w Gądeczu koło Bydgoszczy. Ściany z delikatnego piaskowca zostały pokryte jaskrawą farbą w sprayu. Zdarzenie to zbulwersowało lokalną społeczność oraz ekologów. Jaskinia jest chroniona w ramach obszaru Natura 2000. Czyszczenie tak kruchej struktury skalnej przy użyciu środków chemicznych czy metod mechanicznych grozi bezpowrotnym uszkodzeniem pomnika przyrody. Sprawą zajęły się organy ścigania, a sprawcom grożą surowe kary.

Równie trudna sytuacja jest w stolicy, np. przy ulicy Złotej 1. Zarządcy zabytkowych kamienic bezskutecznie apelują do sprawców wandalizmu, wywieszając tabliczki z prośbą: „Uprzejmie prosimy o niemalowanie zabytkowej elewacji" oraz informując o monitoringu. Tabliczki są ignorowane, a na świeżo odnowionych ścianach co noc pojawiają się nowe „malowidła".

Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków w Warszawie określa rozmiary zjawiska jako niepokojące. „Skala problemu pseudograffiti w Warszawie jest poważna. Bazgroły malowane są zarówno na budynkach opuszczonych, jak i na świeżo odnawianych, często zabytkowych – odpowiadają jego pracownicy na pytania o zniszczenia na miejskiej elewacji. – Takie działanie jest nie tylko wyrazem wyjątkowej arogancji sprawców, ale przede wszystkim rodzi poważne skutki finansowe, wyrządzając wysokie szkody materialne właścicielom nieruchomości, często zabytkowych – koszty naprawy elewacji mogą sięgać setek tysięcy złotych. Efektem wandalizmu są też oszpecanie przestrzeni publicznej i istotne straty wizerunkowe dla m.st. Warszawy".

Jak radzi sobie stolica?

Jak podaje Biuro Stołecznego Konserwatora Zabytków, od 2025 r. prowadzony jest całoroczny program dotacyjny, dzięki któremu właściciele oszpeconych obiektów mogą składać wnioski o dofinansowanie lub refundację kosztów usuwania graffiti. Warunkiem jest przygotowanie programu prac konserwatorskich. W urzędach dzielnic Śródmieście i Praga-Północ przeprowadzono szkolenia dla administratorów nieruchomości, a dla 33 kamienic przy ul. Chmielnej miasto opracowało darmowe programy prac. Równolegle do wszystkich szkół podstawowych i średnich wysłano scenariusze lekcji uczących zachowań prospołecznych.

Na stronach Zarządu Dróg Miejskich dostępna jest wprawdzie mapa miejsc przeznaczonych do legalnego malowania, jednak konserwatorzy zwracają uwagę, że tworzenie takich stref nie odciąga sprawców od obiektów historycznych. „Nanoszenie bazgrołów i tagów w miejscach do tego nieprzeznaczonych – czyli np. na elewacjach domów – nie tylko jest nagminne, ale specjalnie wybierane przez wandali", podkreśla BSKZ.

Największą bolączką instytucji pozostaje bezradność wymiaru sprawiedliwości oraz brak skuteczności w wyciąganiu konsekwencji od wandali. „Na bieżąco zgłaszamy akty wandalizmu na policję (już ponad 20), którą prosimy o podjęcie kroków zmierzających do zatrzymania i ukarania osób, które malując graffiti, zniszczyły zabytki. Niestety, nasze wnioski są umarzane ze względu na »niską szkodliwość czynu« lub niewykrycie sprawcy – przyznają przedstawiciele biura. – Dlatego też szczególnie dotkliwa w tej sprawie pozostaje niedostateczna konsekwencja wykazywana w stosunku do sprawców przez organy ścigania i sądy".

Walka z nielegalnym graffiti wyłącznie za pomocą zakazów, kamer i tabliczek przypomina walkę z wiatrakami. Wyjściem wydaje się przemyślana edukacja, tworzenie czytelnych granic społecznych oraz oddawanie przestrzeni miejskiej w ręce artystów i mieszkańców – tak, aby miasto stawało się domem dla nas wszystkich, a nie tylko bezdusznym tłem przysłoniętym przez agresywne reklamy i nieczytelne bazgroły.

Maciej Belowski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3)

eprasa.pl f919f027b5

WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Marcin Masecki & Boleros



Wirtuozowskie łączenie gatunków oraz łamanie granic między sztuką wysoką a rozrywkową to znak rozpoznawczy Marcina Maseckiego. Jeden z najbardziej oryginalnych i wszechstronnych artystów polskiej sceny – pianista, improwizator, kompozytor, aranżer, dyrygent – zaprezentuje najnowszy autorski album, inspirowany muzyką latynoamerykańską. To dalszy ciąg podróży Maseckiego po muzyce Ameryki Łacińskiej, z którym to obszarem związany jest od dzieciństwa – pierwsze siedem lat życia spędził w Kolumbii, jego żona zaś pochodzi z Buenos Aires, tam też poznali się jego dziadkowie w czasie II wojny. W 2023 r. wydał płytę „Boleros y mas", a w 2025 „Boleros y Masecki". Ten projekt nie tylko stanowi hołd dla klasycznych boler, jest także osobistą reinterpretacją gatunków z Ameryki Południowej, spotkaniem jazzu, klasyki, latynoskiej ekspresji i słowiańskiej wrażliwości. Zapowiada się coś wyjątkowego! *(ap)*

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.
Warszawa, Rynek Starego Miasta, 22 sierpnia, godz. 19

KURTYNA W GÓRĘ



Jakub Snochowski, „Złotowłosy", Teatr Druga Strefa, premiera 6 czerwca 2026, spektakl 25 lipca 2026

Zło to włosy

Tak początkowo miał być zatytułowany ten spektakl, ale z czasem tytuł się scalił i powstał „Złotowłosy", od koloru włosów, właściwie od rudości, która naznaczyła młodość bohatera. W „Złotowłosym" Jakub Snochowski nawiązuje do dziecięcych przeżyć, kiedy Kuba, wychodząc z domu, stawał się Rudym, bo tak na niego wołali koledzy z podstawówki. Przezwisko wzgardliwe, poniżające, wiążące chłopaka z judaszowym dziedzictwem. I to o gen nienawiści tu chodzi, który, zawładnąwszy człowiekiem, może go powalić. O tym opowiada ten spektakl, choć przekracza dalece wątki biograficznie, metaforyzując doświadczenia chłopca, wiążąc je z motywami biblijnymi (Judasz), Bobem Dylanem i Czarną Dziurą, która wyrywa chłopaka z objęć rudości. Jest też starcie z agresywnym sąsiadem, wrogo reagującym na flagę, którą Złotowłosy wywiesza na swoim domu, jest bajka o złotowłosej księżniczce, królu i biedaku, przypowieść o zwycięstwie dobra nad złem.

Obok warstwy muzycznej ważną rolę odgrywają w spektaklu mowa ciała, ruch, opracowanie choreograficzne od początku wspierające monolog aktora i przykuwające uwagę widza. Świadomość ciała wydaje się dla artysty niezbywalnym elementem jego warsztatu. To nie tylko ruch, ale także wyrazista mimika, niekiedy przekraczająca próg parodii.

Snochowski znalazł idealnego sojusznika w Sylwestrze Biradze, który jako kreator światła zadbał o ascetyczny kształt spektaklu, całą uwagę skupiając na aktorze (i Michale Górczyńskim, klarneciście wirtuozie). Pusta scena Przestrzeni 71, nowej sceny Teatru Druga Strefa, przy ulicy Modzelewskiego 71, także stała się sprzymierzeńcem – wypatroszona wydaje się przestrzenią wielką, choć tak naprawdę to skrawek podłogi.

Oprócz tego są napisy – wyimki z tekstu Snochowskiego akcentujące ważne dla niego stwierdzenia. Pojawia się tłumaczenie na polski czeskiego wykładu, który szybko staje wykładem wygłaszanym po polsku, ale z czeskim tłumaczeniem – to najwyraźniej ukłon wobec pochodzenia aktora, który jest pół-Czechem, pół-Polakiem.

Z połączenia tych różnych elementów formalnych (należą do nich również bezpośrednie zwroty do publiczności) i wątków opowieści powstało przedstawienie o nienawiści, jej niszczącej sile i o miłości jako antidotum, zdolnej ocalić przed genem zatruwającym od wieków ludzkość.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jon Fosse
Vaim
tłum. Iwona Zimnicka
ArtRage, Warszawa, 2026



Pierwsza powieść Jona Fossego po otrzymaniu Literackiej Nagrody Nobla. Znów ten niepodrabialny styl; atmosfera i narracja znana z „Septologii" Norwega. Samotny Jatgeir wypływa z małej miejscowości Vaim do miasta Bjørgvin. Płynie na swojej drewnianej łodzi Eline, nazwanej tak na cześć niespełnionej młodzieńczej miłości. Zamierza kupić igłę i nici, ale na miejscu zostaje oszukany. W toku wydarzeń spotyka jednak Eline. Sceny rozgrywają się w mroku, gdy dzień miesza się z nocą. Słychać tajemnicze pukanie do drzwi, rozmowy o duchach, przemijaniu i czasie. Króciutka, ale wciągająca powieść, typowy Fosse.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. TEATR DRUGA STREFA, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl f919f027b5

Hamlet spogląda **Dulskiej** przez ramię

TEATR, KTÓRY ZDZIERA MASKI

Tomasz Miłkowski



„Hamlet", reż. Jan Englert.

Tematem dominującym w polskim teatrze jest demaskacja, docieranie do jądra sprawy i prawdziwego oblicza bohaterów strojących się cudze piórka. Tak jest w dramatach klasycznych na nowo interpretowanych, ale i najnowszych, jak choćby w „Pacyfistach" Marka Modzelewskiego w reżyserii Jacka Braciaka (Teatr Współczesny), „Eksie" Mariusa von Mayenburga w reżyserii Artura Tyszkiewicza (Teatr Ateneum) czy „Żarze" Sándora Máraiego w reżyserii Jana Englerta (Teatr Polonia). Wszędzie chodzi o to samo: o prawdę, czyli przywrócenie równowagi w przyrodzie społecznej.

Duński książę w roli głównej

W tym sezonie rządził Hamlet. Nie tylko na Międzynarodowym Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku, gdzie pojawiło się aż siedem różnych jego wersji z Polski i zagranicy, ale także na scenach polskich. Aż trzy – z Teatru Śląskiego w reżyserii Roberta Talarczyka grany po śląsku, z Teatru Zagłębia w Sosnowcu w reżyserii Jacka Jabrzyka i z Teatru Powszechnego w Warszawie w reżyserii Kamila Białaszka – rywalizowały o palmę pierwszeństwa na wspomnianym festiwalu. Ostatecznie jury Złotym Yorickiem wyróżniło „Hamleta" z Sosnowca.

Białaszek za pomocą „Hamleta" demaskuje pokolenie Z.

Ale przecież były jeszcze inne „Hamlety", a nawet para-„Hamlety": „Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET" Pawła Demirskiego z Narodowego Starego Teatru w Krakowie czy też „Hej, Hamlet" w reżyserii Anieli Płudowskiej ze Szczecina. Festiwal gdański poprzedził też prolog z głośnym „Hamletem" Jana Englerta, żegnającym się tym spektaklem z dyrekcją Teatru Narodowego, z budzącym wielkie nadzieje debiutem Hugona Tarresa w roli tytułowej – w tym sezonie także głównym bohaterem spektaklu Kamila Białaszka „Niewyczerpany żart".

Adaptacja powieści Davida Fostera Wallace'a pełnymi garściami czerpie z szekspirowskich inspiracji: młody Incandenza Tarresa wygląda na współczesne wcielenie Hamleta, chłopaka bez wielkich ambicji, wygodnickiego, z dobrej rodziny, ale odczuwającego pewną niewygodę swojego położenia. Przypomina wyraźnie bezwolnego Hamleta Antka Sztaby ze spektaklu Białaszka w Teatrze Powszechnym. Sztaba gra tego Hamleta słabeusza z talentem, maskując chwilowym ożywieniem jego niemrawość i obojętność. Białaszek dokonał tu niezłej wolty, wyciągając z „Hamleta" wątek karlejącego dziedziczenia, które prowadzi do katastrofy. To opowieść o autodestrukcji.

Na tle pozbawionego energii dworu wyróżniają się postacie kobiece, Gertruda i Ofelia. Zwłaszcza królowa Gertruda (Anna Ilczuk), która okazuje się jedyną bohaterką panującą nad swoim losem i trzymająca władzę nad tym rozchwierutanym światem. To ona w brawurowym monologu wyrzuca Hamletowi wygodnictwo. Młodzi mężczyźni w tym świecie są do niczego. Białaszek za pomocą „Hamleta" demaskuje pokolenie Z.

Rzecz ciekawa, ale Kamil Mrożek jako Zbyszko Dulski z „Moralności pani Dulskiej" wydaje się zainfekowany wygodnickim Hamletem. Także i on, po pozornym buncie, ustaje w swoich demonstracjach i wraca potulnie na rodziny łono. Zapolska i Szekspir, a cóż to za dziwaczne połączenie? A jednak! W repertuarze Teatru Narodowego

eprasa.pl f919f027b5

„Hamlet" sąsiaduje z „Moralnością pani Dulskiej", najnowszą premierą w reżyserii Anny Augustynowicz.

Zapolska odzyskuje wigor

Przed 80 laty, tuż po wojnie, zaniepokojony Kazimierz Wyka, krytyk i badacz literatury pytał: „Renesans Zapolskiej czy omdlenie teatru?" („Twórczość" nr 3, 1945/1946). Wyka zareagował na masowy powrót do Zapolskiej, traktując to zjawisko jako objaw słabości teatru niezdolnego do interpretacji świata i jego nowych wyzwań.

Zapolska przetrwała ten krytyczny zagon i coraz częściej wraca na pierwszy plan. W tym sezonie pojawiło się aż pięć premier jej dramatów w teatrach żywego planu (w tym dwie w teatrach offowych) i premiera w Teatrze Telewizji, nie licząc spektakli dogrywanych. W Teatrze Narodowym – wspomniana „Moralność pani Dulskiej", w lubelskim Teatrze im. Juliusza Osterwy pod koniec sezonu żegnano „Ich czworo" po pięciu latach obecności w repertuarze, a w warszawskim Teatrze Komedia premierę tej „komedii ludzi głupich" (jak pisała Zapolska) przygotował Marek Kalita. W Słupsku na afiszu pojawił się spektakl o Zapolskiej „Zapolska Superstar", w paru teatrach grano też i wystawiano „Żabusię".

Tak więc Szekspir i Zapolska podali sobie ręce jako koryfeusze repertuaru. Co więcej, Zapolska doczekała się specjalnego wydania miesięcznika „Raptularz" – w całości poświęconego jej obecności w teatrze.

Jak widać, Gabriela Zapolska odzyskała wigor, a dwie – odmienne, choć warsztatowo znakomite – realizacje „Moralności pani Dulskiej" w Teatrze Telewizji (w reżyserii Agnieszki Glińskiej i Franciszka Przybylskiego ze specjalnie skomponowanymi kupletami) i w Teatrze Narodowym potwierdzają jej autentyczny renesans.

Dowiodła tego szczególnie premiera „Moralności" Anny Augustynowicz na Scenie przy Wierzbowej Teatru Narodowego. Reżyserka ma wyraźny charakter pisma: to dominacja czarno-białej kolorystyki w scenografii, szukanie sensów pod tekstem, potężne skróty, aby dojść do istoty przekazu, zastępowanie gadulstwa metaforą, upodobanie do mroku i wilgoci – często pada u niej deszcz, czasem grzmi, wieje, przelatuje ptactwo – nie wiadomo skąd nagle wychynie jakaś tajemnica. To teatr poetycki, który opowiada o życiu, o relacjach, o ludziach pełnych emocji poddawanym niełatwym próbom.

Tak też jest w salonie państwa Dulskich. Na początku panuje w nim bezruch. Bohaterki i bohaterowie siedzą jak zaklęci na swoich siedziskach: na fotelach, krzesłach, szezlongach, na schodach. Albo kryją się za cienkimi ściankami z przezroczystej czarnej materii, na której wyświetlane są ogromne krople deszczu. Gdzieś z tyłu majaczy postać Felicjana Dulskiego, za przepierzeniem tkwi lokatorka (ta, co się truła), z przodu sceny, po lewej stronie króluje Juliasiewiczowa, a po prawej tkwi rozwalony i wściekły Zbyszko. W centrum, ale za przepierzeniem, na podwyższeniu, siedzi Dulska za stołem, u jej stóp córki. Wszyscy nieruchomi, jak zaczarowani. „Wesele" na opak, od końca?

Robi się jeszcze dziwniej, gdy popłynie tekst – wypowiadany w bezruchu jazgot Dulskiej uruchamiającej poranny rytm rodzinnej machiny. Dulska krzyczy, ale nikt się nie rusza, jakby ze wszystkich uszło powietrze. Ale to tylko pozór, ekspozycja – prezentacja marionetek Gabrieli Zapolskiej w teatrze Anny Augustynowicz. Zatrzymany mechanizm zacznie się powoli, najpierw z zacięciami, a potem coraz płynniej poruszać.

Na początek zaskoczy jeszcze Lokatorka (Anna Grycewicz). Przywykliśmy ją oglądać jako kobietę znękaną, na proszalnym chlebie. Tymczasem w tym spektaklu jest wysłanniczką z krainy modernizmu, krewniaczką Racheli. Porusza się ostentacyjnie, bokiem, eksponując swoją kibić. Samobójstwo lekceważy i nie tyle prosi Dulską o wyrozumiałość, ile czyni jej wyrzuty. To zapowiedź nowych porządków, kiedy wysprząta się saloniki Dulskich.



„Termopile polskie", reż. Jan Klata.

Zapolska na pierwszy rzut oka nie pasuje do teatru Anny Augustynowicz – z jej skłonnością do naturalistycznej dosłowności, hałaśliwością, nadmiarem słów i upodobaniem do obyczajowego detalu. Może dlatego spotkanie tych odległych poetyk – nadmiaru i powściągliwości – dało tak świetne rezultaty, wyostrzając rysunek konfliktów, które trzęsą „kryjówką" – jak sugeruje Augustynowicz – a może „pułapką" spokojnego domu.

„U mnie dom spokojny", powiada Dulska pod koniec sztuki. Dulska Małgorzaty Kożuchowskiej rozkręca się powoli, ale wyłazi z niej domowy potwór, tyran trzymający władzę w garści. Niezdolna do kompromisu, chyba że pod presją, kiedy na dom może spaść niebywały skandal. Ale kiedy niebezpieczeństwo minie, wraca bez szwanku do siebie.

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN, KAROLINA JÓZWIAK

eprasa.pl f919f027b5

Niejednoznaczny rysunek próbuje nadać Juliasiewiczowej Gabriela Muskała. W jej ujęciu krewniaczka Dulskich, choć obdarzona bystrym spojrzeniem i umiejętnością wypatrzenia dla siebie korzyści, potępia zakłamanie rodziny, ale sama jest jego gorliwą wyznawczynią. To ona wymusi na Zbyszku (Kamil Mrożek), buntującym się przeciw regułom domu Dulskich, powrót na łono rodziny i znajdzie sposób na poskromienie apetytów zhańbionej Hanki (Hanna Wojtóściszyn) i jej matki chrzestnej (Beata Fudalej).

W kryjówce Dulskiej krążą jak nerwowe ćmy córki: rwąca się do świata Mela (Michalina Łabacz) i naiwnie sentymentalna Hesia (Paulina Szostak) – dwie strony tego samego medalu, nieodrodne córeczki mamusi. A ponad nimi wszystkimi pełen wyniosłej ironii, zdystansowany sprytny gracz, który zawsze wyjdzie na swoje – Felicjan (Arkadiusz Janiczek) – milczący notariusz hipokryzji.

Niejako w opozycji do tej wyrafinowanej interpretacji „Moralności" staje widowisko telewizyjne – pełne wigoru, zabawne, ze świetnymi przyśpiewkami i porywającą rolą Kingi Preis jako pani Dulskiej. To dowód, że ten sam tekst może prowadzić odmiennymi ścieżkami do moralnego wstrząsu.

Żar obfitości

Alians Szekspira i Zapolskiej nie przesłania obfitości spektakli aktorskich w minionym sezonie, których siłą okazały się dojrzałe kreacje, zasługujących na dłuższą niż sezonowa pamięć. Na ich czele sytuuje się oblegany „Żar" z Polonii, na który niepodobieństwem jest zdobyć bilety. Wszystkie spektakle chodzą przy nadkompletach.

Kamil Mrożek jako Zbyszko Dulski wydaje się zainfekowany wygodnickim Hamletem.

I nie ma się co dziwić. Po pierwsze, tekst. Oczywiście Márai wie, o czym pisze, ale na scenę przysposobił to Christopher Hampton, majster od dramaturgicznej roboty. Prawie pozbył się dialogu. Lwią część tekstu zajmuje sążnisty monolog gospodarza (Jan Englert), czasem tylko przerywany monosylabami gościa (Daniel Olbrychski). Ale ten monolog jest dialogiem. I to jeszcze jakim!

Podkreśla to reżyser (też Jan Englert) znanymi od wieków w teatrze środkami szekspirowskimi, dozując szum wiatru, szmer deszczu, błyskawice i trzaski piorunów. We właściwych momentach.

Po drugie, o sukcesie tego monologu-dialogu decydują aktorzy. Jan Englert umie sugestywnie mówić, a Daniel Olbrychski magnetycznie słuchać. Może to nawet wydawać się zaskakujące dla znających temperament Olbrychskiego, aż rwącego się do pojedynku. Tymczasem w tym spektaklu trzyma nerwy na wodzy. Jedynie przebieranie palcami dowodzi, że nie tylko słucha, ale przejmuje się niebywale wszystkim, co ma do powiedzenia gospodarz.

Monolog toczy się nieprzerwanie, ale do wyjaśnienia zagadki nie dojdzie. Może wcale nie o wyjaśnienie tajemnicy tutaj szło, lecz o pożegnanie z życiem, które minęło, zmieniając na zawsze losy obu przyjaciół. Nie na tyle jednak, aby wypalił się w nich tytułowy żar, płomień, który rozniecił intensywność ich życia.

Takich kameralnych, skupionych na aktorskiej precyzji i słowie spektakli było w tym sezonie wiele. Obok już wymienionych wspomnieć trzeba o: „Zapętlonej" Matthew Lombarda w reżyserii i z rolą tytułową Krystyny Jandy w Teatrze Polonia, „Przebłyskach" w reżyserii Agaty Dudy-Gracz w Teatrze Gudejki z Anną Romantowską i Danielem Olbrychskim, „Chamowie" według Mirona Białoszewskiego w Ateneum w reżyserii Mikołaja Grabowskiego z Łukaszem Lewandowskim w roli poety, „Prowadź swój pług przez kości umarłych" na podstawie książki Olgi Tokarczuk w reżyserii Ewy Platt z Dominiką Kluźniak w roli głównej w Teatrze Narodowym. Ponadto o „Niewidzialnych baśniach" Icchoka Singera w reżyserii Pawła Paszty w Teatrze Żydowskim z Moniką Chrząstowską i Jerzym Walczakiem oraz całej serii monodramów w Teatrze Studio (Dominiki Ostałowskiej, Eweliny Żak, Cezarego Tomaszewskiego), a także spektaklach jednoosobowych: „Złotowłosym" Jakuba Snochowskiego w Teatrze Druga Strefa i „Panu Tadeuszu" Mateusza Nowaka.

Mocne aktorstwo, sceniczny rozmach

Na osobne odnotowanie zasługuje brawurowy debiut Oskara Winiarskiego, który na Scenie w Baraku Teatru Współczesnego dał „Braci Lehman" Stefana Massiniego. Spektakl łączy tradycje teatru plebejskiego z komedią dell'arte, będąc jednocześnie popisem sprawności warsztatowej trzech młodych aktorów: Mateusza Króla, Szymona Roszaka i Przemysława Kowalskiego, którzy dwoją się i troją, aby zagrać braci Lehman i ich następców oraz kilkanaście pobocznych postaci, w tym małoletnie dzieci i ponętne dziewczęta.

Na przeciwnym biegunie sytuują się spektakle imponujące niemal operową wystawą, wybujałą scenografią, z zapierającymi dech efektami. Tak było z inscenizacją „Rękopisu znalezionego w Saragossie. Dziedzictwo Gomelezów" według Jana Potockiego w stołecznym Teatrze Polskim w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Udało mu się połączyć olśniewające widowisko z zastosowaniem nowoczesnych środków wideo i narzędzi charakterystycznych dla dawnego teatru (efekt deus ex machina) z wartką narracją i komentarzem filozoficznym.

W tym samym teatrze zdumiewał „Horacjusz" Pierre'a Corneille'a w przekładzie Jerzego Radziwiłowicza, w reżyserii Andrzeja Seweryna, ze scenografią, kostiumami i światłem Justyny Łagowskiej i muzyką Wacława Zimpla. Prapremiera tej tragedii zaprezentowana została na polskiej scenie 386 lat po prapremierze francuskiej. Reżyser wykorzystał metodę charakterystyczną dla francuskiej szkoły wystawiania klasyki, kładąc akcent na tekst i sposób gry do publiczności (a nie do partnera). Seweryn idzie za tekstem i myślą Corneille'a – nie usiłuje naśladować życia, stroni od naturalizmu, powołuje do istnienia sztuczne i wyraziste środki sceniczne, które życie demaskują.

eprasa.pl f919f027b5

Na zakręcie czasu

Spektakli z rozmachem inscenizacyjnym, a zarazem skupionych na przekazie ważkich treści można wskazać wiele. Są wśród nich prezentowane na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych: „Tkocze" Mai Kleczewskiej (Teatr Śląski), „Sprawa Dawida Frankfurtera" Marcina Wierzchowskiego (Teatr Wybrzeże), „Piramida zwierząt" Marcina Borczucha (Narodowy Stary Teatr), „Wszyscy jesteśmy Belén" Katarzyny Minkowskiej (Teatr Jaracza w Olsztynie).

A także Teatr Obywatelski Łaźni Nowej w Krakowie z „Procesem Eligiusza Niewiadomskiego" Bartosza Szydłowskiego czy warszawsko-krakowski spektakl „Requiem dla snu" Jakuba Skrzywanka ze scenografią Grzegorza Layera wystawiany w Narodowym Starym Teatrze w Krakowie i Teatrze Studio w Warszawie, „Sublokatorka" według Hanny Krall w reżyserii Mai Kleczewskiej ze scenografią Fabiena Lédé (Teatr Powszechny), „Anioł zagłady" inspirowany filmem Luisa Buñuela w reżyserii Daty Tavadze ze scenografią Agaty Skwarczyńskiej i kostiumami Gosi Baczyńskiej (Teatr Dramatyczny w Warszawie), „Pulverkopf" Edwarda Pasewicza w reżyserii Katarzyny Kalwat ze scenografią Aleksandry Wasilkowskiej w Nowym Teatrze.

Na czoło tych widowisk wysuwają się „Termopile polskie" Tadeusza Micińskiego w reżyserii Jana Klaty, który tym spektaklem inaugurował dyrekcję w Teatrze Narodowym. Premierze towarzyszył „Kraj(obraz) wojny" – wystawa Bartłomieja Kiełbowicza – interwencja artystyczna z hasłami odnoszącymi się do wojny w Ukrainie. A i plakat spektaklu – nawiązujący do hasła Yoko Ono i Johna Lennona „War Is Over", na którym „Over" zastąpiono słówkiem „On" – jest dostatecznie wymowny. Znowu jesteśmy na zakręcie czasu. Tak jak książę Józef ginący w Elsterze, kiedy Polska znikała z mapy Europy. Jak król Stanisław August przysięgający na Konstytucję 3 maja w poczuciu historycznego sukcesu – wkrótce przeżywający swoją największą klęskę. Spektakl lśnił kreacjami aktorskimi, by wspomnieć tylko o Danucie Stence, Oskarze Hamerskim czy Janie Fryczu.

Sporo było w tym sezonie inauguracji, zwykle obiecujących. W Warszawie drugi sezon zakończył Wojciech Faruga w Teatrze Dramatycznym – powoli przywracając w nim równowagę. Udanie też przebiega dyrekcja Wojciecha Malajkata w Teatrze Współczesnym, a pierwszy sezon Klaty w Teatrze Narodowym i Kleczewskiej w Teatrze Powszechnym przyniósł wiele satysfakcji widzom.

Zgrzytem na tym tle był przeciągający się miesiącami konflikt między władzami samorządowymi województwa świętokrzyskiego a zespołem i ministerstwem w sprawie nominacji dyrektora Teatru im. Stefan Żeromskiego w Kielcach. Ostatecznie spór zakończył się nominacją Jacka Jabrzyka, który konkurs wygrał i od nowego sezonu obejmuje dyrekcję.

Tomasz Miłkowski



eprasa.pl f919f027b5

INFANTINO MUSI ODEJŚĆ!

FUTBOLOWA WOJNA NA GÓRZE



Somalijski arbiter Omar Abdulkadir Artan podczas meczu pomiędzy PSG a Aston Villą. Superpuchar UEFA, Salzburg, 12 sierpnia 2026 r.

Wojciech Kuczok

Koniec pomundialowych urlopów – najwięksi piłkarze świata wracają do gry. Futbolowymi prolegomenami do nowego sezonu jest Superpuchar Europy, szczęśliwie wciąż rozgrywany na Starym Kontynencie z tradycyjnym udziałem zwycięzców Ligi Mistrzów i Ligi Europy. Wiemy bowiem, że Superpuchary Włoch i Hiszpanii od lat są rozgrywane zimą jako miniturnieje w Arabii Saudyjskiej, petrodolary mają nieograniczoną moc, ale na Półwyspie Arabskim wciąż największe gwiazdy świecą cokolwiek gasnącym blaskiem, gdy zjeżdżają w wieku emerytalnym albo po załamaniach kariery. Najlepsi w najlepszej formie przyjeżdżają tam tylko od święta, aby rozegrać sowicie opłacane sparingi, lub właśnie w okolicach przerwy świąteczno-noworocznej, by powalczyć o… krajowe trofeum.

Skądinąd wobec wybijającej wszelkie skale chciwości Gianniego Infantina UEFA ostatnio zaczęła się jawić jako organizacja skromna i wierna zasadom – bunt europejskiej federacji i groźba bojkotu wszelkich rozgrywek pod egidą FIFA, z mundialem na czele, powstrzymały prezesa przed prywatyzacją tej imprezy, czyli sprzedażą przychodów z piłkarskich mistrzostw świata prywatnym inwestorom. Konkretnie firmie venture capital należącej do Joshuy Kushnera, który jest – co za niespodzianka – bratem zięcia Donalda Trumpa.

Choć Infantino poddał się dopiero wtedy, gdy do rokoszu dołączyły federacje piłkarskie Azji i Ameryki Północnej – wizja mundialu okrojonego o trzy najpotężniejsze federacje nie wyglądała już tak ekskluzywnie, by móc ją komuś opchnąć.

Wiosną przyszłego roku odbędą się kolejne wybory prezydenta FIFA, który właśnie świętował dziesięciolecie swojej władzy futbolowej – to, że w Europie i Azji mają go dość, a w strefie CONCACAF jedynym jego aliantem jest wazeliniarsko obłaskawiany Trump, nie wystarczy, aby przegłosować inną kandydaturę. Świadome tego zbuntowane federacje nie chcą czekać do przyszłego roku i próbują nakłonić Infantina do rezygnacji z urzędu. We wspólnym, pełnym emocji, dość moralizatorskim oświadczeniu właśnie ogłosiły, że „przywództwo w piłce nożnej nie jest czymś, co się posiada. Nie chodzi o posiadanie – ani żądanie – władzy.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f919f027b5

To obowiązek służby rodzinie piłkarskiej, która je powierzyła. Kiedy zaufanie zostaje złamane przez oszustwo i gdy jednostka stawia się ponad kolektywem, który powierzył jej władzę, obowiązek ten zostaje porzucony".

Bojkot rozgrywek fifowskich nie jest groźbą dotyczącą odległej przyszłości, bo stawia pod znakiem zapytania chociażby juniorski mundial kobiet zaplanowany na wrzesień w Polsce.

O tym, czy nasze młode piłkarki będą miały okazję zagrać z wylosowanymi Argentyną, Meksykiem i Beninem, zadecyduje dalszy rozwój wydarzeń w uefowsko-fifowskim konflikcie. Wydaje się, że Rubikon został przekroczony przed meczem USA-Belgia, kiedy łysy z FIFA i pomarańczowy z Gabinetu Owalnego dogadali się ponad oburzonym światem futbolu i na rympał zawiesili regulaminową absencję reprezentanta Stanów Zjednoczonych, który wcześniej otrzymał zasłużoną czerwoną kartkę. Oliwy do ognia dolał wtedy sam POTUS, który w swoim stylu pochwalił się, że to jego telefon załatwił sprawę, a potem na domiar złego zaczął bełkotać o niesprawiedliwości przepisów piłkarskich i podejrzanych kompetencjach arbitra.

Samowładztwo Infantina, który bez konsultacji z innymi federacjami wymyślił sprzedaż mundialowych udziałów rodzinie Trumpa, było tym, co przeważyło szalę. Choć prezydent FIFA wycofał się z tego pomysłu i teraz zachowuje się, jakby w ogóle go nie było, a wszystko tłumaczy nieporozumieniami w komunikacji, wydaje się, że postulat buntowników w międzyczasie wykrystalizował się pod prostym hasłem „Infantino musi odejść!". To oznacza futbolową wojnę światów o nieobliczalnych konsekwencjach, być może turnieje mistrzowskie będą rozgrywane z pominięciem FIFA.

Za swoim totumfackim wstawił się oczywiście prezydent USA, w charakterystycznym dla siebie połączeniu mrocznego ego, patosu i wyssanych naprędce z palca statystyk: „FIFA popełniłaby straszny błąd, gdyby chociaż rozważała zastąpienie Gianniego Infantina. Jest on fantastyczny, właśnie przewodniczył najbardziej udanym mistrzostwom świata w historii, które były czterokrotnie lepsze niż kiedykolwiek wcześniej. Jeśli odejdzie, to ta impreza nigdy nie będzie już tak udana i tak dochodowa".

Owóż, nie mamy tego lata chwili wytchnienia – nawet kiedy najlepsi gracze wciąż są na wakacjach, toczy się być może najważniejsza piłkarska bitwa XXI w. UEFA będzie teraz grała na nosie FIFA – tak też stało się w przypadku meczu o Superpuchar, który poprowadził somalijski sędzia Omar Abdulkadir Artan, uważany za najlepszego arbitra afrykańskiego. W czerwcu Amerykanie nie wpuścili go na mundial, a FIFA nie była skora do tego, by się wstawić w jego obronie (gdzieżby Gianni śmiał podskakiwać Donaldowi).

Wracając do kwestii czysto sportowych, urlopy musieli skrócić zawodnicy PSG i Aston Villi (acz nie wszyscy – u Anglików zabrakło w bramce Emiliana Martíneza, a w polu Ezriego Konsy i Olliego Watkinsa), aby spotkać się w Salzburgu i rozstrzygnąć, komu przypadnie teoretycznie najważniejsze europejskie trofeum. Superpuchar jest takim tylko z nazwy, wiadomo bowiem, że tego typu mecze traktowane są raczej jako supersparing przedsezonowy – w Anglii nie używa się zresztą bombastycznego określenia, a mistrz ze zdobywcą pucharu walczą o Tarczę Wspólnoty.

Salzburski finał nie cechował się jednak letnią dynamiką gier towarzyskich, był futbolową ucztą najwyższej próby, nade wszystko za sprawą nadspodziewanie silnego oporu, jaki stawiali gracze z Birmingham faworytom. Zaczęło się co prawda wedle przewidywań. Najbardziej wygłodniała futbolowa gwiazda globu, najlepszy z piłkarzy, których mundial ominął, Gruzin Chwicza Kwaracchelia, jednym zwodem zrobił sobie miejsce do strzału „z krótkiej nogi" i wysłał celną torpedę do bramki Brytyjczyków. Jednak jeszcze przed przerwą błysnął w szeregach Anglików młodziutki Brian Madjo.

Skądinąd ani na swoje 17 lat Madjo nie wygląda, raczej na mężczyznę o dekadę starszego, ani nie widać w nim tremy żółtodzioba. Potężnej postury (193 cm wzrostu) napastnik The Villans szalał i strzelał w sparingach, więc dostał od Unaia Emery'ego szansę – wyszedł w podstawowym składzie i bez kompleksów nacierał na bramkę Paryżan, aż w końcu strzelił im do szatni kapitalną bramkę z woleja. Mamy kolejnego młokosa, który może w przyszłości zawalczyć o Złotą Piłkę, jeśli kontuzje będą go omijać (na razie wśród nastolatków, którzy błysnęli geniuszem na boiskach, najlepszym zdrowiem wykazuje się Lamine Yamal, a równie utalentowani Brazylijczyk Estêvão i Niemiec Lennart Karl z powodu urazów nie pojechali na mundial).

Mecz ostatecznie rozstrzygnął Désiré Doué rajdem, do którego skuteczności przyczynił się niestety nasz reprezentant Matty Cash, łamiąc linię spalonego w zastawionej przez kolegów pułapce ofsajdowej. Ale obwinianie wyłącznie Casha o utratę tego gola byłoby niesprawiedliwe – pozostali obrońcy, zamiast gonić Francuza, skupili się na sygnalizowaniu spalonego.

PSG panuje zatem w Europie niepodzielnie już dwa sezony – nie dość, że wygrało dwakroć z rzędu Champions League, to jeszcze po raz drugi obroniło Superpuchar. Z dwoma kontynentalnymi dubletami ekipa, którą trenuje Luis Enrique, zmierzać będzie w tym sezonie po rekord – trzeci kolejny Puchar Europy (w czasach „nowożytnych", czyli po założeniu Ligi Mistrzów, dokonał tego tylko Real Madryt pod wodzą Zinédine'a Zidane'a) i trzeci dublet (tego nie dokonał nikt).

Nieco wcześniej w Katowicach straciliśmy pierwszego z pucharowiczów, bo GKS stanowczo zbyt późno zaczął odrabiać straty poniesione w wyjazdowym meczu z Hapoelem Tel Aviv. Należy się cieszyć, że drużyna Rafała Góraka ostatecznie zwyciężyła i zapunktowała w rankingu FIFA, ale uczyniła to w bieżącym sezonie po raz ostatni. Gieksa przespała nie tylko wyjazd, ale i pierwszą połowę rewanżu, trudno się zatem dziwić, że czasu na doprowadzenie do dogrywki zabrakło. Poza tym wciąż nie nawiązał do swojej formy z zeszłego sezonu Bartosz Nowak, wpychany przez dziennikarzy Janowi Urbanowi do reprezentacji. ■

eprasa.pl f919f027b5

Paweł Średziński



ULĘGAŁKI wracają do łask

Czasem krzew, częściej drzewo

Grusze zdziczałe, dzikie, polne, miedzowe, czy jakkolwiek inaczej je nazwiemy, przeżywają nas, ludzi. Osiągają sędziwy wiek – 100, 200, a nawet 300 lat. Dorastają do 20 m wysokości, chociaż na ogół są niższe. Wykazują odporność na suszę. Tworzą odrośle z korzeni, które zapewniają im trwałość i ciągłość. Na ich gałązkach można zauważyć cierniste pędy. Podobno zanim w języku polskim upowszechniły się słowa „grusza" i „gruszka", w użyciu były „krusza" i „kruszka".

Ich niewielkie owoce mają okrągły, jabłkowaty kształt. To po nich najłatwiej możemy odróżnić dziczki od tych gruszek, które wywodzą się od odmian sadowniczych, deserowych i soczystych, przyjmujących gruszkowatą formę.

Nie tak łatwo zidentyfikować gatunek gruszy. Przynajmniej ja nie podjąłbym się tego zadania, nawet bazując na dość precyzyjnych opisach w fachowej literaturze. Sprawę komplikuje obecność jeszcze jednego gatunku – gruszy pospolitej. Jest ona mieszańcem gruszy polnej i kilku innych odmian. Grusza pospolita potrafi też zdziczeć i może sprawiać trudności w identyfikacji.

Grusza polna owocuje na zielono, brązowawo lub żółtawo. Tak jak wspomniałem, owoce wyróżniają się bardziej kulistym kształtem niż te gruszki, które znamy ze straganów i przydomowych sadów.

Owoce dziczki mają znacznie mniej cukru niż odmiany uprawiane przez sadowników. Znajdziemy w nich witaminę C, witaminy z grupy B, potas, sód, wapń, magnez i żelazo. Taka ulęgałka wyróżnia się tym, że w swoim wnętrzu ma dużo „kamienia", jak mawiał mój dziadek Józef, czy – jeśli chcemy się wyrazić precyzyjniej – znaczą ilość komórek kamiennych. Dlatego dawniej, zanim przystąpiono do konsumpcji dzikich gruszek, musiały się trochę „ulежeć". Właśnie stąd pochodzi nazwa ulęgałka. Ów proces „ulężenia" trwał do czasu, aż miąższ stał się miękki i przybrał brązowy kolor – stąd jeszcze jedno ich określenie: gniłki – a owoc był słodszy.

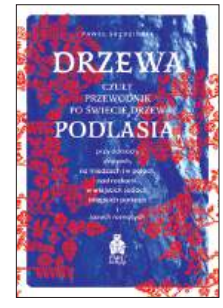
Takie przejrzałe gruszki zbierano jeszcze w moim dzieciństwie. Sam wielokrotnie miałem okazję ich spróbować, nie czekałem jednak, aż dojrzeją. Zrywałem je z Abisynki koło Zwierek, zbierałem dwie wsie dalej, w Dobrzyniówce, na miedzy wyznaczającej granicę pastwiska mojego chrzestnego Zygmunta. Obgryzałem skórkę i zostawiałem resztę, której zjeść już się nie dało. Sprawiało mi to zawsze dużo frajdy. Czy z tych nasion wyrosły inne ulęgałki?

Jak pisał o tego rodzaju gruszkach prof. Wiesław Grochowski: „Świeżo zerwane są bardzo cierpkie i kwaśne z powodu zawartości garbników, olejków eterycznych i kwasów organicznych, a przy tym twarde i gruzełkowate wskutek obfitości w miąższu zdrewniałych komórek kamiennych. Z czasem jednak pektyny ulegają enzymatycznemu rozkładowi i słabiej spajają komórki; miąższ coraz bardziej mięknie. Alkohol, zwany sorbitem, i skrobia, znajdująca się w niedojrzałych gruszkach, przemieniają się częściowo w cukry".

Nie ma już tak wielu dzikich grusz jak dawniej. Może dlatego ulęgałki wracają do łask. Przez długi czas były uznawane za karmę godną świń, a w najlepszym razie za lichą konfiturę. Dziś stają się rarytasem na stołach. Na nowo odkrywa się ich walory smakowe w marynacie.

Ulęgałki pojawiają się też w słynnych powiedzeniach – niektóre są żywe do dziś, jak „Nie zasypiaj gruszek w popiele". Pochodzi ono od praktyki suszenia owoców w piecu chlebowym. Chodziło o to, żeby nie przeoczyć, a dokładniej nie przespać chwili, kiedy trzeba wyjąć gruszki z pieca. Z kolei powiedzenie o gruszkach na wierzbie wiąże się z inną odmianą gruszy – gruszą wierzbolistną, sadzoną niegdyś jako drzewo ozdobne. Dzika grusza występuje również w innych porzekadłach. Jeżeli ktoś narobi nam kłopotów, to „natrzęsie nam gruszek". Można też „zarobić czapkę gniłek".

Wbrew opiniom, które wyrażają się w ludowej mądrości, muszę stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, że to gruszy – może polnej, może pospolitej, tej najzwyczajniejszej, ginącej, zapomnianej – zawdzięczam najwięcej relaksujących chwil w moim życiu. I to ona jest moim pradrzewem i pierwszym skojarzeniem z krajobrazem pól, łąk i leśnych obrzeży rodzinnych stron, wśród których wzrastałem i gdzie powstał ten mój czuły przewodnik.



Fragment książki Pawła Średzińskiego *Drzewa. Czuły przewodnik po świecie drzew Podlasia…*, Pasny Buriat, Suwałki 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f919f027b5



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Sprawy niehonorowe

Jedna jest tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezecna. Tą rzeczą jest honor. To bakcyl najzajadlejszy i najbardziej morderczy. W prawicowym imaginarium trzy są świętości, wśród których, o zgrozo, honor jest pierwszy po bogu, ważniejszy nawet od ojczyzny – to najbardziej patriarchalne, trujące i szkodliwe pojęcie w języku, dla którego mężczyźni gotowi są wzajem się zabijać w skali masowej, nie bacząc na konsekwencje dla reszty ludzkości.

Kobiety z zasady nie pieprzą o honorze, to zdecydowanie samcza halucynacja, tromtadrackie słowo klucz, doskonale pasujące do sztandarów, wiecowych przemówień, międzypartyjnych licytacji na patriotyzm, werbalny synonim spiętej dupy, objaw nieuleczalnego zacietrzewienia i nierozwiązywalnego węzłowiska kompleksów. Z honorem na ustach ludzie idą pod lufy, z honorami potem idą do piachu. Gdy słyszę polityków odmieniających honor przez wszystkie przypadki, jak Cioran żałuję, że nie jestem kanibalem, bo mógłbym ich wszystkich pożreć, a potem wyrzygać.

W „Dniu puszczyka" Damiana Damianiego, adaptacji jednej z sycylijskich powieści Leonarda Sciascii, którą sobie właśnie obejrzałem, albowiem letnie wieczory najchętniej spędzam ze starym kinem, omertà trzyma się niezachwianie, dopóki nie postanawia się jej skruszyć podstępem – mafiosi bardziej niż vendetty boją się bowiem życia w infamii rogacza. Zdradzany przez „swoją" kobietę ma obowiązek zabicia zarówno kochanka, jak i żony, w przeciwnym razie jest chwastem, śmieciem, spada na dno hierarchii na równi z konfidentami (pogardliwie nazywanymi quaquaraquà).

Prawactwo wciąż ma mokre sny o Polsce przedwojennej, w której nieformalnie obowiązywał nieszczęsny kodeks Boziewicza, aż do 1932 r. nie zmodyfikowano w Kodeksie karnym paragrafu dotyczącego zabójstw w pojedynkach, obowiązywały jeszcze przepisy XIX-wieczne, w myśl których kara za taki czyn nie była wysoka. Kiedy Witkacy niefrasobliwie rozpaplał po Zakopanem plotkę, jakoby Karol Stryjeński miał romans, został wyzwany na pojedynek. Zofia Stryjeńska robiła małżonkowi piekielne awantury na tle zazdrościowym, najpewniej więc mąż chciał ją uspokoić, stawiając sprawę na ostrzu noża, czy raczej czubku lufy, i domagając się satysfakcji od oszczercy.

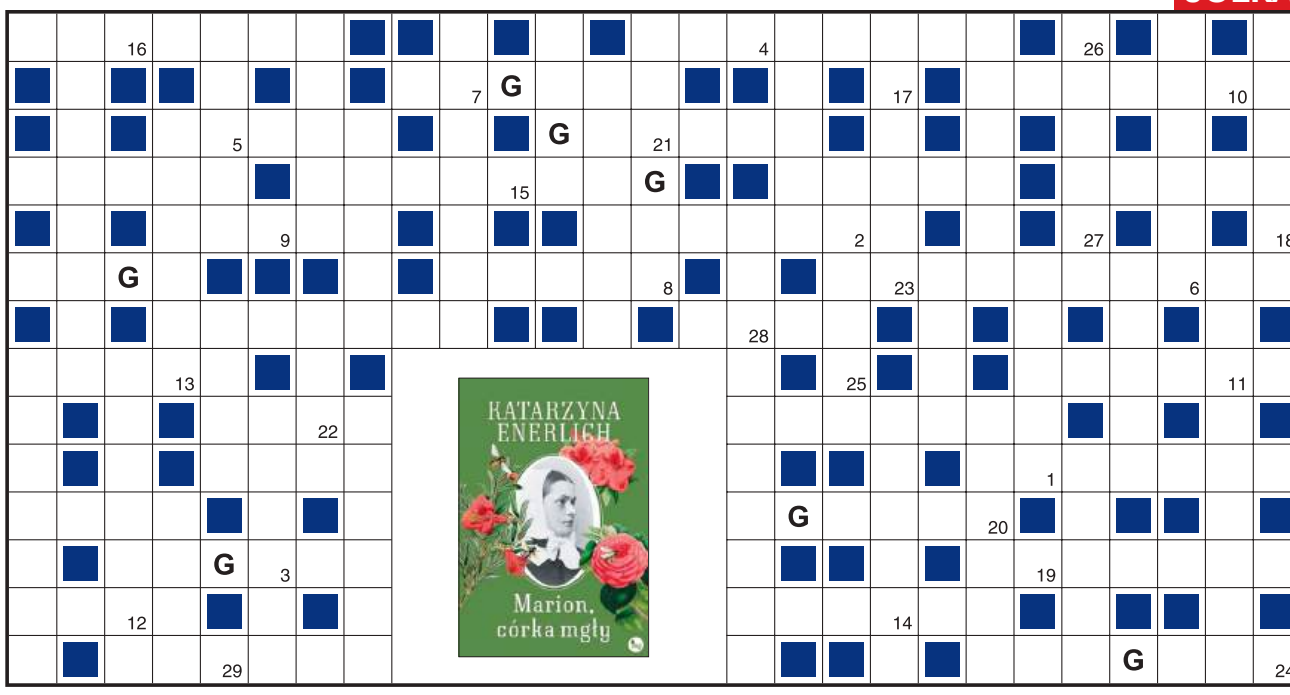
Traf zechciał, że sprawa napatoczyła się, gdy Jadwiga Witkiewiczowa, przymuszona przez męża do aborcji, miała termin zabiegu, Stanisław Ignacy obiecał zaś ją odprowadzić i towarzyszyć w trudnych chwilach. Cóż, kiedy dopadły go „sprawy honorowe"... Jak się panowie kłócą, panie przeszkadzać nie mogą, wszak kwestie honoru są ważniejsze od życia bądź śmierci. Nawet Witkacy, dostrzegający „fanfaronizację spraw honorowych i pod-honorowych", najadł się więc poważnie strachu, który potem przełożył na epizod „Pożegnania jesieni", gdzie Atanazy Bazakbal śmiertelnie rani szwedzkiego sport-bubka.

Najcudowniej kwestie honorowe obśmiał Boy w jednym z felietonów. Przywołuje tam incydent międzystudencki z Akademii Medycznej, gdy „przyszło do zwady słownej w prosektorium o pierwszeństwo do jakiejś trupiej nogi". Urażony wysłał sekundantów, ale wyzwany z zasady pojedynków nie uznawał – obie strony musiały spisać protokół, stwierdzający brak zdolności honorowych wyzwanego. „Zarówno wyzywający, jak jego sekundanci posłali (tak nakazywał kodeks) sekundantów świadkom wyzwanego; świadkowie tych świadków odpowiedzieli toż samo. Rosło to w postępie geometrycznym, rosło lawinowo, aż objęło cały wydział lekarski; nie było w końcu ani jednego studenta, którego by co najmniej dwóch innych nie ogłosiło na piśmie za niehonorowego. Sprawa utknęła. Rzecz strawiła samą siebie własnym ekscesem, doprowadzoną do absurdu logiką".

Przypomniało mi to własne zmagania z czasów studiów. Mieliśmy na jednym z pierwszych lat semestr z nieprzejednanym nudziarzem, który nie mógł znieść, że jego cykl wykładów interesuje niewielu. Puszczał listę obecności, na którą wpisywaliśmy nieobecnych, a gdy się zorientował w dysproporcji między widoczną liczbą słuchaczy a listą nazwisk, wpadł na chytry pomysł – ustawił się w drzwiach i kazał każdemu wychodzącemu odhaczać swoją pozycję na liście. Sala była ciasna, karnie staliśmy w ogonku, ale ktoś pomajstrował przy drugich drzwiach i udało się je otworzyć – tak oto raz podpisani wracali do sali i stawali w kolejce ponownie, by parafować obecność którejś z martwych dusz. Safandułowaty profesor się nie połapał, ale podczas następnego wykładu przesadziliśmy z brakiem pardonu. Na puszczonej liście każdy wpisywał to samo nazwisko, a krążyła tak ona dla naszej zabawy przez cały wykład, aż na koniec zajęć profesor dostał kartkę, na której stało w słupku 108 razy wpisane „Józef Nowak". „W związku z tym, że postępujecie państwo niehonorowo, ogłaszam, że odtąd nie zamierzam przejmować się waszym istnieniem". Najwyraźniej nie zabrzmiało to jak groźba, bo na następnym wykładzie pojawiły się trzy osoby i mniej więcej taka frekwencja utrzymała się do końca semestru. Na egzaminie nikt nie poległ, bo zasadę wykuć-zdać-zapomnieć już wtedy opanowano na moim wydziale w stopniu doskonałym. Honor mieliśmy za nic, humory za to nam dopisywały – tak się żyje zdrowiej. ■

eprasa.pl f919f027b5

JOLKA



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery G ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą końcowe hasło.

- Mont Blanc ich najwyższym szczytem
- największy z tym, by dwoje chciało naraz
- Chyra, Duda lub Frycz Modrzewski
- imię kompozytora Brucknera
- biedrzeniec lub badian
- donosiciel z „Róży" Żeromskiego
- świeżo położony zaorany w Gliwicach
- dekoracyjka z dziurkami
- włoskie miasto z najstarszym uniwersytetem
- Lucjusz Juniusz lub Marek Juniusz
- na nią „wyceniany" dyletant
- nieliczenie się z potrzebami innych
- uciekł z niej Napoleon w 1815 r.
- na wieczne pióro lub na smartfon
- damskie majtki bez nogawek
- huk po błyskawicy
- samice gotowe do tarła
- brydżowa odzywka zachęcająca do wyższej licytacji
- turecki port, dawniej Smyrna
- gęba, japa, którą się kłapie
- krzykliwa kłótnia lub ujadanie
- członek komisji sędziowskiej
- kompan, towarzysz
- stojący, kilkuramienny świecznik
- niechciane górki w ogórkach
- mocny, słodki alkohol, np. amaretto
- pejoratywnie i biblijnie o pieniądzach, bogactwie
- legenda do niej dołączona
- kto złapał za nie Pana Boga, ma wielkie szczęście
- jezioro w pobliżu Suwałk
- skwarki na jarskim daniu
- z lokomotywy pot spływa: tłusta...
- trzymają się na uboczu, nie przynależą
- i zabawka, i ktoś wygłupiający się
- nasycone smołą arkusze na dachu
- łowicka tkanina
- gospodarstwo rolne w Peerelu
- uciążliwe trawsko
- drzwi z tamtejszej katedry w soborze w Nowogrodzie
- ma wijące się łodygi i lejkowate kwiaty
- prawny lub kulinarny
- występ jednego artysty
- rzucana jako wyzwanie na pojedynek
- maszynopis autorski przed wydrukowaniem
- ropa lub gaz nim płynie
- podany wygląd np. zaginionego
- artysta prześmiewca
- bywa garbowana za karę
- spiekota, upał
- trójnóg pod aparat, kamerę
- szmerek, troszkę hałasu wokół czegoś
- tkanina na pieluchy
- dźwiga cudze bagaże
- morski ślimak z dużą muszlą
- złapał go ogar
- piwowarskie miasto na Mazowszu
- pałacowe z wyposażeniem udostępniane do zwiedzania
- intencja zrobienia czegoś
- dziecięca gra z piłką
- bandzior, typ spod ciemnej gwiazdy
- dopuścił się jej Marek Juniusz wobec Cezara
- zapłodniona komórka jajowa

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1287". Do rozlosowania książki „Marion, córka mgły" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 sierpnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1284" z nr. 31: *Mała strata, krótki żal.*

Nagrody otrzymują: Franciszek Borowiec z Zawiercia, Czesława Gola z Sulejówka, Bartosz Kłoszewski z Olsztyna.

eprasa.pl f919f027b5

Rozmowy Polaków

Starsi panowie plotkowali na działce. Ładnej. Zaczął gospodarz. Polska polityka zagraniczna – mówił – wchodzi na nowy poziom. Oto bowiem na tematy relacji międzynarodowych wypowiada się coraz częściej prezydent RP Karol Nawrocki. I mówił on w rocznicę swojego zaprzysiężenia takie rzeczy: „Niech [Ukraińcy] mordują Sowietów, którzy ich napadli, i w ogóle nas, Polaków, to nie boli. W tym zakresie zawsze mogą liczyć na naszą pomoc, bo tam, gdzie się bije Moskala, tam Polska pomaga, nawet jak nie bierze udziału bezpośrednio w tej wojnie, taki jest strategiczny interes Polski".

Tak właśnie powiedział – niech mordują Sowietów.

Cóż, po tych słowach odezwała się natychmiast Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, bo trudno byłoby liczyć na to, że taką okazję przepuści. No i mamy licytację, kto jest większym patriotą swojego kraju, ekstremiści nakręcają się wzajemnie.

Rzecz tylko w tym, że pani Zacharowa jest jedynie rzeczniczką ministerstwa, więc można ją wymienić w godzinę, a prezydent RP został wybrany na pięcioletnią kadencję. I szkoda, że swoimi wypowiedziami równa do poziomu Dmitrija Miedwiediewa.

Cóż – rzekł drugi rozmówca – pan Karol Nawrocki politycznie żywi się sprawami międzynarodowymi, co do których nie ma ani pojęcia, ani kompetencji. Bo, jak głosi konstytucja, politykę zagraniczną prowadzi rząd. A prezydent może sobie co najwyżej pogadać. Więc gada jak wujek na weselu. Na przykład ubolewa, że „nie jest łatwo w momencie tak mocnego antyamerykanizmu przedstawicieli polskiego rządu" budować relacje z USA.

Mocny antyamerykanizm rządu Tuska?

Jacek Czaputowicz, który był szefem MSZ w rządzie PiS przez prawie trzy lata, napisał właśnie w „Rzeczpospolitej": „Obecny rząd kontynuuje linię z lat 2018-2020: bliską współpracę z USA bez oglądania się na Unię Europejską. Różnica polega na tym, że dziś Ukraina bywa traktowana nie jako partner do wzmocnienia, lecz jako konkurent o wpływy, technologie i miejsce przy stole. To prawda politycznie niewygodna, ale bez jej nazwania nie da się zrozumieć, dlaczego Polska ma problem z zaufaniem w Kijowie i w europejskich formatach".

Mamy więc antyamerykanizm czy współpracę z USA bez oglądania się na Unię?

Dyskusję zamknął ostatni z gości. Przypomniał, że Polska nie jest w formacie E3, czyli w grupie trzech najważniejszych państw Europy, dyskutujących o pokoju na Ukrainie. Nie ma nas też w koalicji Freja, czyli europejsko-ukraińskim programie budowy alternatywy dla rakiet Patriot.

Poza tym możemy przeczytać, że w Azerbejdżanie, pod patronatem prezydenta Alijewa, rozmawiali nieoficjalnie politycy niemieccy i rosyjscy o możliwym pokoju. A całkiem niedawno podobne rozmowy, z udziałem przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Rosji, odbyły się w Wiedniu. To są wszystko rozmowy prowadzone przez byłych wysokich rangą dyplomatów i polityków (Niemcy reprezentował były wiceszef Auswärtiges Amt), w formacie dyplomacji drugiego toru (Track II diplomacy). Czyli nieformalne dyskusje, by poznać sposób myślenia partnera, i tak, by nikt nie stracił twarzy. Jak łatwo zauważyć, Polski w tym nie było. I trudno temu się dziwić.

Panie i panowie, więcej Nawrockiego i jego mądrości!

Attaché

Fot. Krzysztof Żuczkowski



Czech David Moješčík, znany jako MojDa, jest autorem rzeźby „Levitation III" wystawionej w holu Varso Tower w Warszawie. Artysta skupia się w twórczości na ludzkim ciele i formie. Dzieło można podziwiać do 31 października 2026 r.

eprasa.pl f919f027b5







Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Od kilkunastu miesięcy trwa eskalacja imperialistycznej agresji największego supermocarstwa i jego wiernego druha z zachodniej Azji. Istnieje cała góra dowodów pozwalających przypisać sprawstwo ludobójstwa w Strefie Gazy tandemowi Izrael-Stany Zjednoczone. Już samo to powinno być dobrym powodem do dzwonka alarmowego dla każdego kraju położonego na globalnym Południu, który nie boi się rewindykować własnych interesów i aspiracji. Powodem do niepokoju są także kolejne bombardowania Jemenu, Syrii, Nigerii, Iraku, Libanu, Kataru. A wreszcie rajd na Wenezuelę i wojny z Iranem. Wszystko to wydarzyło się w ciągu mniej niż dwóch lat, co sprawia, że przywódcy stojący za tymi wydarzeniami raczej solidnie udowodnili, że zasługują na miano podpalaczy świata.

press

JAN FUSIECKI,
REPORTER

Robert Kwiatkowski z Rady Mediów Narodowych, były prezes Telewizji Polskiej, były członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, mówi: – Dla polityka pojawianie się w mediach to nie tylko nobilitacja. To również możliwość dotarcia do wyborców. Zaproszenie do mediów, w szczególności ogólnopolskich, jest uważane za premię, okazję, której wykorzystanie może okazać się decydujące w staraniach o mandat w parlamencie.

– „Kawa na ławę" ma starannie opracowany grafik zaproszeń. Trzy miejsca są zarezerwowane dla przedstawicieli klubów wchodzących w skład koalicji rządowej; dwa kolejne dla opozycyjnych: PiS i Konfederacji, jedno dla reprezentanta Kancelarii Prezydenta. Staramy się też utrzymać parytet płci, choć nie zawsze się to udaje. Jednak władze klubu parlamentarnego lub partii nie są w stanie nam narzucić konkretnej osoby wbrew naszej woli – zapewnia Konrad Piasecki.

TYGODNIK ANGORA

ANDRZEJ SZCZĘŚNIAK,
EKSPERT RYNKU PALIW

W Unii średnio zapasy są na trzy miesiące do 100 dni ogólnej konsumpcji, całkowitego pokrycia zapotrzebowania, tzn. gdyby wszystkie potrzeby indywidualne i publiczne musiały być pokryte z zapasów. Tyle teoria. Na skutek wojny w Zatoce Perskiej z rynku zniknęło od 8 do 10% paliw. Tak więc przy obecnej konsumpcji i dostawach z różnych miejsc świata te zapasy realnie wystarczyłyby na jakieś trzy lata. Polskie zapasy, komercyjne i strategiczne, także wystarczą na ok. 100 dni pełnej konsumpcji i na trzy lata normalnego funkcjonowania gospodarki.

zwierciadło

ALEKSANDRA ŻEBROWSKA,
ŻONA MICHAŁA

Kobieta zadbana, zadowolona z siebie jest lepszą matką, lepszą partnerką, lepszą przyjaciółką, lepszą siostrą, lepszą szefową…

Dzieci są niesamowicie wyczulone na wszystko, co robimy. Słyszą wszystko, co mówimy do kogoś innego. Jakiś czas temu, kiedy w pośpiechu wychodziliśmy rano z domu, wsiadłam do samochodu, zobaczyłam się w lusterku i zupełnie bezrefleksyjnie powiedziałam pod nosem: „Boże, jak ja wyglądam?! Zapomniałam się pomalować". Pięcioletni Felek spojrzał na mnie i spokojnie powiedział: „Moim zdaniem wyglądasz normalnie".

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, POLSKA ORKA POLITYCZNA (2)

eprasa.pl f919f027b5

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

NEGOTYĄSLĄISTORI

ZWDANWĄROBSKODI

DOJTOJŻNNYWIT

ANEGDOTY SĄ SOLĄ HISTORII, ZWADA NA WĄTROBĘ SZKODZI, DWOJE TO JUŻ INNY ŚWIAT



Aby język giętki…

PROF. MICHAŁ BEJGER DO KAROLA NAWROCKIEGO

Udział w uroczystym wręczeniu aktu nadania tytułu profesora byłby uwiarygodnieniem Pana dotychczasowej działalności, a tę oceniam jednoznacznie negatywnie.

PIOTR GADZINOWSKI O STAJNI

W Dużym Pałacu szykują stajnię, bo prezydentowi marzy się wjazd na białym koniu na prawdziwą scenę.

ALEKSANDER HALL O RZĄDACH PRAWICY

Nie da się obronić bilansu rządów Zjednoczonej Prawicy. Krytykowałem je i swojej opinii nie zmieniłem.

ARTUR BARCIŚ O POPULARNOŚCI „RANCZA"

To głęboki, mądry serial o Polsce. O nas wszystkich, z naszymi lękami i nadziejami.

GRAŻYNA TORBICKA O TREMIE

Wciąż jest. Po prostu dobrze gram. Nie można pozwolić, żeby zjadły cię emocje.

MACIEJ SIEMBIEDA O PISANIU

Chyba wszystko sprowadza się do tego, że trzeba pisać tak prosto, jak jest to możliwe, ale nigdy prościej.

MAGDALENA BOCZARSKA O TAŃCU

Stał się moją trampoliną, kontrapunktem i fantastyczną przygodą.

JERZY SATANOWSKI O KRYSTYNIE TKACZ

Czasem w dwa dni trzeba stworzyć coś, co normalnie powstaje tygodniami, i z Krysią jest to możliwe.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

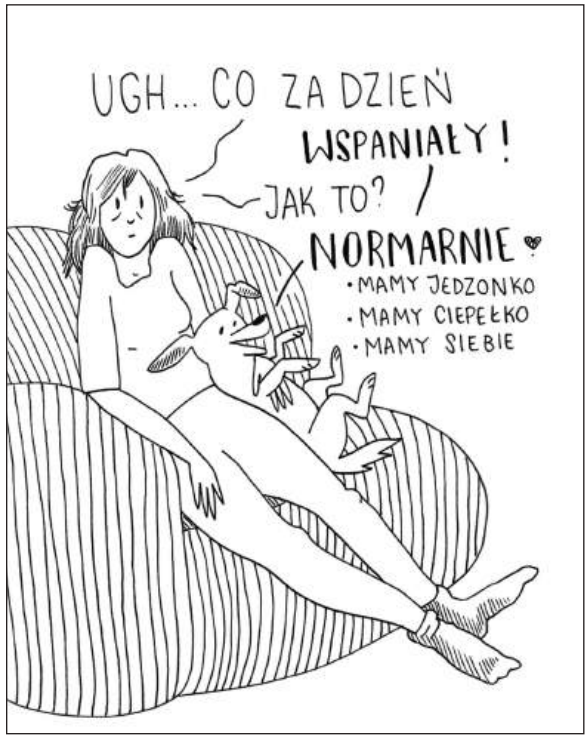
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl f919f027b5

PSIE SUCHARKI. NOS W NOS





Wystawa „Nos w nos" Marii Apoleiki to opowieść o relacjach ludzi i psów ukazanych z perspektywy codziennych doświadczeń, wzajemnej uważności i empatii. Punktem wyjścia są znane ilustracje z cyklu „Psie sucharki", które z humorem i wrażliwością podejmują tematy życia ze zwierzętami. Prezentowane prace zachęcają do refleksji nad potrzebami różnych gatunków, odpowiedzialnością opiekunów oraz budowaniem więzi opartych na szacunku i zrozumieniu. Łącząc komizm z trafną obserwacją, artystka tworzy wielowymiarową opowieść o wspólnych biografiach ludzi i zwierząt, pokazując, że codzienne relacje mogą stać się punktem wyjścia do rozmowy o empatii, współistnieniu i wzajemnym poznawaniu się.

Bydgoszcz
Galeria Miejska BWA
ul. Gdańska 20
do 29 sierpnia





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f919f027b5

INNOVACJE, KTÓRE CHRONIĄ POLSKĘ

Łukasiewicz
Sieć Badawcza

Z laboratoriów do działań operacyjnych: nasze rozwiązania wzmacniają bezpieczeństwo Polski i Polaków.



Tworzymy:

- bezzałogowe platformy lądowe i powietrzne
- wielozadaniowe pojazdy ratownicze
- systemy cyberbezpieczeństwa
- technologie do programów amunicyjnych
- zasilanie do rakiet i dronów
- osłony balistyczne
- półprzewodniki do systemów łączności.

Współpracujemy z Siłami Zbrojnymi RP, służbami mundurowymi i przemysłem. Dostarczamy rozwiązania technologiczne o podwójnym zastosowaniu (cywilnym i wojskowym), które budują bezpieczeństwo narodowe.

ASBOP PERKUN
Autonomiczny robot mobilny PIAP IBIS uzbrojony w polskie pociski rodziny PIORUN opracowane przez Łukasiewicz – PIAP wspólnie z CRW Telesystem-Mesko.

Odwiedź nas na lukasiewicz.gov.pl



eprasa.pl f919f027b5